

CZEŚĆ, I DZIĘKI ZA RYBY

AUTOSTOPEM PRZEZ GALAKTYKĘ 4

DOUGLAS ADAMS

NIE TYLKO DLA FANÓW MONTY PYTHONA I TERRY'EGO PRATCHETTA...



Douglas Adams

Cześć, i dzięki za ryby

Tłumaczył: Paweł Wieczorek

Wydanie polskie: 1995

Jane

Z podziękowaniami dla Ricka i Heidi za nierobienie z tego wielkiego wydarzenia, dla Mogensa i Andy'ego i wszystkich w Huntsham Court za szereg niewielkich wydarzeń, szczególnie zaś dla Sonny'ego Mehty za wielkość – mimo wszystkich wydarzeń.

Prolog

a dalekich peryferiach Galaktyki, w nieciekawym zakątku na końcu jej zachodniego ramienia, świeci mizerne żółte słońce. Wokół niego, w odległości około stu pięćdziesięciu milionów kilometrów, krąży nieważna mała niebieskozielona planeta, zamieszкана przez pochodzące od małych bioformy – tak zadziwiająco prymitywne, że do dziś uważają zegarki elektroniczne za świetny wynalazek.

Planeta ta ma, a raczej miała pewien problem – większość mieszkających na niej ludzi była ciągle nieszczęśliwa.

Przedstawiano liczne propozycje, jak temu zaradzić, ale przeważały pomysły dotyczące głównie modyfikacji obiegu zielonych kawałków papieru, co było o tyle zdumiewające, że przecież nie te zielone papierki były nieszczęśliwe. Tak więc problem nie znikał. Szerzyły się podłość, miernota i ubóstwo, nieszczęśliwi byli nawet ci, którzy mieli elektroniczne zegarki.

Coraz więcej mieszkańców planety uważało, że popełniono wielki błąd, schodząc z drzew. Niektórzy twierdzili nawet, że błędem było wchodzenie na drzewa – nikt nigdy nie powinien był opuścić głębin oceanów.

Ktoregoś czwartku – prawie dwa tysiące lat po tym, jak pewien człowiek został przybity gwoździami do drzewa, bo twierdził, iż byłoby wspaniale, gdyby dla odmiany ludzie spróbowali być mili względem siebie – pewna dziewczyna, siedząca samotnie w kawiarence w

Rickmansworth, nagle zrozumiała, dlaczego cały czas wszystko wychodziło nie tak, jak trzeba, i wpadła na pomysł, co zrobić, by świat stał się dobry i szczęśliwy. Pomysł był sensowny, na pewno by się powiódł i nie trzeba by nikogo przybijać do czegokolwiek gwoździami.

Niestety, nim zdążyła podejść do telefonu, by komuś o tym powiedzieć, Ziemia została nieoczekiwanie zniszczona, by zrobić miejsce nowej hiperprzestrzennej drodze szybkiego ruchu, i pomysł przepadł, zdawałoby się, na zawsze.

Niniejsza opowieść jest historią tej dziewczyny.

Rozdział 1

Zmrok zapadł wcześniej, co było normalne o tej porze roku.

Panował ziąb i hulał wiatr – co też było normalne.

Zaczął padać – to było szczególnie normalne.

Lądował statek kosmiczny – i to normalne nie było.

Nie było nikogo, kto mógłby obserwować statek poza paroma wybitnie głupimi czworonogami, one jednak nie miały pojęcia, co z nim zrobić, czy oczekuje się od nich, by cokolwiek zrobiły – zjadły go albo co. W rezultacie uczyniły to samo, co zawsze, czyli uciekły, próbując chować się jedno pod drugie, co zresztą nigdy się nie udawało.

Statek spływał z nieba, jakby balansował na promieniu światła.

Z daleka trudno było to zauważyć przez rozdzierane błyskawicami burzowe chmury, ale z bliska pojazd wyglądał dziwnie pięknie – szara, elegancko wymodelowana, niewielka bryła.

Oczywiście, nigdy nie można przewidzieć, jakiego wzrostu i budowy okażą się przedstawiciele rasy, z którą mamy się spotkać; gdybyśmy jednak uznali, że ostatni środkowogalaktyczny spis ludności zawiera rzetelne dane, zakładalibyśmy, że w statku jest sześć istot, i mielibyśmy rację.

Prawdopodobnie i tak każdy zakładałby coś podobnego.

Spis ludności, jak większość ekspertyz, kosztował masę pieniędzy i nie stwierdzał niczego, co nie byłoby ogólnie znane – z wyjątkiem tego, iż statystyczny mieszkaniec Galaktyki ma 2,4 nogi i posiada jedną hienę. Ponieważ to oczywista nieprawda, nie pozostało nic innego, jak wyrzucić wyniki spisu na śmietnik.

Statek ześlizgiwał się powoli przez deszcz, słabe światła lądowania spowijały go w bajeczne tęcze. Buczał cichutko, a im był niżej, tym bardziej dźwięk się nasilał i robił niższy.

Dwadzieścia centymetrów nad ziemią buczenie przemieniło się w głębokie dudnienie. W końcu statek osiadł i ucichł.

Otworzył się luk. Wysunęły się krótkie schodki. Otwór pojaśniał, w mokrą noc wypłynęło jasne światło. W statku poruszyły się cienie. W świetle stanęła wysoka postać. Rozejrzała się, wzdrygnęła i szybko ruszyła schodkami w dół. Pod pachą trzymała wielką torbę na zakupy.

Odwróciła się i krótkim, gwałtownym ruchem pomachała w kierunku statku. Z włosów ściekała jej już woda.

– Dziękuję! – krzyknęła postać. – Bardzo wam...

Przerwał jej suchy trzask grzmotu. Zaniepokojona spojrzała w niebo i gwałtownie zaczęła szperać w wielkiej plastikowej torbie, która – co dopiero teraz zauważyła – miała w dnie dziurę. Nadrukowany na torbie wielkimi literami napis oznajmiał (umiejącym czytać pismo centauriańskie): MEGAMARKET

WOLNOCŁOWY, PORT

BRASTA, RIGIL

CENTAURUS. BĄDŹ JAK DWUDZIESTY DRUGI KOSMICZNY SŁOŃ O ZWIĘKSZONEJ WARTOŚCI – SZCZEKAJ!

– Zaczekajcie! – krzyknęła postać, machając w kierunku statku.

Schodki, które właśnie zaczęły się chować, stanęły, rozłożyły się z powrotem i pozwoliły postaci wrócić do środka. Po kilka sekundach znów się pojawiła – w ręku miała podarty, wyświechtany ręcznik, który zaczęła wpychać do torby. Znów pomachała, wcisnęła torbę pod pachę i ruszyła biegiem, by znaleźć schronienie pod drzewami. Statek natychmiast zaczął się unosić.

Kiedy błyskawice rozerwały niebo, postać na chwilę stanęła, zaraz jednak pospieszyła dalej, zmieniając kierunek tak, by ominąć drzewa szerokim łukiem. Poruszała się żwawo, raz i drugi straciła grunt pod nogami, przygarbiona walczyła z coraz rzęsiściej padającym deszczem, lejącym, jakby ściągano go z nieba siłą. Brnęła przez błoto. Przez góry przewalił się grzmot.

Postać starła z twarzy wodę, ale był to próżny trud. Potykając się, parla do przodu.

Pojawiły się kolejne światła. Nie były to błyskawice, lecz bardziej rozproszone i mętne światła, które pełżyły za horyzont, gdzie powoli ciemniały i znikwały. Postać zatrzymała się, przez chwilę je obserwowała, potem ruszyła w zdwojonym tempie, kierując się ku miejscu na horyzoncie, gdzie pojawiały się migotania.

Robiło się stromo, teren wyraźnie się wznosił. Po dwustu, może trzystu metrach na drodze pojawiła się przeszkoda. Postać zaczęła ją badać, po chwili przerzuciła górą torbę i sama zaczęła ją forsować. Ledwie dotknęła ziemi po drugiej stronie, z deszczu wyłoniła się pędząca z ogromną prędkością maszyna, rozcinając ścianę wody jaskrawym światłem. Postać przycisnęła plecy do przeszkody, maszyna pędziła w jej kierunku. Była niska i pękata, podobna do śmigającego po falach małego wieloryba – gładka, szara, obła, poruszała się niezwykle szybko.

Postać instynktownie uniosła ręce w obronnym geście, ale uderzyła w nią tylko fontanna wody. Maszyna śmignęła i zaczęła oddalać się w ciemność. Niebo rozświetliła kolejna błyskawica, dzięki czemu, nim maszyna zniknęła, ociekająca wodą postać na skraju szosy zdążyła w ułamku sekundy odczytać znajdujący się z tyłu napis. Ku swemu najwyższemu zdumieniu postać przeczytała: MÓJ DRUGI SAMOCHÓD TO TEŚ PORSCHE.

Rozdział 2

Rob McKenna był nędznym łajdakiem i wiedział o tym, gdyż przez minione lata zwróciło mu na to uwagę wiele osób.

Właściwie nie widział powodu, by się z nimi sprzeczać, poza jednym oczywistym: lubił się sprzeczać z ludźmi, zwłaszcza z tymi, których nie lubił, co w tej chwili oznaczało wszystkich.

Westchnął i zredukował bieg.

Droga robiła się coraz bardziej stroma, a jego ciężarówka była załadowana po brzegi duńskimi termostatami do kaloryferów.

Nie posiadał wrodzonej skłonności do bycia zgryźliwym – przynajmniej taką miał nadzieję. To tylko deszcz go przygnębiał, zawsze tylko deszcz.

Właśnie, dla odmiany, padało. Padał ten rodzaj deszczu, którego szczególnie nie lubił, gdy jechał samochodem. Miał na jego określenie numer. Był to deszcz numer 17.

Rob McKenna przeczytał gdzieś, że Eskimosi mają ponad dwieście określeń śniegu, bez których ich rozmowy byłyby zapewne bardzo monotonne. Podobno dostrzegają różnice między drobno i gęsto padającym śniegiem, lekkim i ciężkim, rozpaćkanym, zmrożonym, śniegiem niesionym śnieżycą, nawiewanym wiatrem, a także przyniesionym na butach przez sąsiada, który

właśnie przyszedł z wizytą i roznosi go po czyściutkiej podłodze igloo. Śnieg zimowy, wiosenny, śnieg zapamiętany z dzieciństwa, znacznie lepszy od współczesnego, śnieg drobny, puszysty, śnieg ze wzgórz, z dolin, padający o poranku, padający nocą, spadający nagle właśnie wtedy, kiedy zamierza się iść na ryby, i śnieg, na który wbrew wszelkim próbom odzwyczajania ich od tego, nasikały psy zaprzęgowe.

Rob McKenna miał w notesie listę dwustu trzydziestu jeden rodzajów deszczu i nie lubił żadnego.

Zredukował bieg i silnik zwiększył obroty. Ciężarówka z zadowoleniem mruknęła do załadowanych na nią duńskich termostatów.

Od czasu gdy wczorajszego popołudnia opuścił Danię, Rob McKenna przejeżdżał przez deszcze numer 33 (drobna siąpiąca mżawka, od której droga robi się śliska), 39 (grube pojedyncze krople), 47 do 51 (pionowo padający drobny kapuśniaczek i kilka rodzajów bardzo skośnie siekającej, drobnej i średniej, ożywczej mżawki), 87 i 88 (dwa nieznacznie różniące się warianty lejącej prosto z góry ulewy), 100 (zimny szkwał po ulewie), wszystkie rodzaje morskiej burzy między 192 i 213 naraz, 123, 124, 126, 127 (delikatne i o średnim nasileniu zimne szkwały, powodujące regularne i synkopowane bębnienie w dach kabiny), 11

(intensywne kropienie), a na koniec ten, którego nie lubił najbardziej – deszcz numer 17.

Deszcz numer 17 to wstrętne walenie strug wody w przednią szybę, tak intensywne, że jest obojętne, czy są włączone wycieraczki. Rob McKenna sprawdził tę teorię, wyłączając je na chwilę, ale okazało się, że znacznie pogorszyło to widoczność. Teoria okazała się na tyle słuszna, że kiedy ponownie włączył wycieraczki, widoczność nie poprawiła się ani na jotę.

Jedna z wycieraczek zaczęła odpadać. Plap, plap, plap, klap, plap, plap, klap, plap, plap, klap, plap, klap, klapfrupkrrrrchch.

Rob McKenna wałnął pięściami w kierownicę, tupnął w podłogę, trzasnął dłonią w magnetofon, aż nagle zaśpiewał Barry Manilow, wtedy walił tak długo, aż Barry Manilow przestał, i zaczął kłąć, kłąć, kłąć, kłąć, kłąć, kłąć.

Dokładnie wtedy, kiedy jego wściekłość osiągała apogeum, w świetle reflektorów zamajaczyła na poboczu, ledwie widoczna przez wałące strugi deszczu, postać. Była uszargana, wynędzniała, dziwnie odziana, zmoczona bardziej od wydry w pralce. Wyraźnie próbowała jechać autostopem.

„Biedny, nędzny palant” – pomyślał Rob McKenna, kiedy dotarło do niego, że ma przed sobą kogoś mającego większe od niego prawo czuć się źle traktowanym przez świat. – ”Musi być przemarznięty do szpiku kości. Autostop w tak wredną noc to naprawdę głupota.

Człowiek jedynie marznie, moknie i ochlapują go przejeżdżające ciężarówki.”

Pokręcił ponuro głową, westchnął i szarpnął kierownicą, by wjechać w środek wielkiej kałuży.

„Rozumiesz, co mam na myśli?” – dumął, prąc przez nią. – „Stojąc tak na poboczu człowiek nic, tylko się uświni”.

Kilka sekund później zobaczył autostopowicza we wstecznym lusterku – stał na poboczu i ociekał wodą jak zmokły pies. Przez chwilę ten widok cieszył Roba McKennę, ale zaraz zrobiło mu się przykro, że go to cieszy. Potem ucieszył się z tego, że zrobiło mu się przykro, że się cieszył, i zadowolony pomknął dalej w noc.

Nie przejął się nawet tym, że wyprzedziło go porsche, które skutecznie blokował przez ostatnie trzydzieści kilometrów.

Rob McKenna jechał dalej, a deszczowe chmury ciągnęły za nim, bo choć nie miał o tym pojęcia, był Bogiem Deszczu.

Rob McKenna wiedział jedno – że jego dni pracy są okropne i następują po nich nędzne

dni wolne. Chmury też wiedziały jedno – że go kochają i chcą być blisko, pieścić go i zraszać.

Rozdział 3

Dwóch następnych ciężarówek nie prowadzili bogowie deszczu, ale ich kierowcy zrobili to samo, co Rob McKenna. Postać maszerowała – czy raczej brnęła – dalej, aż droga znów zaczęła się wznosić, a zdradziecka monstrualna kałuża została daleko z tyłu.

Po pewnym czasie deszcz zaczął słabnąć i zza chmur wyjrzał na chwilę księżyc.

Nadjechał renault. Jego kierowca entuzjastycznymi i nadzwyczaj skomplikowanymi ruchami dawał znaki wlokącej się noga za nogą postaci, że normalnie z radością by ją podwiózł, ale tym razem nie może, ponieważ jedzie gdzie indziej i to niezależnie od tego, w jakim kierunku postać zdąży, ale jest pewien, że go rozumie. Kierowca zakończył gestykulację optymistycznym uniesieniem kciuka, jakby chciał wyrazić nadzieję, iż postaci jest dobrze mimo przemarznięcia i przemoczenia do suchej nitki i że następnym razem na pewno ją podwiezie.

Postać człapała dalej. Przejechał fiat i kierowca zrobił to samo, co kierowca renaulta.

Z przeciwnego kierunku nadjechała furgonetka. Kierowca błysnął reflektorami na wlokącą się postać, choć nie wiadomo było, czy ma to znaczyć „Cześć!”, „Przepraszam, ale jedziemy w innym kierunku” czy „Zobacz, ktoś chodzi po deszczu! Ale cymbał”. Zielony pasek na górze przedniej szyby informował, że – jakakolwiek by była – wiadomość pochodziła od Steve’a i Caroli.

Było już po burzy i grzmoty pomrukiwały jedynie nad dalekimi wzgórzami niczym ktoś, kto mówi: „A z drugiej strony...” po tym, jak dwadzieścia minut wcześniej zgubił wątek.

Nocne powietrze było przejrzyste, ale wyraźnie się ochłodziło. Dźwięki rozchodziły się znakomicie. Zagubiona, rozpaczliwie dygocąca postać dotarła właśnie do odchodzącej od głównej szosy wąskiej drogi. Po drugiej stronie zakrętu stał drogowy znak. Postać szybko do niego podbiegła i zaczęła go lustrować z gorączkową ciekawością, odwracając się jedynie na chwilę, kiedy przejechał kolejny samochód.

Potem przejechał jeszcze jeden.

Pierwszy śmignął, drugi bez sensu mignął światłami. Pojawił się ford cortina i zaczął hamować. Postać, zaskoczona, zachwiała się na nogach, przycisnęła torbę do piersi i rzuciła się w kierunku samochodu. W ostatniej chwili ford zabuksował kołami w błocie i odjechał, zabawnie zarzucając. Postać zwolniła, stanęła – zagubiona i zdeprymowana.

Jak to czasem bywa, następnego dnia kierowca cortiny trafił do szpitala z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Z powodu zabawnego zbiegu okoliczności chirurg zamiast wyciąć wyrostek amputował nogę i nim znaleziono wolny termin na ponowne przeprowadzenie operacji, zapalenie wyrostka przeszło w pocieszenie poważny przypadek zapalenia otrzewnej i sprawiedliwości stało się zadość.

Postać mozoliła się dalej.

Obok zahamował saab.

Opadła boczna szyba i przyjazny głos zapytał: – Długo tak wędrujesz?

Postać odwróciła się ku głosowi. Zatrzymała się i chwyciła klamkę drzwi.

Postać, samochód i klamka znajdowały się na planecie zwanej Ziemią, na temat której w przewodniku Autostopem przez Galaktykę napisano trzy słowa: W zasadzie niegroźna.

Autor hasła zwał się Ford Prefect i przebywał właśnie na planecie, którą trudno by określić jako niegroźną. Siedział w barze, który też trudno by określić jako niegroźny, i właśnie sprowadzał na siebie kłopoty.

Rozdział 4

Przypadkowy obserwator nie byłby w stanie odróżnić, czy Ford robił to, ponieważ był pijany, chory lub samobójczo szalony, nie jest to jednak istotne, gdyż w barze „Pod Starym Różowym Psem” na południowym krańcu Han Dold City, nie było przypadkowych obserwatorów. To nie miejsce, gdzie można sobie pozwolić na cokolwiek przypadkowego – oczywiście, jeśli chce się pozostać przy życiu. Wszyscy tutejsi obserwatorzy byli wrednymi, jastrzębiookimi, ciężko uzbrojonymi obserwatorami i każdemu pulsowało boleśnie w głowie, co powodowało, że kiedy obserwowali coś, co im się nie podobało, robili szalone rzeczy.

W barze właśnie zapanowała okropna cisza, w rodzaju tych, które zapadają tuż przed wzajemnym ostrzałem rakietowym.

Zamilkł nawet siedzący na wbitym w bar paliku obrzydliwy ptak, wywrzaskujący bezpłatnie nazwiska i adresy miejscowych płatnych morderców.

Wszystkie oczy patrzyły na Forda Prefecta. Niektóre były osadzone na szypułkach.

Sposób, jaki Ford wybrał na lekkomyślne igranie z życiem, polegał na próbie zapłacenia rachunku za drinki (opiewającego na sumę równą budżetowi na wydatki wojskowe niewielkiego państwa) kartą kredytową American Express, nie uznawaną nigdzie we wszechświecie.

– Czym się denerwujecie? – spytał Ford wesoło. – Datą ważności? Nie słyszeliście o neowzględności? Istnieją zupełnie nowe gałęzie fizyki, zajmujące się związanymi z nią zagadnieniami, efektami rozszerzania czasu, relatywistyką czasową...

– Nie denerwujemy się datą ważności – odparł mężczyzna, do którego skierowano powyższą uwagę, czyli niebezpieczny barman w niebezpiecznym mieście. Mówił z cichym, łagodnym pomrukiem, podobnym do cichego, łagodnego pomruku towarzyszącego otwieraniu silosu rakiety międzykontynentalnej. Równocześnie w kontuar pukała podobna do połówki wieprza ręka, pozostawiając lekkie wgniecenia.

– No to świetnie – odparł Ford, pakując plecak i zbierając się do wyjścia.

Palec pukającej w bar ręki wyprostował się i delikatnie spoczął na barku Forda, co uniemożliwiło mu odejście. Palec był, co prawda, połączony z mięsistą dłonią, a dłoń z maczugowatym przedramieniem, ale przedramię nie było połączone z niczym, chyba że w sensie przenośnym – z barem, będącym domem ręki. Kiedyś ręka była połączona w znacznie bardziej konwencjonalny sposób z poprzednim właścicielem baru, który na łożu śmierci niespodziewanie przekazał ją Akademii Medycznej. Uznano tam jednak, że nie da się patrzeć na rękę i zwrócono ją barowi „Pod Starym Różowym Psem”.

Nowy właściciel baru nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone, duchy ani podobne głupstwa, ale na pierwszy rzut oka rozpoznawał sojusznika. Tak więc ręka siedziała na barze.

Przyjmowała zamówienia, podawała drinki, obchodziła się morderczo z tymi, którzy zachowywali się tak, jakby chcieli zostać zamordowani.

Ford Prefect siedział bez ruchu.

– Nie denerwujemy się datą ważności – powtórzył barman, zadowolony z tego, że Ford Prefect skupiał uwagę wyłącznie na nim. – Denerwuje nas ten kawałek plastyku jako taki.

– Co? – zdziwił się Ford. Wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Nie przyjmujemy tego! – syknął barman, podnosząc do góry kartę, jakby była rybką, której duszyczka trzy tygodnie temu poszybowała do rybiej Krainy Wiecznego Błogosławieństwa.

Ford myślał przez chwilę, czy wspomnieć, że nie ma przy sobie innych środków

płatniczych, postanowił jednak walczyć dalej. Ręka trzymała jego ramię w dwóch palcach.

Łagodnie, ale mocno.

– Chyba nie dotarło do was – wyraz twarzy Forda przemieniał się z lekkiego zaskoczenia w jawne niedowierzanie – że to karta kredytowa American Express. To najelegantszy znany człowiekowi sposób płacenia rachunków. Nie czytacie reklamówek, którymi zasypują ludzi?

Wesołość w głosie Forda zaczynała drażnić barmana.

Brzmiała dla niego, jakby w trakcie jednego z posępniejszych fragmentów requiem wojennego, ktoś popiskiwał na okarynie.

Jakaś kość w barku Forda zaczęła trzeć o inną w sposób sugerujący, że posiadana przez rękę wiedza o bólu pochodzi od wykwalifikowanego kręgarza. Ford miał nadzieję, że uda mu się załagodzić sprawę, nim ręka zacznie trzeć którąś z kości ramienia o kości w innych częściach ciała. Na szczęście ręka trzymała nie to ramię, przez które Ford przewiesił plecak.

Barman pchnął kartę przez bar w stronę Forda.

– Jeszcze nigdy – wysyczał z powstrzymaną wściekłością – nie słyszeliśmy o czymś takim.

Nic w tym zaskakującego. Ford otrzymał kartę dopiero pod koniec piętnastoletniego pobytu na Ziemi i to tylko z powodu poważnego błędu komputera. Jak poważnego, American Express Company dowiedziała się bardzo szybko, a coraz bardziej natarczywe i paniczne żądania Działu Odzyskiwania Długów umilkły dopiero w momencie nieoczekiwanego zniszczenia planety przez Vogonów, którzy robili miejsce na nową hiperprzestrzenną drogę szybkiego ruchu.

Ford zachował kartę, ponieważ uważał za korzystne posiadanie waluty, której nikt nie uznaje.

– Jak zapatruje się pan na... kredyt? – zapytał Ford, natychmiast dodając: – Ghrrrrhhh...

W barze „Pod Starym Różowym Psem” wypowiedzenie słowa „kredyt” było nierozzerwalnie związane z następnym dźwiękiem.

– Zdawało mi się... – wydyszał Ford – że to lokal z klasą...

Rozejrzał się, omiatając wzrokiem pstrą zbieraninę zabójców, alfonsów i szefów firm fonograficznych, czających się na obrzeżach wysp mętnego światła, rozrzuconych tu i ówdzie w głębokiej ciemności baru. Wszyscy oni z pełnym rozmysłem patrzyli wszędzie, ale nie na Forda, i podejmowali przerwane wątki rozmów o morderstwach, handlu narkotykami i produkcji płyt. Zdawali sobie sprawę, co zaraz nastąpi, i nie zamierzali się temu przyglądać, gdyż mogło to odwrócić ich uwagę od drinków.

– Koniec z tobą, chłopcze – cicho mruknął barman, a prawo było najwyraźniej po jego stronie. Kiedyś w barze wisiał szyld z napisem: PROSZĘ NIE PROSIĆ O KREDYT, PONIEWAŚ CIOS PIĘŚCIĄ W NOS CZĘSTO BOLI, ale dla większej dokładności zamieniono napis na: PROSZĘ NIE PROSIĆ O KREDYT, PONIEWAŚ WYRYWANIE

GARDŁA PRZEZ DRAPIEŚNEGO PTAKA, PODCZAS GDY GŁOWA WALI O BAR TRZYMANA PRZEZ RĘKĘ BEZ TUŁOWIA, CZĘSTO BOLI. Niestety, zmiana spowodowała, że napis stał się nieczytelny, a zdanie przestało dobrze brzmieć, postanowiono więc usunąć szyld. Uznano, że wieść i tak będzie się rozchodzić, i nie pomyłono się.

– Pozwól mi jeszcze raz rzucić okiem na rachunek – poprosił Ford. Wziął kartkę i zaczął ją studiować, obrzucany wrogimi spojrzeniami barmana i nie mniej wrogimi spojrzeniami ptaka, drapiącego szponami głębokie rysy w drewnie baru.

Papier był dość długi. Na samym dole znajdowały się cyfry przypominające wybijany na spodzie drogich zestawów stereofonicznych numer seryjny, wymagający mnóstwa czasu, by przepisać go na gwarancji. W końcu Ford siedział w barze cały dzień, wypił masę różnych mieszanek z bąbelkami i postawił okropnie dużo kolejek zebranych w barze zabójcom, alfonsom i

szefom firm fonograficznych, którzy nagle nie mogli sobie przypomnieć, kim on jest.

Odchrząknął bez zdenerwowania i poklepał się po kieszeniach. Wiedział, że niczego tam nie ma. Lewą dłoń położył lekko, acz zdecydowanie, na odchylonej klapie plecaka. Ręka bez tułowia nasiliła ucisk.

– Musisz mnie zrozumieć – powiedział barman, którego twarz zdawała się kołysać przed Fordem jak symbol zła. – Muszę dbać o reputację. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

„No cóż” – pomyślał Ford. Nie było innej możliwości. Zrobił wszystko, żeby przestrzegać przepisów, dokonał szczerzej próby zapłacenia rachunku, ale ofertę odrzucono.

Jego życie znajdowało się w niebezpieczeństwie.

– No cóż... – powiedział spokojnie – jeśli chodzi o pańską reputację...

Błyskawicznym ruchem otworzył plecak i rzucił na bar egzemplarz Autostopem przez Galaktykę i legitymację, z której wynikało, że jest pracownikiem terenowym przewodnika i nie wolno mu robić tego, co właśnie zamierzał zrobić.

– Chce pan dostać dobrą krytykę?

Twarcz barmana zamarła. Szpony ptaka zamarły w środku wydrapywanej rysy. Ręka powoli rozluźniła uchwyt.

– Byłoby to niezwykle miłe... – szepnął ledwie słyszalnie barman wyschniętymi nagle ustami.

Rozdział 5

Autostopem przez Galaktykę jest niezwykle wpływową instytucją. Ma tak kolosalne znaczenie, że redakcja musiała ustalić sztywne reguły, zapobiegające nadużywaniu pozycji, jaką dzięki pracy dla przewodnika uzyskują jego współpracownicy.

I tak, pracownikom terenowym nie wolno korzystać z żadnych usług, rabatów ani przywilejów w zamian za przysługi związane z działalnością wydawniczą Autostopem, chyba że: a) szczerze próbowali zapłacić za usługę, b) byłoby zagrożone ich życie, c) wyraźnie sobie tego życzą.

Ponieważ punkt c oznacza odstępowanie redaktorowi naczelnemu działki, Ford zawsze preferował powoływanie się na którąś z pierwszych dwóch reguł.

Wyszedł na ulicę i ruszył żwawo przed siebie.

Było duszno, ale Fordowi się to podobało, uwielbiał bowiem miejską duchotę, powietrze wypełnione podniecająco obrzydliwymi zapachami, niebezpieczną muzyką i płynącymi z dala odgłosami walczących z sobą szwadronów policyjnych.

Niósł plecak, kołysząc lekko nadgarstkiem, by móc porządnie zdzielić każdego, kto zamierzałby zabrać mu go bez pytania. W plecaku miał cały swój dobytek, a nie było tego dużo.

Ulicą hałaśliwie jechała wielka limuzyna. Przemknęła między stertami płonących śmieci i przestraszyła stare zwierzę pociągowe, które rżąc, usunęło się z drogi, uderzyło w wystawę zielarni, uruchomiło alarm i poczłapało na drżących nogach dalej, by w końcu z premedytacją spaść ze schodów, prowadzących do znajdującej się w suterenie restauracyjki specjalizującej się w potrawach z makaronów, gdzie – jak wiedziało – zostanie sfotografowane i nakarmione.

Ford szedł na północ. Uważał, że idzie do kosmodromu, ale tak samo myślał, nim wszedł do knajpy. Wiedział, że znajduje się w dzielnicy, gdzie ludzie często gwałtownie zmieniają plany.

– Miałbyś ochotę się zabawić? – zapytał głos z bramy.

– O ile wiem, już to robię. Dziękuję bardzo.

– Jesteś bogaty? – spytał inny głos.

Forda tak to rozbawiło, że się roześmiał. Odwrócił się w stronę głosu i rozpostarł ramiona.

– Wyglądam na bogatego?

– Nie mam pojęcia – odparła dziewczyna. – Może tak, może nie. Może kiedyś zostaniesz bogaty. Mam dla bogatych coś specjalnego...

– Naprawdę? – Ford był zainteresowany, lecz ostrożny.

– Co?

– Mówię im, że nie ma nic złego w byciu bogatym.

Z okna na którymś z wyższych pięter rozległy się strzały, śmierć poniósł jednak tylko gitarzysta basowy – za złe zagranie trzy razy z rzędu tego samego akordu, ale gitarzystów basowych jest w Han Dold City mnóstwo.

Ford stał i wpatrywał się w ciemność bramy.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem i podeszła krok do przodu. Była wysoka i emanowała spokojną wstydlivością, mogącą przy umiejętnym jej okazywaniu zdziałać cuda.

– To mój hit – powiedziała, zauważając zachwyt Forda. – Mam magisterium z ekonomii społecznej i umiem być przekonująca. Ludzie to uwielbiają, zwłaszcza w tym mieście.

– Goosnargh – powiedział Ford Prefect. Było to betelgeusańskie słowo, którego używał zawsze wtedy, kiedy uznawał, że powinien coś powiedzieć, a nie wiedział, co.

Usiadł na schodkach i wyjął z plecaka butelkę starego džankskiego sznapsa i ręcznik.

Wyciągnął korek i przetrął szyjkę ręcznikiem, co przyniosło skutek zupełnie przeciwny do zamierzonego. Stary džankski sznaps natychmiast bowiem unicestwił miliony bakterii, które powoli budowały na co bardziej śmierzących częściach ręcznika skomplikowaną i oświeconą cywilizację.

– Chcesz się napić? – zapytał Ford, dopiero jednak, gdy sam pociągnął już spory łyk.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i sięgnęła po oferowaną jej butelkę.

Siedzieli potem przez pewien czas i spokojnie przysłuchiwali się dzwoniącym w sąsiednim bloku alarmom.

– Tak się składa, że różni ludzie są mi winni mnóstwo forsy. Będę mógł cię odwiedzić, jeśli ją kiedyś dostanę?

– Jasne, będę tu gdzie dziś. Ile to jest mnóstwo?

– Diety za piętnaście lat.

– Za co?

– Za napisanie trzech słów.

– Święty Zarkwonie! – dziewczynę niemal zatkało. – Które pisałeś najdłużej?

– Drugie. Kiedy je miałem, pozostałe dwa same wpadły mi do głowy któregoś dnia po lunchu.

Z okna na którymś z wyższych pięter wyleciała elektroniczna perkusja i roztrzaskała się na jezdni tuż przed nimi.

Wkrótce było jasne, że niektóre alarmy w budynku obok zostały rozmyślnie uruchomione przez jeden ze szwadronów policyjnych, by zwabić w pułapkę inny szwadron. Zaczęły się zjeżdżać radiowozy na sygnale, jednak tylko po to, by się przekonać, że są wyluskiwane przez nadlatujące między gigantycznymi wieżowcami helikoptery.

– Tak naprawdę – Ford musiał przekrzykiwać panujący hałas – było trochę inaczej.

Napisałem straszną masę słów, ale skrócono mi artykuł. – Wyjął z plecaka Autostopem. – Potem planeta została zniszczona. Bardzo przydatna robota, co? Mimo to muszą zapłacić.

– Pracujesz dla tego? – odkrzyczała dziewczyna, wskazując na Autostopem.

– Tak.

– Niezła rzecz.

– Chcesz zobaczyć, co napisałem? – krzyczał Ford. – Nim zostanie wymazane? Dziś wieczór mają zostać dokonane poprawki. Ktoś musiał się dowiedzieć, że planeta, na której spędziłem piętnaście lat, przestała istnieć. W czasie kilku ostatnich redakcji przeoczyli sprawę, ale nie mogła wiecznie uchodzić ich uwagi.

– Powoli rozmowa staje się niemożliwa, co?

– Co?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i pokazała palcem w górę. Tuż nad ich głowami krążył helikopter, najwyraźniej uwikłany w utarczkę ze znajdującym się na którymś z wyższych pięter zespołem. Oknami buchał dym. Z jednego z nich zwisał technik dźwięku, trzymając się parapetu końcami palców, w które tłukł płonąca gitara oszalały gitarzysta solowy. Strzelano do obydwu z helikoptera.

– Może sobie pójdziemy?

Ruszyli ulicą, oddalali się od hałasu. Wkrótce natknęli się na teatr uliczny, którego członkowie chcieli zagrać im jednoaktówkę o problemach centrum miasta; trupa szybko jednak zrezygnowała i zniknęła w restauracyjce, niedawno zaszczyconej przez zwierzę pociągowe.

Ford stukał w klawisze Autostopem. Na chwilę schronili się w zaułku między blokami.

Ford przysiadł na kubie na śmieci, przez ekran przewodnika zaczęły mknąć kolumny słów.

Ford znalazł swój wpis.

Ziemia: W zasadzie niegroźna.

Prawie w tej samej chwili ekran wypełniło mnóstwo informacji systemowych.

– Zaczyna się – stwierdził Ford.

Proszą czekać – brzmiała informacja. – Hasła są właśnie aktualizowane. Niniejszy zapis jest poprawiany. System będzie wyłączony przez dziesięć sekund.

W głębi zaułka pojawiła się i zaraz zniknęła stalowoszara limuzyna.

– Słuchaj, jak ci zapłacą, wpadnij – odezwała się dziewczyna. – Teraz mam niestety masę roboty, czeka na mnie parę osób. Muszę iść.

Ruchem dłoni odsunęła na bok nie do końca wypowiedziany protest Forda i zostawiła go przygnębionego na kubie na śmieci. Ford szykował się do obejrzenia, jak efekty znakomitej większości jego zawodowego życia ulatują w niebyt.

Sytuacja na ulicy nieco się uspokoiła. Bitwa między policjantami przeniosła się do innej dzielnicy, pozostali przy życiu członkowie zespołu rockowego postanowili zaakceptować różnice swych muzycznych gustów i rozpocząć kariery solowe, zespół teatru ulicznego opuścił restaurację makaronową razem ze zwierzęciem pociągowym, tłumacząc mu, że zabiorą je do pewnego doskonale sobie znanego baru, gdzie zostanie potraktowane z większym szacunkiem, trochę dalej zaś, przy krawężniku, cicho zaparkowała stalowoszara limuzyna.

Dziewczyna ruszyła w jej kierunku spiesznym krokiem.

W ciemności zaułka za jej plecami twarz Forda Prefecta załała zielonkawa, migocząca poświata, a jego oczy powoli rozszerzały się ze zdziwienia.

Tam gdzie oczekiwał, że nie będzie niczego i ujrzy jedynie pustkę po wymazanym, skreślonym wpisie, sunął nieprzerwany strumień danych: teksty, wykresy, kolumny cyfr i rysunki; poruszające opisy surfingu na australijskich plażach, jogurtu produkowanego na greckich wyspach, restauracji, których należy unikać w Los Angeles, interesów, jakich nie należy robić w Stambule, pogody, jakiej należy unikać w Londynie, barów, do których można chodzić wszędzie. Strony, strony, strony.

Było wszystko, każde słowo, jakie napisał.

Marszczył coraz bardziej czoło. W całkowitym niezrozumieniu przeskakiwał do przodu albo cofał się, od czasu do czasu zatrzymując się na wybranych fragmentach.

Rady dla Obcych odwiedzających Nowy Jork: Lądowanie: Obojętnie gdzie, może być w Central Parku, nie ma to znaczenia. Nikt się nie przejmie, nikt nawet nie zauważy.

Przetrawianie: Zdobądź natychmiast pracę jako taksówkarz.

Praca taksówkarza polega na wożeniu ludzi tam, dokąd chcą, żółtą maszyną zwaną taksówką. Nie przejmuj się, jeśli nie wiesz, jak taka maszyna działa, nie znasz języka, nie masz pojęcia o topografii miasta ani nie rozumiesz podstawowych praw fizycznych panujących na Ziemi, a z głowy wyrastają ci zielone anteny. Uwierz – nie ma lepszego sposobu konspiracji.

Jeśli twoje ciało jest naprawdę dziwaczne, pokazuj je na ulicy za pieniądze.

Amfibiczne bioformy ze wszystkich planet w systemach obrzękowych, obrzydowych i wymiotnych będą szczególnie zachwycone East River, o której to rzece mówi się, że zawiera więcej smakowitych życiodajnych składników niż najprzedniejszy gatunek najbardziej morderczej laboratoryjnie syntetyzowanej breji.

Zabawa: Rozległy problem. Nie ma możliwości bawienia się w Nowym Jorku bez uprzedniego elektrycznego wypalenia centrów rozkoszy w mózgu...

Na klawiszu, który Ford nacisnął, było napisane MODE EXECUTE READY, zamiast staromodnego już napisu: GOTOWOŚĆ KOMUNIKACYJNA, który niezwykle dawno temu zastąpił pochodzące chyba z epoki kamienia łupanego WŁĄCZONE – WYŁĄCZONE.

Ford był świadkiem całkowitego zniszczenia Ziemi, obserwował je na własne oczy – czy raczej, oślepiiony piekielnymi eksplozjami powietrza i światła, czuł pod stopami, jak wzburzona falami energii, wyrzucanymi z obrzydliwych żółtych statków Vogonów, Ziemia staje dęba i dudniąc zaczyna pulsować, uderzając z siłą młota kowalskiego w stopy tych, co się na niej znajdowali. Pięć sekund po momencie, który musiał być ostami, Ford poczuł łagodnie pulsujące nudności dematerializacji i został wraz z Arturem Dentem wyemitowany w atmosferę jak wiadomości sportowe.

Nie mylił się, nie mogło być pomyłki. Ziemia została bezpowrotnie zniszczona.

Ostatecznie, stuprocentowo. Wyparowała w kosmos. Miał jednak przed sobą – ponownie włączył Autostopem – własny reportaż na temat, jak spędzić mile czas w Boumemouth w hrabstwie Dorset w Anglii. Zawsze był niezwykle dumny z tego artykułu, ponieważ uważał go za jeden z najdziwniejszych pomysłów, na jakie kiedykolwiek wpadł.

Ponownie go przeczytał i pokręcił głową w niemym podziwieniu.

Nagle zrozumiał, jakie jest wyjaśnienie dręczącego go problemu: musiało właśnie działać się coś dziwnego. Jeśli naprawdę działo się coś dziwnego, to chciał, by działo się to z nim.

Wepchnął Autostopem do plecaka i wypadł na ulicę.

Ruszył znów na północ. Minął parkującą przy krawężniku stalowoszarą limuzynę, z pobliskiej bramy doleciały go wypowiedane łagodnym tonem słowa: „Nie ma w tym nic złego, skarbie, naprawdę nic w tym złego. Musisz się nauczyć tym cieszyć. Zwróć uwagę, jak skonstruowana jest gospodarka...”. Ford wyszczerzył zęby w uśmiechu, ominął stojący w płomieniach następny blok, zauważył stojący bez nadzoru helikopter policyjny, włamał się do niego, zapiął pasy, splunął trzy razy przez lewe ramię na szczęście i wzleciał w niebo, wykonując serię nieporadnych ewolucji. Wznosił się, mrozącymi krew w żyłach esamifloresami, pomiędzy przypominającymi gigantyczny wąwóz ścianami wieżowców, zostawił je pod sobą i zaczął się przebijać przez wiszącą nieprzerwanie nad miastem chmurę czarnoczerwonego dymu.

Dziesięć minut później – podczas gdy każda syrena helikoptera wyła jak wściekła, a każde jego działko szybkostrzelne pluło jak oszalałe i zupełnie bezładnie w chmury – Ford

Prefect spikował między wieżyczki nawigacyjne i latarnie kierunkowe kosmodromu Han Dold, gdzie osiadł na pasie jak olbrzymi, przerażony i niezwykle hałaśliwy komar.

Ponieważ niezbyt zdemolował helikopter, udało mu się zamienić go na bilet pierwszej klasy na pierwszy opuszczający system statek kosmiczny. W środku natychmiast usadowił się wygodnie w jednym z ogromnych, rozkosznych, pieszczących ciało foteli.

Kiedy statek migocząc światłami zaczął bezgłośnie pokonywać niesamowicie długą międzygwiazdą trasę, a obsługa wpadła w swój zwykły, ekstrawagancki rytm, pomyślał, że robi się wesoło.

– Tak, poproszę – mówił do stewardów za każdym razem, kiedy podchodzili płynnym krokiem, by mu coś zaproponować.

Ponownie czytając odtworzony tajemniczo artykuł o Ziemi, Ford uśmiechał się w dziwny, radosny, wariacki sposób. Miał przed sobą kawał tekstu, który będzie mógł nareszcie dokończyć, i sprawiało mu przyjemność, że życie nieoczekiwanie postawiło mu poważny cel.

Nagle dotarło do niego, że nie wiadomo dlaczego zastanawia się, gdzie przebywa Artur Dent i czy zdaje sobie sprawę z tego, co się właśnie wydarzyło.

Artur Dent przebywał tysiąc czterysta trzydzieści siedem lat świetlnych od Forda.

Siedział w samochodzie osobowym i był mocno przestraszony. Za jego plecami siedziała dziewczyna, z powodu której uderzył się przy wsiadaniu w głowę.

Nie wiedział, czy dlatego że była to pierwsza dziewczyna jego gatunku, którą widział od lat, czy z innego powodu. W każdym razie czuł się ogłupiały.

„Przecież to absurdalne – pomyślał. – Uspokój się. Nie jesteś w dobrej formie i rozsądek nie jest obecnie twoją najmocniejszą stroną” – pouczał siebie najbardziej zdecydowanym wewnętrznym głosem, na jaki umiał się zdobyć. – „Właśnie przejechałeś autostopem sto tysięcy lat świetlnych w poprzek Galaktyki, jesteś przemęczony, nieco rozkojarzony i nieodporny na ciosy. Odpręż się, nie panikuj, spróbuj wziąć kilka głębokich wdechów”.

Spojrzał za siebie.

– Na pewno nic jej nie jest? – spytał.

Poza tym, że była tak piękna, aż łomotało mu serce, Artur wiele nie widział. Nie był w stanie zauważyć ani jej wzrostu, ani wieku, ani koloru włosów. Niestety, nie mógł jej też o nic zapytać, ponieważ była nieprzytomna.

– Jest pod wpływem narkotyków – poinformował brat dziewczyny, wzruszając ramionami i nie odwracając wzroku od jezdni.

– I to ma być w porządku? – Artur poczuł niepokój.

– Mnie pasuje – odparł brat.

– O! – powiedział Artur. Po chwili zastanowienia dodał: – Hm.

Konwersacja toczyła się jak po grudzie.

Wkrótce po wybuchu powitalnych uprzejmości Artur i Russell (brat przepięknej dziewczyny miał na imię Russell) odkryli, że zupełnie się nie lubią. Arturowi imię to zawsze kojarzyło się z barczystym facetem z utapirowanymi włosami i blond wąsami, strojącym się z byle powodu w smoking z aksamitu i koszulę z gorsem w różyczki, facetem, którego należy siłą powstrzymywać od wygłaszania uwag na temat meczów snookera.

Russell był barczysty. Miał blond wąsy. Jego fryzura była elegancka, włosy utapirowane.

Aby jednak być wobec niego w porządku – choć Artur nie widział ku temu żadnego powodu poza duchową wartością doświadczenia – on sam (to znaczy, Artur) sprawiał dość ponure wrażenie. Nie można przejechać stu tysięcy lat świetlnych, w dodatku głównie w przedziałach bagażowych, i nie wyglądać nieco mizernie. Artur wyglądał niezwykle mizernie.

– Nie jest narkomanką – powiedział nieoczekiwanie Russell, jakby uważał, że ktoś jest w

samochodzie. – Jest na środkach uspokajających.

– To straszne. – Artur ponownie odwrócił się do dziewczyny.

Jakby lekko się poruszyła. Głowa opadła jej na ramię, ciemne włosy zsunęły się na twarz i szczelnie ją zasłoniły.

– Co jej jest? Choruje?

– Nie – odparł Russell. – Ma tylko kuku na muniu.

– Ma co? – Artur był przerażony.

– Ma hyzia, zbzikowała. Właśnie wracam z nią do szpitala, żeby jeszcze raz spróbowali. Wypisali ją, choć nie przestała jej się wydawać, że jest jeżem.

– Jeżem?!

Russell wściekle nacisnął na klakson, trąbiąc na samochód z przeciwka, który wjechał na nie swój pas, zmuszając ich do zjechania na pobocze. Złość wyraźnie poprawiała mu nastrój.

– Może i nie jeżem – rzekł uspokojony – choć może lepiej, gdyby nim była. Komuś uważającemu się za jeża wystarczyłoby chyba wcisnąć do ręki lusterko oraz parę zdjęć jeży i kazać się porównać, potem iść sobie i wrócić, jak mu się poprawi. Medycyna mogłaby wyciągnąć z tego korzyść. Dla Fenny nie jest jeszcze dość rozwinięta.

– Fenny?

– Wiesz, co dałem jej na Gwiazdkę?

– A skąd?

– Leksykon lekarski Blacka.

– Piękny prezent.

– Też mi się tak zdawało. Opisuje tysiące chorób, a wszystkie są uporządkowane alfabetycznie.

– Ma na imię Fenny?

– Tak. Powiedziałem jej, że ma wolny wybór. Wszystko, o czym piszą w leksykonie, można leczyć, przepisać odpowiednie leki, ale nie, ona musi mieć coś innego. Tylko po to, by utrudnić człowiekowi życie. Już w szkole taka była.

– Naprawdę?

– Tak. Przewróciła się przy hokeju i złamała sobie kość, o której nikt nie słyszał.

– Rozumiem, to może być denerwujące... – przyznał Artur z powątpiewaniem w głosie.

Był rozczarowany, że dziewczyna nazywa się Fenny. Cóż za idiotyczne, przygnębiające imię, pasujące najwyżej do pozbawionej wdzięku starej panny, która nie może więcej znieść imienia Fenella.

– Nie powiem, żebym jej nie współczuł – ciągnął Russell – ale z czasem zrobiło się to nieco denerwujące. Miesiącami kuśtykała.

Zwolnił.

– To nie twoje skrzyżowanie?

– Eee... nie – odparł Artur. – Moje jest dziesięć kilometrów dalej. Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Skądże – powiedział Russell po przerwie tak dobranej, by dać do zrozumienia, że mu przeszkadza, i dodał gazu.

W rzeczywistości było to skrzyżowanie, na którym Artur powinien wysiąść, nie chciał jednak tego robić, nie dowiedziawszy się czegoś o dziewczynie, która nawet nieprzytomna robiła na nim tak wielkie wrażenie. Mógł wysiąść na którymś z dwóch następnych skrzyżowań. Z obu można było wrócić do miasteczka, gdzie kiedyś był jego dom. Zamierzał tam wrócić, mimo iż wolał nie myśleć, co zastanie. W czasie jazdy jak duchy przemykały dobrze znane Arturowi miejsca. Wywoływały w nim dreszcze, jakie jest w stanie wywołać jedynie coś doskonale

znanego, kiedy ujrzy się to nieoczekiwanie, w dodatku w niezwykłym świetle.

W jego osobistej skali czasu – oczywiście, o ile dokładne mogły być obliczenia kogoś, kto tyle przeżył pod dziwnie krążącymi dalekimi słońcami – od momentu gdy opuścił Ziemię, minęło osiem lat, nie próbował jednak określić nawet w przybliżeniu, ile czasu minęło tutaj.

Prawdę powiedziawszy, w jego zmęczonej głowie nie mieściło się nic, co tu się wydarzyło, ponieważ planeta nie powinna już istnieć.

Została zniszczona, rozbita w pył osiem lat temu w porze lunchu przez olbrzymie żółte statki kosmiczne Vogonów, które zawisły na niebie, jakby prawo ciążenia było jedynie zarządzeniem burmistrza a jego złamanie niczym poważniejszym od złego parkowania.

– Majaki – rzekł Russell.

– Słucham? – Artur został gwałtownie wytrącony z rozmyślań.

– Ona twierdzi, że nachodzą ją okropne majaki, że żyje w realnym świecie. Nie należy jej mówić, że żyje w realnym świecie, ponieważ odpowiada, iż właśnie dlatego majaki są tak okropne. Nie wiem jak ty, ale ja uważam podobne rozmowy za dość wyczerpujące. Moja rada brzmi: dajcie jej parę pigułek i chodźmy na piwo. W jej przypadku, uważam, można jedynie udawać, że coś się pomoże.

Artur, nie po raz pierwszy, zmarszczył czoło.

– No cóż...

– Do tego te sny i gadki o nocnych koszmarach... i ci lekarze gadający o skokach w falach mózgu...

– Skokach?

– Ten – powiedziała w tym momencie Fenny.

Artur gwałtownie się odwrócił i wbił wzrok w jej nagle otwarte, choć nadal puste oczy.

Nieważne, co widziała – nie było tego w samochodzie. W jej oczach jakby coś zamigotało, głowa drgnęła i dziewczyna spokojnie zasnęła.

– Co ona powiedziała? – z lękiem spytał Artur.

– Powiedziała: ten.

– Ten co?

– Ten co? Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Ten jeź, tamten murek nad kominkiem, owa peseta Don Alfonso. Ma kuku na muniu, chyba już o tym wspominałem.

– Nie wygląda na to, byś się tym bardzo przejmował. – Choć Artur spróbował powiedzieć to jak najobojętniej, wyraźnie mu się nie udało.

– Słuchaj, koleś...

– Dobrze, przepraszam. Nie mój interes. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało – próbował się tłumaczyć Artur. – Wiem, że w rzeczywistości bardzo się przejmujesz – kłamał – i musisz sobie z tym jakoś radzić. Wybacz, ale właśnie przyjechałem autostopem z tamtej strony Mgławicy Konia.

Artur wbił wzrok w ciemność na zewnątrz.

Zadziwiała go, że akurat kiedy wraca do domu, o którym sądził, iż rozplynał się w nicości, spośród walczących o miejsce w jego głowie myśli rzuca go na kolana jedynie obsesyjne zainteresowanie przedziwną dziewczyną, o której nie wie niczego poza tym, że powiedziała „ten” i ma brata, którego nie życzyłby nawet Vogonowi.

– No tak, hm... co to za skoki, no te, o których wspomniałeś...? – spytał, wyrzucając z siebie słowa najszybciej, jak umiał.

– Słuchaj, przyjacielu, to moja siostra i nie rozumiem, dlaczego miałbym o niej z tobą rozmawiać...

– Oczywiście, przepraszam. Może lepiej będzie, jak mnie wysadzisz. To właśnie...

Kiedy to powiedział, wysiadanie stało się niemożliwe, ponieważ burza, która ich minęła, nagle wybuchła ze zdwojoną intensywnością. Niebo przecięły błyskawice, a z góry zdawało się wylewać coś bardzo przypominającego przelewany przez sito Ocean Atlantycki.

Russell zaklął i kiedy deszcz załomotał w samochód, skoncentrował się na jeździe. Dał upust wściekłości, przyspieszając z fantazją, by wyprzedzić ciężarówkę z napisem McKENNA – USŁUGI PRZEWOZOWE NA KAŚDĄ POGODĘ. Kiedy deszcz osłabł, napięcie spadło.

– Wszystko zaczęło się od historii z agentem CIA, którego znaleziono w sztucznym jeziorze, a ludzie zaczęli dostawać halucynacji i tak dalej... Pamiętasz?

Artur przez chwilę myślał, czy nie powinien ponownie napomknąć, że właśnie przyjechał autostopem z przeciwległego krańca Mgławicy Konia, więc dlatego, a także z innych zaskakujących powodów, nie jest na bieżąco, ale uznał, że jedynie skomplikowałoby to sytuację.

– Nie – odparł.

– Wtedy jej odbiło. Siedziała w kawiarni. W Rickmansworth. Nie wiem dokładnie, co zrobiła, ale tam sfiksowała. Podobno wstała i najspokojniej w świecie oświadczyła, że dokonała niezwykłego odkrycia, po czym lekko się zachwiała, rozejrzała błędnym wzrokiem i z krzykiem padła twarzą na leżący na stole sandwicz z jajkiem.

Artur wzdrygnął się.

– Bardzo mi przykro – powiedział dość drętwo.

Russell wydał z siebie dziwny charkot.

Artur postanowił podtrzymać rozmowę.

– Co robił agent CIA w sztucznym jeziorze? – zapytał.

– Bujał się na wodzie. Nie żył.

– Ale co...

– Przyjacielu, przecież doskonale wiesz... Halucynacje. Każdy twierdził, że CIA nie udał się eksperyment z bronią narkotyczną czy czymś w tym rodzaju. Pojawiła się idiotyczna teoria, że zamiast napadać na obcy kraj, znacznie taniej i skuteczniej będzie wywołać u jego mieszkańców wrażenie, że zostali zaatakowani.

– Na czym dokładnie polegały te halucynacje? – zapytał Artur dość spokojnie.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi... przecież mówię o historii z wielkimi żółtymi statkami kosmicznymi, o masowej hysterii, przekonaniu, że wszyscy muszą zginąć, i zniknięciu statków z cichym „pop”, kiedy psychoza osłabła. CIA złożyła dementi, co oznacza, że rzeczywiście przeprowadzali eksperyment.

Artur poczuł lekkie zawroty głowy. Wyciągnął rękę, by się czegoś chwycić. Jego usta rytmicznie się otwierały i zamykały, jakby zamierzał coś powiedzieć. Niczego jednak nie wykrztusił.

– W każdym razie – ciągnął Russell – nieważne, jakiego użyli narkotyku, u Fenny jego działanie nie chciało ustąpić. Zabierałem się całkiem poważnie do zaskarżenia CIA, ale przyjaciel prawnik powiedział mi, że to jak próba zaatakowania domu wariatów bananem, tak więc... – wzruszył ramionami.

– Vogoni... – zapiszczał Artur. – sólte statki... zniknęły?

– Oczywiście, przecież to były halucynacje – odparł Russell, przyglądając się Arturowi z ukosa. – Chcesz mi wmówić, że nic nie pamiętasz? Gdzie ty, do diabła, byłeś?

Pytanie było tak trafne, że Artur ze strachu o mało nie wypadł z fotela.

– Rany!!! – wrzasnął Russell, walcząc o panowanie nad samochodem, który nagle wpadł w poślizg. Gwałtownym skrętem kierownicy uniknął zderzenia z nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówką i bokiem zarył w kępę krzewów. Kiedy samochód stanął, dziewczyną rzuciło o fotel Russella i spadła niezgrabnie na podłogę.

Artur, przerażony, odwrócił się ku niej.
– Nic jej się nie stało? – powiedział przez zaciśnięte zęby.
Russell z wściekłością przeczesywał tapirowane włosy.
Szarpnął wąsy i popatrzył na Artura.
– Czy mógłbyś puścić ręczny hamulec? – spytał.

Rozdział 6

Miał do wsi siedem kilometrów marszu. Dwa do skrzyżowania, do którego obrzydliwy Russell z wściekłością odmówił podwieżenia, a stamtąd – kolejne pięć wijącą się polną drogą.

Saab wyparował w ciemności nocy. Artur patrzył na znikający samochód tak oszołomiony, jak może być tylko ktoś, kto przez pięć lat myślał, że jest niewidomy, i nagle odkrył, że jedynie nosi zbyt duży kapelusz. Pokręcił gwałtownie głową w nadziei, że ujawni to jakiś oczywisty fakt, który zajmie brakujące miejsce w mozaice i nada sens generalnie niezrozumiałemu wszechświatowi. Ponieważ jednak Oczwisty Fakt (jeżeli takowy istnieje)

nie chciał się ujawnić, Artur ruszył z nadzieją, że energiczny marsz, może nawet kilka bolesnych bąbli na nogach, pomoże mu upewnić się, jeśli nie o własnym zdrowiu psychicznym, to przynajmniej o realności istnienia.

Doszedł na miejsce o wpół do jedenastej, co ustalił na podstawie obserwacji zaparowanego, zatłuszczonego okna pubu „Pod Koniem i Koniuszym”, gdzie od lat wisiał mocno zniszczony zegar reklamujący piwo Guinness, na którym namalowano strusia, któremu w bardzo dowcipny sposób ktoś wetknął głęboko w gardło kufel.

Artur miał przed sobą ten sam pub, w którym spędził fatalne przedpołudnie w dniu, kiedy najpierw zniszczono, czy raczej – pozornie zniszczono, jego dom, a potem całą Ziemię.

„Nie, do jasnej cholery – pomyślał. – Naprawdę zniszczono”.

Gdyby bowiem tak nie było, to gdzie, do jasnej Anielki, był przez ostatnie osiem lat i jak tam dotarł, jeśli nie na pokładzie jednego z olbrzymich żółtych vogońskich statków kosmicznych, które, o czym właśnie mu powiedział ten obrzydliwy Russell, były narkotycznymi halucynacjami... Ale jeśli Ziemia została naprawdę zniszczona, to na czym w tej chwili stał?

Nadepnął z całej siły na hamulec swoich myśli, ponieważ wiedział, że podobne rozważania nie zaprowadzą ani milimetr dalej niż ostatnie dwadzieścia prób.

Zaczął wszystko jeszcze raz od początku.

Miał przed sobą pub, w którym spędził fatalne przedpołudnie w dniu, kiedy – niezależnie od tego, co to było – wydarzyło się coś, o czym – tak się złożyło – miał dowiedzieć się później i...

W dalszym ciągu nie miało to sensu.

Zaczął jeszcze raz.

Miał przed sobą pub, w którym...

Miał przed sobą pub!

W pubach podaje się drinki i czuł, że chętnie by się napił.

Zadowolony, że splątany wątek jego myśli udało się dojść do sensownego wniosku – choć nie tego, do jakiego chciały dojść pierwotnie, to do takiego, który cieszył – Artur ruszył ku wejściu.

Naraz gwałtownie się zatrzymał. Zza niskiego murku wybiegł czarny, szorstkowłosy terier i ujrawszy Artura, zawarczał.

Artur znał psa, nawet bardzo dobrze. Należał on do jednego z kolegów Artura z agencji

reklamowej i wabił się Nie Mam Pojęcia Bonzo, a to dlatego że z powodu sierści odstającej mu na łbie przypominał prezydenta Stanów Zjednoczonych. Terier znał Artura, a przynajmniej powinien go znać. Był to głupi pies, nie umiał nawet obsługiwać automatycznej sekretarki, przez co wiele osób miało wątpliwości co do jego imienia, powinien jednak pamiętać kolegę swego pana, a nie stać najeżony, jakby Artur był najokropniejszym zjawiskiem, jakie widział w swoim niezbyt mądrym żywocie.

Zachowanie psa skłoniło Artura do ponownego spojrzenia w okno pubu, tym razem nie w celu obejrzenia dławiącego się strusia, lecz siebie. Widząc się pierwszy raz od dawna w swoim otoczeniu, Artur uznał, że pies miał prawo warczeć: stało bowiem przed nim coś, czego rolnik użyłby do straszenia ptaków. Nie było najmniejszej wątpliwości, że gdyby Artur wkroczył do lokalu w takim stanie, wywołałoby to cierpkie uwagi; co gorsza, w pubie było o tej porze na pewno kilku znajomych, którzy bez dwóch zdań zarzuciliby go pytaniami, na które nie czuł się najlepiej przygotowany.

Na przykład Will Smithers. Właściciel Nie Mam Pojęcia Bonza, kundla tak głupiego, że został wyrzucony nawet z robionej przez Willa reklamówki, ponieważ nie umiał odgadnąć, którą karmę dla psów woli, choć jedzenie w miskach zostało – poza reklamowanym – polaną użytym olejem silnikowym.

Will na pewno będzie w środku. Przed pubem biegał jego pies, na parkingu stało jego porsche 928S z naklejką na tylnej szybie głoszącą: MÓJ DRUGI SAMOCHÓD TO TEŚ PORSCHE. Niech go cholera.

Artur wpatrywał się w samochód i dotarło do niego, że właśnie patrzy na coś, czego dotychczas nie zauważał.

Tak samo jak większość mających zawyżone pensje i zaniżone morale facetów, jakich Artur poznał w reklamie, Will Smithers przykładął wielką wagę do zmiany samochodu na nowy co roku w sierpniu, by móc opowiadać, iż zasugerował mu to jego doradca podatkowy, choć w rzeczywistości doradca robił co mógł, by – z powodu alimentów i paru innych rzeczy – odwieść go od tego, tu zaś stał samochód, który Artur już widział. Znak na tablicy rejestracyjnej wyraźnie informował o roku rejestracji.

Zakładając, że obecnie panuje zima, a zdarzenie, które osiem jego osobistych lat temu ściągnęło na głowę Artura masę problemów, miało miejsce na początku sierpnia, tu mogło minąć góra sześć, siedem miesięcy.

Przez chwilę Artur stał jak skamieniały, pozwalając Nie Mam Pojęcia Bonzie szczekać i skakać na siebie. Jak cios pałką dotarł do niego fakt, że jest obcym na ojczystej planecie.

Gdyby spróbował opowiedzieć, co przeżył, nikt nie byłby w stanie uwierzyć w jego historię.

Nie tylko brzmiała po wariacku, kłam zadawały jej najoczywistsze fakty.

Czy to naprawdę Ziemia? Czy istnieje choć nikła szansa, że się aż tak nieprawdopodobnie myli?

Każdy szczegół pubu, który miał przed sobą, był nieznosnie znajomy. Poznawał każdą cegłę, każdy płatek odpadającej farby, wyczuwał przez skórę znajome duszne, hałaśliwe ciepło sali, widział oczami duszy krzyżujące się pod sufitem belki, kopie starych kutych żyrandoli, lepiący się od piwa bar, w którym siedzący przy nim ludzie moczą rękawy, nad barem wycięte z tektury kontury dziewcząt z umocowanymi na piersiach kartonami z solonymi orzeszkami. To był jego dom, jego świat.

Znał nawet tego przeklętego psa.

– Sie masz, Nie Mam Pojęcia!

Dźwięk głosu Willa Smithersa oznaczał, że trzeba się szybko zdecydować na sposób

działania. Jeśli zostanie, gdzie jest, zaraz go odkryją i zaczną się cyrk. Schowanie się jedynie odsunie moment odkrycia, a było zimno jak diabli, więc może...

Decyzję ułatwił fakt, że osobą, która zaraz miała znaleźć się na zewnątrz, był Will. Nie to, że Artur jakoś szczególnie go nie lubił – Will był dość śmieszny. Był jednak śmieszny w bardzo męczący sposób, typowy dla ludzi od reklamy, i zawsze musiał opowiedzieć każdemu, jak bardzo cieszy się z pracy i jak dorobił się kurtki. Artur schował się w cieniu półciężarówki.

– Hej, Nie Mam Pojęcia! Co się dzieje?

Drzwi otworzyły się i wyszedł Will w skórzanej kurtce, po której kazał kumplowi z działu badań drogowych przejechać parę razy samochodem, by nabrała wyglądu używanej.

Nie Mam Pojęcia zaskowytał wesoło i ponieważ udało mu się ściągnąć na siebie uwagę pana, z radością zapomniał o Arturze.

Will siedział w pubie z przyjaciółmi, którzy stale bawili się z psem w to samo.

– Komuchy! – wrzasnęli chórem na psa. – Komuchy, komuniści, czerwoni!!!

Pies o mało nie oszalał. Zaczął skakać na wszystkie strony, dużo nie brakowało, by wypuść płuć od jazgotu. Prawie tracił przytomność od histerycznej wściekłości. Kumple Willa śmiali się i zagrzewali psa, wkrótce jednak zaczęli rozchodzić się do swoich samochodów i towarzystwo szybko zniknęło.

„A więc jedno mamy wyjaśnione – pomyślał Artur, stojąc za półciężarówką. – To bez dwóch zdań planeta, jaką pamiętam”.

Rozdział 7

Dom Artura stał tam, gdzie zawsze.

Artur nie miał pojęcia, jak to możliwe. O tym, by sprawdzić, co z jego domem, postanowił, stojąc pod pubem i czekając, aż wszyscy wyjdą, by wejść i poprosić gospodarza o nocleg. Tu zaś okazuje się, że jego dom stoi!

Otworzył drzwi wejściowe kluczem schowanym w ogrodzie pod kamienną żabą. Spieszył się, ponieważ, ku jego najwyższemu zdumieniu, dzwonił telefon. Całą drogę przez ogródek słyszał brzęczenie, a kiedy dotarło do niego, co oznacza, ruszył klusem.

Drzwi stawiały opór z powodu leżącej za nimi sterty reklam i listów. Jak się potem okazało, zatarasowało je czternaście identycznych, zaadresowanych osobiście do Artura, ofert zakupu karty kredytowej, którą już posiadał, siedemnaście identycznych pism grożących konsekwencjami za niedozwolone płacenie kartą kredytową, której nie posiadał, trzydzieści trzy identyczne listy, w których pisano, że jako człowiek mający doskonały gust i ocenę rzeczywistości, wiedzący, czego chce i dokąd dąży we współczesnym wyrafinowanym i ekskluzywnym świecie, jest wybrańcem, któremu oferuje się zakup obrzydliwego portfela, oraz zdechły kot w żółtoczarne pręgi.

Artur przecisnął się przez wąski otwór, potknął o stertę przysłanych przez handlarzy winem ofert, jakich nie powinien odrzucić żaden mający własne zdanie koneser, poślizgnął się na pliku prospektów o wakacjach w położonych przy plażach willach, pogalopował ciemnymi schodami na górę, wpadł do sypialni i złapał za słuchawkę w momencie, kiedy telefon przestał dzwonić.

Dysząc, opadł na zimne łóżko, od którego bił zapach stęchlizny, i na kilka minut przestał powstrzymywać Ziemię od wirowania wokół jego głowy w sposób, jaki najwyraźniej sprawiał jej przyjemność.

Kiedy Ziemia już się nacieszyła wirowaniem i nieco uspokoiła, Artur wyciągnął rękę w

stronę nocnej lampki, choć wcale nie oczekiwał, że się zapali. Ku jego zaskoczeniu zapaliła się.

Było to zgodne z poczuciem logiki Artura. Ponieważ za każdym razem, kiedy płacił rachunek za prąd, elektrownia wyłączała mu światło, uznał za logiczne, że zostawili go w spokoju, gdy nie zapłacił. Najwyraźniej, wysyłając pieniądze, człowiek ściągał jedynie na siebie ich uwagę.

Pokój wyglądał właściwie tak samo jak w dniu, gdy Artur go opuszczał, to znaczy był okropnie zagracony, aczkolwiek wrażenie nieco łagodziła pokrywająca wszystko gruba warstwa kurzu. Otwarte książki i czasopisma gnieździły się między stertami raz lub dwa razy używanych ręczników. W filiżankach z niedopitą kawą spoczywały pojedyncze skarpetki. To, co kiedyś było niedojedzoną kanapką, zmieniło się w coś, o czym Artur wołał nie wiedzieć.

„Niech to piorun strzeli – pomyślał – i ewolucja zacznie się od nowa”.

W pokoju była jedna nowa rzecz. Przez dłuższą chwilę Artur jej nie zauważał, ponieważ i ją skrywała gruba warstwa kurzu. W końcu wzrok wydobyl przedmiot z otoczenia i zatrzymał się na nim.

Przedmiot leżał obok starego zniszczonego telewizora, w którym można było oglądać jedynie programy zaocznego uniwersytetu telewizyjnego, gdyby bowiem spróbować obejrzeć coś bardziej podniecającego, natychmiast odmówiłby posłuszeństwa.

Było to pudełko.

Artur wsparł się na łokciach i wbił w nie wzrok.

Pudełko było szare i choć matowe, pobłyskiwało. Każdy bok sześcianu miał mniej więcej trzydzieści centymetrów, zawiązano go zwykłą szarą tasiemką, zakończoną na górze elegancką kokardką.

Artur wstał, podszedł do pudełka i – zaskoczony – dotknął go. Niezależnie od tego, co miał przed sobą, było to porządne, śliczne, zawinięte jak prezent i czekało na rozpakowanie.

Ostrożnie je podniósł i zaniósł na łóżko. Stał kurz i rozwiązał tasiemkę. Wierzch pudełka miał wchodzącą w ściankę wypustkę, którą można było odchylić. Artur zrobił to, zajrzał do środka i jego oczom ukazała się owinięta w szarą bibułę szklana kula. Wyjął ją ostrożnie.

Nie była to do końca kula, ponieważ na dole, czy raczej – co Artur stwierdził po obróceniu jej do góry nogami – na górze – miała otwór i szeroki zawinięty kołnierz. Był to szklany pojemnik. Akwarium.

Zrobiono je z najwspanialszego szkła, jakie widział w życiu, bez najmniejszej skazy i idealnie przezroczystego, choć migoczącego niezwykle srebrenszarym odcieniem, jakby w trakcie produkcji użyto kryształu albo łupku.

Artur powoli obracał pojemnikiem. Choć była to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widział, był zakłopotany. Zajrzał do pudełka, ale była w nim jedynie bibułka.

Nie napisano także nic na zewnątrz.

Znów obrócił kulą. Cudo. Wspaniałe. Choć jedynie akwarium.

Zapukał w szkło paznokciem, i zadzwoniło niskim, wspaniałym dźwiękiem, który trwał dłużej, niż mogło się to wydawać możliwe, kiedy zaś przebrzmiał, nie urwał się, lecz odpływał do innych światów, jakby zanurzał się w głęboki, śniony na dnie morza, sen.

Artur w zachwycie obrócił jeszcze raz kulą. Światło zakurzonej nocnej lampki padło na szkło pod innym kątem i zamigotało na mikroskopijnych zadrapaniach na jego powierzchni.

Artur podniósł pojemnik do góry, ustawił go pod światło i nagle ujrzał delikatnie wygrawerowane słowa.

CZEŚĆ – brzmiało pierwsze. Dalej napisano: I DZIĘKI...

Nic więcej nie było. Niczego nie rozumiejąc, nieopanowanie zamrugął.

Kolejne pięć minut obracał kulą, obserwował ją, ustawiając pod wszystkimi kątami pod

światło, stukał w nią, by posłuchać fascynującego dźwięku, dumał nad znaczeniem eterycznych liter, nie mogąc odkryć w nich sensu. W końcu wstał, nalał do akwariium wody z kranu i postawił je obok telewizora. Wytrząsnął z ucha rybę Babel i wrzucił trzepoczącą się do akwariium. Nie będzie już jej potrzebował. No, może z wyjątkiem oglądania obcojęzycznych filmów.

Położył się na łóżku i zgasił światło.

Leżał cicho jak trusia. Wchłaniał w siebie otaczającą go ciemność i rozluźniał się od czubka głowy po palce nóg. Zamknął oczy, czuł, że leży coraz wygodniej, regulował oddech, oczyszczał umysł ze wszelkich myśli i – nijak nie mógł zasnąć.

Noc była nieprzyjemna. Lało. Deszczowe chmury przesunęły się co prawda dalej i skupiały uwagę na restauracyjce dla kierowców ciężarówek tuż przed Bournemouth, jednak niebo zdenerwowało się tym, że w ogóle przez nie przeciągały, wypełniło się więc wilgotnym wzburzonym powietrzem, jakby nie do końca wiedziało, co zrobić, gdyby je ponownie sprowokowano.

Księżyc wyglądał jak namalowany rozcieńczoną akwarelą.

Przypominał wyjęty z wypranych dżinsów zwitek papieru, przy którym jedynie czas i żelazko będą w stanie pomóc określić, czy to stary kwitek czy banknot o wysokim nominale.

Wiatr poruszał się to w jedną, to w drugą stronę jak ogon konia, który próbuje ustalić, w jakim właściwie jest nastroju; gdzieś w oddali dzwon wybił północ.

Ze skrzypieniem zaczęło się otwierać okno poddasza.

Było dość oporne. Trzeba nim było szarpnąć i przemówić mu do rozsądku, rama nieco się bowiem spaczyła, a zawiasy kiedyś pieczołowicie zamalowano; w końcu zostało jednak otwarte.

Pojawiła się deska, którą okno podparto. Ktoś wyszedł przez okno i walcząc o utrzymanie równowagi, wdrapał się na szczyt dwuspadzistego dachu. Stał i w milczeniu zaczął obserwować niebo.

Nic nie pozostało z malowniczej istoty, która niewiele ponad godzinę temu wpadła do miasteczka z impetem szaleńca.

Zniknął porwany, zniszczony szlafrok, wysmarowany brudami setek światów i poplamiony przyprawami z barów szybkiej obsługi wielu brudnych kosmodromów, zniknęła zmierzwiona czupryna, nie było długiej, splątanej brody i kwitnącego w niej ekosystemu. Na dachu stał wypielegnowany i niedbały Artur Dent w sztruksowych spodniach i grubym swetrze. Włosy miał ostrzyżone i umyte, policzki gładko ogolone. Tylko jeszcze oczy oznajmiały, że niezależnie od tego, co zamierza z nim zrobić wszechświat, woli, by dał sobie spokój.

Nie były to te same oczy, które patrzyły na okolicę osiem lat temu, i mózg, który interpretował obrazy z siatkówki oka, też nie był tym samym mózgiem. Do osiągnięcia tego nie była konieczna operacja neurochirurgiczna – wystarczyły nieustające kuksańce doświadczenia.

Arturowi wydawało się, że noc wokół żyje, a ciemna Ziemia to istota, w której tkwią jego korzenie. Tak jakby drażniono mu odległe końce nerwów, Artur czuł prąd wody dalekiego strumienia, sfaldowania wzgórz za horyzontem, gromadzenie się ciężkich chmur zawisłych na niebie daleko na południu.

Czuł też podniecie płynącą z bycia drzewem, choć zupełnie się tego nie spodziewał.

Wiedział, że wbijanie w ziemię palców stóp jest przyjemne, dotychczas nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, jak bardzo. Czuł prawie nieprzyzwoitą falę zachwyty, płynącą z lasów New Forest. Pomyślał, że powinien tego lata sprawdzić, jak to jest, gdy ma się liście.

Z innego kierunku dotarło do niego uczucie, że jest przestraszona przez UFO owcą, ale trudno je było odróżnić od poczucia bycia owcą przestraszona przez cokolwiek innego, z czym się spotkała, owce są bowiem istotami, które w czasie podróży przez życie mało się uczą, co rano patrzą zdumionym wzrokiem na wschodzące słońce i nieustannie dziwią się wszystkiemu

zielonemu, co rośnie na łąkach.

Zaskoczony Artur stwierdził, że odczuwa takie właśnie poranne zdziwienie owcy z powodu wschodu słońca i jej przedwczorajsze zdziwienie kępą krzewów. Mógłby z łatwością cofać się w owczych odczuciach w czasie, ale było to nudne, owce nigdy bowiem nie dziwiły się niczemu, czemu nie dziwiły się poprzedniego dnia.

Dał więc sobie spokój z owcą i pozwolił umysłowi powoli i sennie wysyłać fale w przestrzeń. Poczuł obecność innych umysłów, setek, tysięcy umysłów tworzących sieć.

Niektóre myśli były senne, inne spały, niektóre były podniecone, jedna pękła.

Jedna myśl pękła.

Artur pozwolił jej przepłynąć, po chwili spróbował ponownie nawiązać z nią kontakt, wymykała mu się jednak jak mokre mydło. Czuł skurcz podniecenia, instynktownie bowiem wiedział, z kim nawiązał kontakt, przynajmniej, kim chciałby, by okazała się ta osoba. Jeśli wiemy coś i chcemy, by okazało się prawdą, instynkt jest bardzo przydatnym środkiem umożliwiającym stwierdzenie, że to faktycznie prawda.

Artur instynktownie wiedział, że nawiązał kontakt z Fenny.

Chciał ją odnaleźć, ale nie umiał. Tak bardzo się starał, aż zaczął tracić swą przedziwną nową umiejętność, postanowił więc pohamować się w żądzy poszukiwań i pozwolić umysłowi błędzić po okolicy nieco swobodniej.

Znów poczuł pęknięcie.

I znów nie był go w stanie zlokalizować. Tym razem – niezależnie od tego, co próbował mu usilnie wmówić instynkt – nie był pewien, że to Fenny.

Artur kazał swemu umysłowi powoli i na jak największej powierzchni zagłębić się w ziemię. Wsiąknąć w nią, przesączyć się jak najdalej, wnikać. Jego umysł poleciał śladem ziemskich dni, popłynął gnany rytmami miriadów ziemskich pulsacji, wniknął w najgłębszą strukturę Ziemi, wznosił się na szczytach jej przypływów i obrócił pchany prawem ciężenia.

Pęknięcie ciągle nawracało. Było tępym, rozproszonym, dalekim bólem.

Teraz umysł Artura leciał przez krainę światła. Światło było czasem, jego strumienie znikającymi dniami. Pęknięcie, które tak wyraźnie poczuł – to drugie, znajdowało się za widoczną w oddali krainą, tuż za rozmarzonym krajobrazem ziemskich dni.

Nagle umysł Artura znalazł się nad Krainą Dni.

Kiedy równina marzeń w dole zaczęła gwałtownie opadać, zachwiał się jak pijany na skraju przepaści. Ziemia – mącąc zmysły – leciała dalej w nicość, a umysł Artura dziko wirował, nie mogąc znaleźć oparcia; w otaczającej go przerażającej przestrzeni szarpało nim, obracało, ciągnęło w dół.

Za zygzakowatą otchłanią znajdował się kolejny ląd, inny czas, starszy świat. Całość bez pęknięcia, niepodzielna. Druga Ziemia.

Artur obudził się.

Delikatny wietrzyk chłodził gorączkowy pot, który wystąpił mu na czoło. Majaki zniknęły, ale Artur miał wrażenie, że sam też zaraz zniknie. Ramiona opadły mu ze zmęczenia, tarł oczy opuszkami palców. Nareszcie był równocześnie senny i zmęczony jak pies. Nad tym, co oznaczał sen – jeśli w ogóle cokolwiek oznaczał – pomyśli jutro rano; teraz pójdzie do łóżka i wyśpi się. Będzie śnił własne sny.

W oddali widział swój domek i zaczął się zastanawiać, dlaczego. Jego sylwetka odcinała się na tle księżycy i Artur poznał, że to jego dom, po mało interesującej, topornej architekturze.

Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że unosi się jakieś pół metra nad różami sąsiada, Johna Ainswortha. Krzewy sąsiada były pięknie wypielęgnowane, przycięte na zimę, poprzywiązywane do palików, zaopatrzone w etykiety i Artur zaczął się zastanawiać, co nad nimi robi. Zaciekał

się, co trzyma go w górze, i kiedy odkrył, że nic, poleciał niezdarnie na ziemię.

Zataczając się wstał, otrząpał ubranie i, kuśtykając z powodu skręconej kostki, poczłapał do domu. Rozebrał się i runął na łóżko.

Kiedy spał, ponownie zadzwonił telefon. Dzwonił bez przerwy przez piętnaście minut, co spowodowało, że Artur dwa razy przewrócił się z boku na bok. Nie było jednak żadnej szansy, by go obudził.

Rozdział 8

Artur obudził się w świetnym nastroju, odświeżony i przepelniony radością, że nareszcie jest w domu; rozsadzała go energia i wcale nie był rozczarowany, że jest połowa lutego.

Idąc do lodówki, niemal tańczył, wyjął trzy najmniej okropnie wyglądające rzeczy, położył je na talerzu i obserwował ze skupieniem przez dwie minuty. Ponieważ żaden z przedmiotów nie dokonał próby ucieczki, nazwał zestaw: „śniadanie” i zjadł.

Po znalezieniu się w żołądku produkty zabiły wirusa pewnej choroby kosmicznej, którą Artur – nie zdając sobie z tego sprawy – zaraził się kilka dni temu w gazowych bagnach Flargatonu, a która, gdyby nie została zniszczona, wkrótce zabiłaby połowę ludności zachodniej półkuli Ziemi, drugą połowę oślepiła, a resztę wysterylizowała i poraziła obłędem.

Trzeba przyznać, że do Ziemi jeszcze raz uśmiechnął się los.

Artur czuł się silny i zdrowy. Z łopata w dłoni energicznie zabrał się do usuwania zebranych na korytarzu reklam, potem pochował kota. Kiedy skończył, zadzwonił telefon, pozwolił mu jednak brzęczeć, pozostając tylko na chwilę w bezruchu.

Ktokolwiek to był, jeśli ma coś ważnego, zadzwoni ponownie.

Tupaniem otrząpał z butów ziemię i wrócił do domu.

W stertach śmieci w jego pokoju znajdowało się kilka ważnych listów. Kilka pism z zarządu gminy z datą sprzed trzech lat, dotyczących wniosku o zburzenie jego domu, kilka listów o konieczności rozpoczęcia publicznego śledztwa w sprawie planu budowania w okolicy drogi szybkiego ruchu, stary list od „Greenpeace” – tę organizację czasami popierał – w którym zwracano się o pomoc przy realizacji planu uwolnienia delfinów i orek, oraz kilka kartek pocztowych od przyjaciół, którzy delikatnie dawali do zrozumienia, że ostatnio nie daje znaku życia.

Listy włożył do teczki, na której napisał: DO ZAŁATWIENIA. Ponieważ przepełniała go siła i tryskał energią, dopisał: PILNE!

Z torby, którą kupił w megamarkecie w Port Brasta, wyjął ręcznik i kilka innych dziwnych rzeczy. Nadrukowany na torbie napis był niezwykle inteligentnym i bardzo skomplikowanym kalamburem w *linguae centauri*, niezrozumiałym w żadnym innym języku, stąd też zupełnie bezsensownym jako hasło sklepu wolnocłowego na kosmodromie. Poza tym torba była dziurawa, więc Artur ją wyrzucił.

Z ukłuciem nagłego bólu dotarło do niego, że przez dziurę w torbie coś wypadło – najprawdopodobniej w stateczku, który podwiózł go na Ziemię i którego pilot był uprzejmy zboczyć nieco z trasy i wysadzić go niedaleko szosy A303. Artur zgubił zniszczony i poobijany egzemplarz tego, co zawsze pomagało odnajdować się w niewiarygodnych pustkowiach kosmosu. Zgubił swój przewodnik Autostopem przez Galaktykę.

„No cóż – pomyślał – tym razem na pewno nie będzie mi potrzebny”.

Musiał zadzwonić w parę miejsc.

Zdecydował, jak poradzi sobie z niezliczonymi kłopotami, wywołanymi jego powrotem:

będzie udawał, że nic się nie stało.

Zadzwoił do BBC i poprosił o połączenie ze swym kierownikiem.

– Witam, mówi Artur Dent. Przykro mi, że zniknąłem na pół roku, ale zwariowałem.

– Nie szkodzi. Od razu pomyślałem, że chodzi o coś takiego. To się ciągle zdarza. Kiedy możemy spodziewać się pana powrotu?

– Kiedy budzą się z zimowego snu jeże?

– Sądzę, że na wiosnę.

– Zjawię się zaraz po tym.

– To wspaniale.

Artur przekartkował branżową książkę telefoniczną i sporządził krótką listę telefonów do załatwienia.

– Halo, czy to szpital Old Elms? Tak, dzwonię, by sprawdzić, czy mógłbym porozmawiać z Fenellą... eee... O mój Boże, ale ze mnie głupiec, niedługo zapomnę, jak sam się nazywam...

eee... Fenellą. Czy to nie dziwne? To wasza pacjentka, ciemnowłosa, przyjęto ją wczoraj wieczór...

– Przykro mi, nie mamy pacjentki o imieniu Fenella.

– Nie? Miałem oczywiście na myśli Fionę, po prostu w domu mówimy na nią Fen...

– Przykro mi.

Trzask.

Sześć rozmów w podobnym stylu nieco nadszarpięło dynamiczny optymizm Artura, postanowił więc, że nim całkiem go straci, weźmie to, co pozostało, do pubu i tam się nim pochwali.

Wpadł na wspaniały pomysł, jak za jednym zamachem wyjaśnić wszystko niejasne i niewytłumaczalne, co wiąże się z jego osobą. Otwierając drzwi, które tak go zraziły poprzedniego wieczora, gwizdał pod nosem wesołą melodyjkę.

– Artur!!

Pokazał zęby w wesołym uśmiechu do wpatrujących się w niego z każdego kąta oczu i opowiedział, jak wspaniale bawił się na południu Kalifornii.

Rozdział 9

Dał sobie postawić jeszcze jedno piwo. Wziął głęboki łyk.

– Oczywiście, że miałem osobistego alchemika.

– Miałeś co?!

Robił się lekkomyślny i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Buńczuczność i najlepsze piwo browaru „Hall & Woodehouse” stanowiły mieszankę, której należało się strzec; niestety, jednym z jej pierwszych efektów jest zanik ostrożności, a moment, w którym Artur powinien przestać gadać i cokolwiek wyjaśniać, stał się momentem, w którym puścił wodze wyobraźni.

– Oczywiście – upierał się ze szczęśliwym uśmiechem i szklanymi oczami. – Dlatego tyle schudłem.

– śe co? – spytano chórem.

– Oczywiście – powtórzył Artur. – Kalifornijczycy odkryli na nowo alchemię.

Oczywiście. – Ponownie się uśmiechnął. – Z tym, że w znacznie przydatniejszej formie niż ta, w jakiej... – zamyślił się czekając, aż w głowie zbierze mu się nieco więcej gramatyki – ...w jakiej praktykowano alchemię w czasach antycznych. Czy raczej... poniesiono klęskę. Nic im się nie udało, nie? Nostradamusowi i całej reszcie. Nie rozgryźli sprawy...

– Nostradamusowi? – spytał ktoś z audytorium.
– Nie wiedziałem, że był alchemikiem – dodał ktoś inny.
– Zdawało mi się – dodał ktoś trzeci – że był astrologiem.
– Został astrologiem – wyjaśnił Artur, którego poszczególne części zaczynały się dezintegrować i rozpyływać – ponieważ był kiepskim alchemikiem. Powinieneś o tym wiedzieć.

Wziął kolejny głęboki łyk. Przez osiem lat nie miał w ustach piwa. Teraz się nim napełniał, napełniał, napełniał.

– Co wspólnego ma alchemia z chudnięciem? – spytała nieduża frakcja słuchaczy.
– Cieszę się, że zadaliście to pytanie. Bardzo się cieszę. Już mówię, jaki istnieje związek między... – zrobił przerwę – ...między jednym a drugim. Alchemią a chudnięciem. Już wyjaśniam. – Zawahał się i układał myśli. Przypominał tankowiec, próbujący zawrócić na kanale La Manche. – Odkryto, jak przerobić zbędny tłuszcz na złoto – powiedział z nagłą konsekwencją.
– śartujesz.

– Oczywiście – potwierdził, zaraz jednak się poprawił, mówiąc: – Nie, to fakty. – Zaczął się obracać ku wątplącej części publiczności, a ponieważ wszyscy wątpili, nieco potrwało, nim obrócił się całkowicie. – Byliście kiedyś w Kalifornii? – spytał. – Macie zielone pojęcie, co oni tam wyprawiają?!

Trzy osoby z audytorium odparły, że były w Kalifornii, a Artur gada bzdury.

– Niczego nie widzieliście! – upierał się. – Oczywiście! – dodał, ponieważ ktoś zaoferował się postawić jeszcze jedną kolejkę. – Dowód... – wybełkotał, wskazując palcem na siebie i mijając swój tułów przynajmniej o pięć centymetrów – ...stoi przed wami. Czternaście godzin w transie! W zbiorniku z cieczą! W transie. W zbiorniku. Wydaje mi się... że już to mówiłem...

Czekał cierpliwie, aż rozniesiono kolejkę. W tym czasie wymyślił następny kawałek opowieści, który miał traktować o tym, że zbiornik z cieczą należy ustawić na linii łączącej Gwiazdę Polarną z punktem położonym dokładnie między Marsem a Wenus, i właśnie zamierzał podjąć próbę opowiedzenia tego, kiedy uznał, że powinien dać sobie spokój. W zamian za to powiedział: – Dużo czasu. W zbiorniku z cieczą. W transie.

Po belfersku omiótł wzrokiem słuchaczy, by sprawdzić, czy naprawdę uważnie słuchają. Podjął watek.

– Gdzie byłem? – spytał Artur.

– W transie – odpowiedział ktoś.

– W zbiorniku – dodał ktoś inny.

– No tak... Dziękuję. A więc powoli, powoli, powoluśku... zbędny tłuszcz... zostaje... – przerwał, by zwiększyć efekt – przemieniany na mieznytany... miedzyntany... miendytanki... – znów przerwał, by wziąć głęboki wdech – międzytankowe złoto, które można kazać sobie operacyjnie usunąć. Wyjście ze zbiornika jest bardzo nieprzyjemne. Co powiedziałaś?

– Tylko odchrząknęłam.

– Mam wrażenie, że mi nie wierzysz.

– Odchrząknęłam.

– Odchrząkiwała – z cichym pomrukiem potwierdziła znaczna część słuchaczy.

– No tak... – zgodził się Artur. – Nie ma sprawy. Zysk zaś dzieli się... – znów zawiesił głos, by dokonać dokładnego obliczenia – pół na pół z alchemikiem. Robią straszne pieniądze.

Artur, kiwając się na boki, popatrzył po obecnych. Chcąc nie chcąc, musiał przyjąć do wiadomości, że zdezorientowane twarze zasnuwa cień wątpliwości.

Bardzo go to ubodło.

– Jak byłoby mnie inaczej stać na postarzącej operacji plastycznej twarzy?! – wrzasnął.

Wyciągnęły się przyjacielskie ręce, które zaofiarowały się pomóc Arturowi dotrzeć do domu.

– Słuchajcie! – zaprotestował, kiedy poczuł na twarzy podmuch zimnego lutowego wichru. – Stary wygląd to teraz w Kalifornii wielka moda! Należy wyglądać, jakby się poznało Galaktykę. Chciałem powiedzieć: życie. Należy wyglądać, jakby się poznało życie.

Kazałem sobie coś takiego zrobić. Postarzącą operację plastyczną. „Dodajcie mi osiem lat”

– powiedziałem im. Mam nadzieję, że wyglądanie na trzydziestkę już nigdy nie będzie modne, bo wtedy okazałoby się, że wyrzuciłem w błoto masę pieniędzy. – Znów zamilkł, podczas gdy przyjacielskie ręce dalej pomagały mu iść do domu. – Wróciłem wczoraj – wymamrotał. – Jakie to szczęście, wielkie szczęście, być znów w domu... Czy w niezwykle podobnym miejscu...

– To przez te naddźwiękowe przeloty z półkuli na półkulę – szepnął jeden z przyjaciół Artura. – Przy tej odległości z Kalifornii... Przez kilka dni będzie chodził jak błędny.

– Wydaje mi się, że wcale tam nie był – mruknął ktoś.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie był naprawdę. I co się z nim działo.

Artur spał krótko. Kiedy wstał, przez kilka minut kręcił się po domu. Czuł lekki kociokwik, był w kiepskiej formie i ciągle jeszcze oszołomiony podróżą. Zaczął się zastanawiać, jak znaleźć Fenny.

Usiadł i zapatrzył się w kuliste akwarium. Stuknął w nie paznokciem i choć pojemnik był wypełniony wodą i pływała w nim dość zdeprymowana ryba Babel, podobny do odgłosu wielkiego dzwonu dźwięk rozległ się tak samo czysto i hipnotycznie jak przedtem.

„Ktoś próbuje mi podziękować – pomyślał. – Ciekawe tylko kto i za co”.

Rozdział 10

– Przy trzecim piśnięciu będzie pierwsza... trzydzieści dwa i... dwadzieścia sekund. Pip... pip... pip.

Ford Prefect stłumił pełen złośliwej satysfakcji chichot, uznał, że w zasadzie nie ma powodu go tłumić, i wybuchnął głośnym, nikczemnym śmiechem.

Przełączył docierający do statku sygnał z sieci subeta na rewelacyjny pokładowy zestaw hifi i w kabinie z niezwykłą czystością zabrzmiał dziwaczny, dość sztucznie zawodzący głos.

– Przy trzecim piśnięciu będzie pierwsza... trzydzieści dwa i... trzydzieści sekund. Pip... pip... pip.

Uważnie patrząc na zmieniające się szybko na ekranie kolumny cyfr, zwiększył głośność.

Przy czasie, jaki brał pod uwagę, istotna będzie ilość energii. Nie chciał mieć na sumieniu morderstwa.

– Przy trzecim piśnięciu będzie pierwsza... trzydzieści dwa i... czterdzieści sekund. Pip... pip... pip.

Sprawdzał każdy przyrząd na stateczku. Ruszył króciutkim korytarzem.

– Przy trzecim piśnięciu...

Wsadził głowę do maleńkiej, funkcjonalnej, błyszczącej stałą łazienki.

– ...będzie...

Dźwięk brzmiał tu świetnie.

Zajrzał do maleńkiej sypialni.

– ...pierwsza... trzydzieści dwa i...

Brzmiało to nieco głucho. Na głośniku wisiał ręcznik Zdjął go.

– ...pięćdziesiąt sekund.

Świetnie.

Sprawdził przedział bagażowy. Nie był zadowolony z dźwięku, ale trudno – stało tu zbyt wiele skrzynek ze śmieciami.

Wyszedł i patrzył na luk, aż hermetycznie się zamknął. Rozbił szybkę zaplombowanej tablicy rozdzielczej i nacisnął na przycisk awaryjnego wyrzucania towaru. Sam się sobie dziwił, dlaczego nie wpadł na to wcześniej. Hurkot obijających się o siebie przedmiotów nie trwał długo. Po chwili wewnątrz rozległ się cichy syk.

Wkrótce syk ucichł.

Ford poczekał, aż zabłyśnie zielona lampka, i otworzył luk do pustego przedziału bagażowego.

– ...pierwsza... trzydzieści trzy i... pięćdziesiąt sekund.

Znakomicie.

– Pip... pip... pip.

Na koniec przeprowadził dokładną inspekcję kabiny hibernacyjnej. Bardzo mu zależało, by tu słycać było wszystko szczególnie dobrze.

– Przy trzecim piśnięciu będzie pierwsza... trzydzieści cztery.

Patrząc przez otoczoną grubą warstwą lodu pokrywą na niewyraźną, zamrożoną w środku masywną postać, poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Pewnego dnia – kto wie, kiedy – istota się obudzi, dowie się, która jest godzina. Co prawda, informacja nie będzie dotyczyć czasu lokalnego, ale co tam...

Dwa razy sprawdził wskazania nad łóżkiem hibernacyjnym, przyciemnił światło i jeszcze raz sprawdził dane.

– Przy trzecim piśnięciu...

Ford wyszedł na palcach i wrócił do centrali dowodzenia.

– ...pierwsza trzydzieści cztery i dwadzieścia sekund.

Dźwięk był wyraźny jak ze słuchawki londyńskiego telefonu. Niestety, wydobywał się z zupełnie czego innego.

Ford wyrzwał w kruczoczarą przestrzeń. Gwiazda, migocząca w oddali jak okruch ciasta, nazywała się Zondostina, albo – jak określano ją tam, skąd nadawano rozbrzmiewający na statku sztucznie zawodzący głos – Plejada Zeta.

Świecący pomarańczowy luk, wypełniający ponad połowę nieba, był fragmentem olbrzymiej gazowej planety Sesefras Magna, gdzie dokowały ksaksyjskie okręty bojowe.

Właśnie wschodził nad nią mały, lśniący zimnym błękitem księżyc – Epun.

– Przy trzecim piśnięciu będzie...

Ford siedział bez ruchu przez dwadzieścia minut i patrzył, jak statek zbliża się do Epuna, podczas gdy komputer pokładowy szarpał i ugniatał dane, by obliczyć, jak wepchnąć statek na pętlę wokół księżyca, zamknąć ją i na zawsze utrzymać pojazd niewidocznym na niczym nie oświetlanej orbicie.

– ...pierwsza pięćdziesiąt dziewięć...

Pierwotny plan polegał na tym, by wyłączyć wszystkie sygnały wysyłane przez statek i spowodować, by był zauważalny jedynie wtedy, gdy spojrzy się prosto w jego kierunku, ale potem Ford wpadł na lepszy pomysł. Postanowił emitować ciągły promień, który, choć cienki jak ołówek, odbije odbierany na statku sygnał czasu ku planecie, z której jest nadawany.

Poruszający się z prędkością światła sygnał wróci do niej za czterysta lat, kiedy jednak to nastąpi, powstanie niezłe zamieszanie.

– Pip... pip... pip.

Zaczął chichotać.

Nie sprawiała mu przyjemności myśl, że jest jednym z tych, którzy ciągle albo chichoczą, albo rechoczą, musiał jednak przyznać, że od pół godziny nie robi nic innego, tylko albo chichocze, albo rechocze.

– Przy trzecim piśnięciu...

Statek wszedł już niemal idealnie na przeznaczoną mu po wieczne czasy orbitę wokół nieznanego i przez nikogo nie odwiedzanego księżycy. Niemał idealnie. Pozostawało do zrobienia tylko jedno. Ford jeszcze raz przeprowadził komputerową symulację wystrzelenia należącego do statku ucieczkodżipka.

Koordynował wektory, styczne i wypadkowe całą matematyczną poetykę ruchu, i uznał, że wszystko gra.

Nim odleciał, zgasił światło.

Rozpoczynając trzydniową drogę do stacji orbitalnej Port Seseffron, mikroskopijny, przypominający aluminiową rurkę do cygar, stateczek ratunkowy sunął przez kilka sekund na cienkim jak ołówek promieniu, który odbywał jeszcze dłuższą podróż.

– Przy trzecim piśnięciu będzie... druga trzynastka i... pięćdziesiąt sekund.

Ford zachichotał. Z chęcią wybuchłby głośnym śmiechem, ale w dżipku było za mało miejsca.

– Pip... pip... pip.

Rozdział 11

– Szczególnie nienawidzę kwietniowych przelotnych deszczy.

Mężczyzna był najwyraźniej zdecydowany rozmawiać niezależnie od tego, jak wymijająco Artur pochrząkiwał. Artur zastanawiał się, czy się nie przesiąść, ale w kawiarni nie było ani jednego wolnego stolika. Wściekły mieszał kawę.

– Cholerne kwietniowe deszcze. Nienawidzę ich. Nienawidzę, nienawidzę.

Artur wyglądał ponuro przez okno. Nad autostradą unosiła się mgiełka drobnych rozświeczonych kropelek. Minęły dwa miesiące, odkąd wrócił na Ziemię. Powrót do dawnego życia okazał się śmiechu wartą fraszką. Wszyscy – z nim włącznie – mieli tak krótką pamięć... Osiem lat szalonych podróży po Galaktyce zdawało mu się teraz nie tyle złym snem, co filmem, który nagrał z telewizji na kasetę i trzymał głęboko w szafie, zupełnie nie myśląc o tym, by go obejrzeć. Jednym, co ciągle trwało, była radość z powrotu. Teraz, kiedy ziemiska atmosfera zamknęła się nad nim na dobre, sądził (oczywiście błędnie), że wszystko, co dzieje się na Ziemi, powinno sprawiać mu przyjemność. Patrząc na srebrzyste migotanie kropeł deszczu, uznał, że powinien zaprotestować.

– No cóż, mnie się podobają – powiedział ni stąd, ni zowąd. – Z oczywistych powodów. Są drobne i odświeżają. Krople migoczą w słońcu i powodują, że człowiek świetnie się czuje.

Mężczyzna parsknął pogardliwie.

– Każdy tak mówi – rzekł, wyglądając ponuro z kąta.

Był kierowcą ciężarówki. Artur wiedział o tym, ponieważ pierwsze, niczym nie spowodowane słowa ponuraka brzmiały: „Jestem kierowcą ciężarówki. Nienawidzę jazdy w deszczu. Cóż za ironia losu, nie? Cholerna ironia”.

Jeśli w tej uwadze był jakikolwiek sens, Artur nie był w stanie go dostrzec, wydał więc z

siebie jedynie krótkie mruknięcie.

Przyjazne, ale nie zachęcające. Mężczyzna, który nie dał się zbyć dotychczasowym zachowaniem Artura, tym bardziej nie dał się zbyć teraz.

– Każdy tak mówi o tych cholernych kwietniowych deszczach. Jakie cholernie piękne... jakie cholernie odświeżające... Co za wspaniała cholerna pogoda! – Nachylił się i skrzywił, jakby chciał powiedzieć coś okropnego o rządzie. – Chciałbym wiedzieć jedno: jeśli jest piękna pogoda, to dla...cze...go... – niemal pluł – nie może to być piękna pogoda bez tego cholernego deszczu?!

Artur poddał się. Postanowił zostawić kawę, zbyt gorącą, by wypić ją duszkiem, i zbyt obrzydliwą, by pić ją zimną.

– Niech pan spróbuje wznieść się ponad to – odparł, unosząc się samemu. – Do widzenia.

Zatrzymał się na chwilę przed należącym do stacji benzynowej sklepem, potem ruszył przez parking do samochodu.

Idąc, starał się wystawiać twarz na przyjemne działanie kropli deszczu. Zauważył, że nad górami Devonu migocze niewyraźnie tęcza. To też było bardzo przyjemne.

Wsiadł do swego poobijanego, ale ukochanego starego czarnego golfa GTI, ruszając zapiszczał oponami i mijając dystrybutory, pomknął do wjazdu na autostradę.

Mylił się, sądząc, że ziemską atmosfera zamknęła się nad nim ostatecznie i na zawsze.

Mylił się, sądząc, że uda mu się kiedykolwiek pozostawić za sobą splątany kłęb niepewności, wywołanych w jego głowie przez odbyte podróże.

Mylił się, sądząc, że uda mu się zapomnieć o tym, iż olbrzymia, twarda, tłusta, brudna, zwieńczona tęczą Ziemia, na której mieszka, jest mikroskopijnym punktem na innym punkcie, też mikroskopijnym w stosunku do nieskończoności wszechświata i zagubionym w jego niewyobrażalnych przestrzeniach.

Jechał, nucąc pod nosem, nie wiedząc, że myli się w tych wszystkich sprawach.

Przyczyna jego pomyłki stała na wjeździe na śliską autostradę z maleńką parasolką w ręku.

Kiedy ją zobaczył, oniemiał. Wcisnął hamulec i wpadł w taki poślizg, że mało brakowało, a samochód by przeokoziłkował.

– Fenny! – wrzasnął.

Uniknąwszy z najwyższym trudem staranowania dziewczyny, uderzył ją drzwiami pasażera, które szeroko otworzył.

Drzwi trafiły ją w dłoń, wytrącając parasolkę, która potoczyła się po jezdni jak zwariowany bąk.

– A niech to! – zawył Artur, wyskoczył z samochodu, ledwie unikając przejechania przez ciężarówkę z napisem: SPEDYCJA McKENNY NA KAŻDĄ POGODĘ, i patrzył przerażony, jak zamiast po nim ciężarówka przejeżdża po parasolce Fenny. Ciężarówka wjechała na autostradę i zaczęła szybko się oddalać.

Parasolka leżała jak rozgnieciony długonogi pajak, wydychający resztkę życia na asfalcie. Lekko podskakiwała w podmuchach wiatru.

Artur podniósł parasolkę.

– Hm. – Nie miało większego sensu oddawanie resztek dziewczynie.

– Skąd pan wie, jak się nazywam?

– No tak... cóż... Kupię pani nową... – Popatrzył na Fenny i opuściła go odwaga.

Dziewczyna była dość wysoka, ciemne włosy spływały falami wokół bladej, poważnej twarzy. Niema sylwetka przypominała samotną statwę i sprawiała dość posępne wrażenie – jak postawiona w angielskim ogrodzie alegoria ważnej, acz nieznannej cnoty. Wydawało się, że tak

naprawdę patrzy na coś innego, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

Kiedy się uśmiechnęła – a nastąpiło to właśnie teraz – Artur odniósł wrażenie, że w ułamku sekundy skądś wróciła.

Jej twarz wypełniła się ciepłem i życiem, ciało wygięło się niezwykle wdzięcznie. Efekt mógł człowieka wprawić w zakłopotanie i Artur był zakłopotany jak diabli.

Dziewczyna uśmiechnęła się, rzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła na przednim fotelu.

– Proszę się nie martwić parasolką – powiedziała wsiadając. – Należała do mojego brata i nie mogła mu się podobać, boby mi jej nie dał. – Roześmiała się i zapięła pas.

– Nie jest pan przypadkiem przyjacielem mojego brata?

– Nie.

Wszystko w niej, poza głosem, oznajmiało: to dobrze.

Obecność dziewczyny w samochodzie, jego samochodzie, była dla Artura czymś niezwykle. Kiedy powoli ruszał, miał trudności z myśleniem i oddychaniem. Miał nadzieję, że żadna z tych czynności nie okaże się niezbędna do kierowania, gdyż inaczej popadną w tarapaty.

A więc to, co przeżył w tamtym samochodzie, w nocy, kiedy wykończony i zdeorientowany wracał z wieloletniego koszmarnego pobytu wśród gwiazd, nie było chwilową utratą równowagi. Jeśli zaś było, to stracił ją w taki sam sposób po raz drugi, i groziło mu, że zaraz może spaść z tego, na czym podobno utrzymują równowagę zrównoważeni ludzie.

– Cóż... – powiedział z nadzieją, że uda mu się nadać konwersacji więcej rozmachu.

– Miał po mnie przyjechać brat, zadzwonił jednak, że nie może. Dowiadywałam się o autobusy, ale kasjer zaczął sprawdzać nie zegarek, lecz kalendarz, postanowiłam więc pojechać autostopem. No tak...

– No tak...

– A więc jestem. Z chęcią bym się dowiedziała, skąd pan zna moje imię.

– Może powinniśmy najpierw ustalić – Artur, wjeżdżając na autostradę, spojrzał do tyłu – dokąd panią podwieźć.

– Chciałabym dostać się do Taunton. Jeśli to panu nie robi różnicy. To niedaleko.

Wysadzić może mnie pan przy...

– Pani mieszka w Taunton? – spytał z nadzieją, że w jego głosie słychać jedynie ciekawość, a nie absolutny zachwyt. Taunton leżało tak blisko. Mógłby...

– Nie, w Londynie – odparła. – Za godzinę mam pociąg.

Gorzej być nie mogło. Autostradą można było dojechać do Taunton w kilka minut.

Zastanawiał się, co zrobić, i nim skończył gorączkowe rozmyślenia, usłyszał własny głos mówiący: – Ojej, przecież mogę panią zawieźć do Londynu. Pozwoli pani zawieźć się do Londynu?

Ale z niego idiota! Po co powiedział w tak idiotyczny sposób „Pozwoli pani”?

Zachowywał się jak dwunastolatek.

– Jedzie pan do Londynu?

– Właściwie nie zamierzałem, ale... – Co z niego za idiota!

– To bardzo miłe z pańskiej strony, ale dziękuję. Lubię jeździć pociągami. – Powiedziała to i odplynęła. Tak naprawdę jednak odplynęło jedynie coś, co nadawało jej życie. Pograżyła się w sobie i nieobecna duchem zaczęła wyglądać przez okno i nucić pod nosem.

Nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Rozmawiali pół minuty i zdążył wszystko popsuć.

„Dorośli ludzie” – pomyślał, w całkowitej sprzeczności z tym, co przez stulecia zebrano na temat zachowań dorosłych ludzi – „tak się nie zachowują”.

Zbliżali się do drogowskazu z napisem: TAUNTON 8 KM.

Chwycił kierownicę z taką mocą, że samochód zaczął zarzucać. Musiał zrobić coś dramatycznego.

– Fenny – powiedział.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego przenikliwie.

– Jeszcze pan nie powiedział, skąd...

– Proszę pani... – zaczął Artur. – Chętnie opowiem, choć historia jest dość dziwna.

Bardzo dziwna.

Nie odwracała od niego wzroku, nie powiedziała ani słowa.

– Proszę pani...

– Już pan to mówił.

– Naprawdę? No tak. Istnieje parę spraw, o których muszę z panią porozmawiać, i kilka faktów, które powinienem przedstawić... historia, którą powinienem opowiedzieć, a która... – Płatał się jak głupi. Szukał czegoś w stylu „Rozplączę ci twe pełne splotów, poskręcane loki /i sprawię, że twój każdy włos powstanie/ Jak kolców las na złym kolczastym zwierzu”, ale nie sądził, że uda mu się dobrać odpowiednie słowa, poza tym nie podobala mu się aluzja do jeża.

Zamiast tego zadowolił się oświadczeniem: – ...potrwa dłużej niż przejechanie ośmiu kilometrów. – Obawiał się, że zabrzmiało to dość drętwo.

– No i?

– Zakładając, jedynie zakładając – nie miał zielonego pojęcia, co mówić dalej, uznał więc, że najlepiej będzie wygodnie usiąść i słuchać, co usta same będą mówić – że w niezwykle sposób jest pani dla mnie bardzo ważna i, choć zupełnie nie zdaje sobie pani z tego sprawy, ja też jestem dla pani bardzo ważny, ale nic z tego nie wychodzi, bo mamy jedynie osiem kilometrów, a ja jestem kompletnym idiotą i nie wiem, jak dopiero co spotkanej osobie powiedzieć coś bardzo ważnego, nie wpadając równocześnie pod ciężarówkę... to co... – zrobił bezradną przerwę i spojrzał na dziewczynę – ...co by mi pani radziła zrobić?

– Uważać na szosę!

– Jasna cholera!

Ledwo udało mu się uniknąć wjechania na niemiecką ciężarówkę wiozącą sto włoskich lodówek.

– Sądzę – powiedziała Fenny z westchnieniem ulgi – że powinien mi pan przed odjazdem pociągu postawić drinka.

Rozdział 12

Z bliżej nie określonego powodu dworcowe puby mają w sobie coś ponurego, cechuje je szczególnie niechlujstwo, a sprzedawane w nich pasztety – specyficzna bladeść. Gorsze od pasztetów są jedynie sandwiche.

W Anglii utarła się opinia, że przygotowanie ciekawego, atrakcyjnego albo w jakikolwiek sposób zachęcającego do zjedzenia sandwicza to grzech, jaki popełnia się wyłącznie za granicą.

„Musi być suchy” – to pierwsza zasada, ugruntowana w kolektywnej podświadomości narodowej. – „Musi być gumowaty. Jeśli to draństwo ma być świeże, należy je raz w tygodniu umyć”.

Jedząc w czasie sobotniego lunchu sandwiche w pubach, Anglicy starają się odpokutować za swe narodowe grzechy. Nie wiedzą, jakie one są, ale niezbyt im zależy na dociekaniu tego.

Grzechy nie należą do rzeczy, o których ludzie chcą cokolwiek wiedzieć. Niezależnie od tego, jaki grzech popełnili, Anglicy aż nadto pokutują, jedząc restauracyjne sandwiche.

Jeśli może istnieć coś gorszego od sandwicz, to leżące obok nich kielbaski. Są to żałosne balasy, pełne chrząstek pływających w morzu czegoś gorącego i smutnego, z wbity w środek plastikową dzidką, zwieńczoną kucharską czapką. Ich widok nieodparcie kojarzy się z pomnikiem szefa kuchni, który nienawidził świata i zmarł, zapomniany i samotny, na służbowych schodach czynszówki w Stepney, otoczony kotami.

Kielbaski są dla tych, którzy znają swe grzechy i chcą szczególnej pokuty.

– Niedaleko musi być coś sympatyczniejszego – powiedział Artur.

– Nie mamy czasu – odparła Fenny, patrząc na zegarek.

– Pociąg odchodzi za pół godziny.

Siedzieli przy małym kiwającym się stoliku. Stały na nim brudne kufle i leżało parę nasączonych piwem tekturek z nadrukowanymi dowcipami. Artur przyniósł Fenny sok pomidorowy, dla siebie kufel żółtej wody gazowanej. Do tego kilka kielbasek. Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił. Kupił je, by czymś się zająć, kiedy w jego kuflu będą opadać bąbelki.

Barman zamoczył wydawane banknoty w kałuży piwa na kontuarze. Artur podziękował.

– Świetnie. – Fenny ponownie spojrzała na zegarek. – Teraz proszę opowiedzieć to, co tak koniecznie musi mi pan opowiedzieć.

Powiedziała to bardzo sceptycznie i Artur stracił resztki odwagi. Czuł, że nie jest to najlepszy moment, by nagle tak chłodnej i obronnie nastawionej dziewczynie powiedzieć, że w trakcie snu poza ciałem miał telepatyczną wizję, iż jej załamanie psychiczne ma związek z tym, że (mimo pozornego istnienia) Ziemia została zniszczona, by zrobić miejsce nowej hiperprzestrzennej drodze szybkiego ruchu, o czym wie tylko on, ponieważ obserwował wydarzenia z vogońskiego statku kosmicznego, i że poza tym zarówno jego dusza, jak i ciało boleśnie jej pożądają i musi iść z nią do łóżka najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Fenny... – zaczął.

– Może zechciałby pan kupić kilka losów na naszą tombolę? Jest mała.

Artur gwałtownie podniósł głowę.

– Zbieramy pieniądze dla Anjie, która idzie na rentę...

– śe co?

– ...i potrzebuje sztucznej nerki.

Nad Arturem stała kostyczna, chuda kobieta w średnim wieku, ubrana w brzydkie kostium z dzianiny. Miała brzydkie ondulowane włosy, na brzydkich ustach, lizanych z pewnością przez masę brzydkich kundelków, brzydki uśmiech.

Wyciągnęła w kierunku Artura bloczek ponumerowanych kartek i puszkę.

– Jedynie dziesięć pensów za sztukę. Może pan od razu kupić dwa. Nie napadając na bank! – Roześmiała się perłście, zaraz po tym wydała z siebie podejrzenie długie westchnienie. Powiedzenie „Nie napadając na bank!” musiało jej sprawić więcej przyjemności niż cokolwiek w życiu od momentu, kiedy w czasie drugiej wojny światowej kwaterowało u niej kilku amerykańskich szeregowców.

– No... dobrze. Niech będzie – oświadczył Artur, grzebiąc nerwowo w kieszeni, skąd wydobyl na światło dzienne garść monet.

Z doprowadzającą do furii powolnością i brzydką teatralnością (jeśli w ogóle coś takiego istnieje) kobieta oderwała dwa numerki i podała je Arturowi.

– Mam ogromną nadzieję, że pan wygra – powiedziała z uśmiechem, który rozkwitł jak origami dla zaawansowanych. – Nagrody są takie ładne...

– Tak, bardzo dziękuję – rzucił Artur, wepchnął losy niedbale do kieszeni i spojrzał na zegarek. Skierował wzrok na Fenny.

To samo zrobiła kobieta z losami.

– A co z panią, młoda damo? To na sztuczną nerkę Anjie. Idzie na rentę, wie pani? Słucham? – Uniosła jeszcze bardziej kąciki ust. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiała dać sobie spokój, bo popęka jej skóra na brodzie.

– Proszę to wziąć – wtrącił Artur, wsuwając kobiecie do ręki pięćdziesięciopensówkę, z nadzieją, że się jej w ten sposób pozbędzie.

– Och, mamy pieniędzy jak lodu, co? – spytała kobieta z długim westchnieniem, połączonym z uśmiechem. – Jesteśmy z Londynu, co?

Artur marzył, by zaczęła mówić nieco szybciej.

– Nie, proszę dać sobie spokój – powiedział machając ręką, kobieta zaczęła jednak z przerażającą ślamazarnością odrywać pięć losów. Jeden po drugim.

– Musi pan wziąć losy – upierała się – inaczej nie dostanie pan wygranej. Nagrody są śliczne, naprawdę. Bardzo stosowne.

Artur capnął losy i szorstko podziękował.

Kobieta zwróciła się ponownie do Fenny.

– A teraz, co pani sądzi...

– Nie! – wrzasnął Artur. – Są dla niej – wyjaśnił, machając piątką losów.

– Rozumiem! Jakie to miłe!

Uśmiechnęła się tak, że mogło się zrobić niedobrze.

– No cóż, mam nadzieję...

– Oczywiście – warknął Artur. – Bardzo pani dziękuję.

Kobieta nareszcie poszła dalej. Artur rozpaczliwie odwrócił się w stronę Fenny i ujrzał z ogromną ulgą, że dziewczyną wstrząsa bezgłośny śmiech.

Westchnął i uśmiechnął się.

– Na czym stanęliśmy?

– Powiedział pan „Fenny” i właśnie zamierzałam poprosić, by pan tego nie robił.

– Jak to?

Mieszała drewnianą pałeczką sok.

– Dlatego zapytałam, czy jest pan przyjacielem mojego brata, a raczej – przyrodniego brata. Jest jedyną osobą, która mówi na mnie „Fenny” i nie lubię tego.

– To jak ma pani...?

– Fenchurch.

– Jak?

– Fenchurch.

– Fenchurch.

Patrzyła na Artura posępnie.

– Oczywiście, i czekam uważnie jak żbik, czy zada pan – jak każdy – to samo pytanie, tak głupie, aż chce mi się wyć. Będę wściekła i rozczarowana, jeśli je pan zada. I zacznę krzyczeć. Proszę więc uważać, co pan powie. – Uśmiechnęła się, strząsnęła włosy na czoło i zaczęła obserwować Artura przez ich zasłonę.

– Oj, to chyba trochę nie fair...

– Oczywiście.

– To świetnie.

– No dobrze – powiedziała ze śmiechem. – Proszę pytać, przynajmniej będziemy to mieli za sobą. Lepiej, niż gdyby pan ciągle mówił do mnie „Fenny”.

– Prawdopodobnie...

– Zostały nam jeszcze dwa losy, a ponieważ był pan przedtem tak hojny...

– Czego?! – zawył Artur.

Kobieta z ondulowanymi włosami, brzydkim uśmiechem i bloczkiem zamachała mu przed nosem dwoma ostatnimi losami.

– Pomyślałam, że ponieważ nagrody są tak ładne, dam panu jeszcze jedną szansę. – Zmarszczyła konspiracyjnie czoło. – Bardzo gustowne. Wiem, że się panu spodobają. Poza tym, zysk ma iść na zakup prezentu dla Anjie. Chcemy kupić jej...

– Sztuczną nerkę, wiem. Proszę.

Artur podał dwie dziesięciopensówki i wziął losy. Kobieta jakby wpadła na jakiś pomysł.

Kielkował w jej głowie bardzo powoli. Widać było, jak przychodzi – jak powolna, długa morska fala.

– Moi drodzy! Chyba nie przeszkadzam? – W jej oczach krył się prawdziwy strach.

– Skądże, wszystko w porządku – odparł Artur. – Wszystko, co tylko może być w porządku, jest w porządku – oświadczył dobitnie. – Bardzo pani dziękujemy – dodał.

– Myślę, że... – ciągnęła z afektowanym zmartwieniem – nie są państwo... świeżo zakochani, prawda?

– Trudno powiedzieć – odrzekł Artur. – Jeszcze nie mieliśmy okazji porozmawiać. – Spojrzał na Fenchurch.

Dziewczyna śmiała się bezgłośnie.

Kobieta skinęła głową jak przywódca spisku.

– Zaraz panu pokażę nagrody – dodała na odchodnym.

Artur z kolejnym westchnieniem zwrócił się ku dziewczynie.

– Chciał pan właśnie zadać mi pytanie...

– Oczywiście.

– Jeśli ma pan ochotę, możemy je zadać razem – powiedziała Fenchurch. – Czy została pani...

– ...znaleziona w torbie... – pociągnął Artur.

– ...w biurze rzeczy znalezionych... – powiedzieli razem.

– ...na stacji Fenchurch Street? – skończyli też razem.

– Odpowiedź brzmi: nie.

– To wspaniale.

– Zostałam tam spłodzona.

– Co?!

– Zostałam tam spło...

– W biurze rzeczy znalezionych?

– Skąd. Oczywiście, że nie. Niech pan nie będzie śmieszny. Co mieliby robić moi rodzice w biurze rzeczy znalezionych? – Fenchurch była nieco zbulwersowana tym podejrzeniem.

– Bo ja wiem? – parsknął Artur. – Może...

– Zdarzyło się to w kolejce przed kasą biletową.

– W ko...

– Kolejce przed kasą. W każdym razie tak twierdzą, ale nie chcą opowiadać szczegółów. Mówią tylko, że trudno uwierzyć, jaka nuda może człowieka opanować w kolejce przed kasą biletową na dworcu Fenchurch Street.

Wypiła łyk soku i spojrzała na zegarek.

Artur w dalszym ciągu próbował powstrzymać czkawkę.

– Za dwie, trzy minuty muszę jechać – stwierdziła Fenchurch – a pan nawet jeszcze nie zaczął opowiadać o tych niezwykłych rzeczach, których ciężar chce pan z siebie zrzucić.

– Dlaczego nie mogę zawieźć pani do Londynu? – spytał Artur. – Jest sobota, nie mam nic specjalnego w planie, mógłbym...

– Nie. Dziękuję, to bardzo miłe z pańskiej strony, ale nie. Muszę przez kilka dni побыć w samotności. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Ale...

– Opowie mi pan innym razem. Dam panu swój numer.

Kiedy pisała ołówkiem siedem cyfr, serce Artura zrobiło bum, bum, puch, puch. Podala mu karteczkę.

– No to możemy odetchnąć – rzekła z uśmiechem, który tak wypełnił duszę Artura, iż zaczął się bać, że zaraz pęknie jak balonik.

– Fenchurch... – wypowiadając jej imię, odczuwał przyjemność – ale...

– Pudełko... – rozległ się nad nimi powolny głos – buteleczek z likierem wiśniowym i, ponieważ domyślałam się, że lubi pan coś takiego, płyta ze szkocką muzyką na kobzę...

– Tak, dziękuję, bardzo ładne. – Artur starał się powiedzieć to dobitnie.

– Pomyślałam sobie, że dam panu rzucić okiem na nagrody – mówiła ondulowana dama – ponieważ jest pan z Londynu i...

Z dumą podstawiała Arturowi nagrody pod nos. Rzeczywiście było to pudełko buteleczek z likierem wiśniowym i płyta ze szkocką muzyką na kobzę. W samej rzeczy.

– Dam państwu teraz w spokoju dopić – zakończyła, poklepując Artura w bolące miejsce na barku. – Wiedziałam, że chętnie je pan obejrzy.

Artur ponownie spojrzał głęboko w oczy Fenchurch, nagle jednak wypadło mu z głowy, co ma powiedzieć. Ich chwila nadeszła i poszła sobie, bo ta głupia tleniona baba wybiła go z rytmu.

– Proszę się nie przejmować – powiedziała Fenchurch, przyglądająca mu się przez szklankę z sokiem. – Porozmawiamy innym razem. – Wypiła łyk. – Być może nawet i bez niej nic by nie wyszło. – Uśmiechnęła się jakby wbrew sobie i ponownie strząsnęła włosy na czoło.

Miała stuprocentową rację. Musiał przyznać, że miała stuprocentową rację.

Rozdział 13

Wieczorem, paradując po domu, jakby tańczył w zwolnionym tempie wśród łąnów zboża i wybuchając raz za razem gwałtownym śmiechem, Artur uznał, że byłby w stanie wysłuchać nawet kobzowej muzyki z nagrania. Była ósma i postanowił zmusić się do wysłuchania płyty.

Dopiero potem zadzwoni. Może powinien poczekać do jutra... To byłoby naprawdę coś. Albo do następnego tygodnia...

Nie. śadnych wygłupów. Pożądał jej i nie dbał o to, kto się o tym dowie. Pożądał jej jednoznacznie i całkowicie, był nią zachwycony, pragnął jej, chciał z nią robić więcej rzeczy, niż istnieje na to określeń.

Łapał się na wykrzykiwaniu „juhhuuu!”, miał świadomość, że tańczy po domu w kompletnie idiotyczny sposób. Jej oczy.

Jej włosy, jej głos. Wszystko...

Staął.

Zaraz puści płytę z kobzą. Potem zadzwoni. A może najpierw zadzwonić?

Nie. Zrobi tak: puści płytę z kobzą. Przesłucha ją, wysłucha każdego nagranych krzyku umierającej duszy. Potem zadzwoni.

Taka jest właściwa kolejność. Właśnie tak robi.

Bał się dotknąć czegokolwiek, nie wiedział, czy nie wybuchnie mu w palcach.

Sięgnął po płytę. Nie wybuchła. Wysunął ją z koperty. Podniósł pokrywę adaptera,

włączył wzmacniacz. I jedno, i drugie przeżyło. Kładąc igłę na płycie, idiotycznie zachichotał. Siedział i słuchał uroczyście A Scottish Soldier. Wysłuchał Amazing Grace. Posłuchał tego i owego o paru dolinach.

Cofnął się myślą do wspaniałych chwil, jakie spędzili w kawiarni. Właśnie zamierzali iść, kiedy ich uwagę ściągnęło głośnie „juhu!”. Obrzydliwie wyondulowana kobieta machała z drugiego końca sali jak kretyński ptak z połamanymi skrzydłami. Wszyscy w pubie odwrócili się ku nim, najwyraźniej czekając, co zrobią.

Nie usłyszeli, jak szczęśliwa będzie Anjie z powodu czterech funtów i trzydziestu pensów, które zebrano na zakup sztucznej nerki; niewyraźnie dotarło do nich, że ktoś przy stoliku obok wygrał pudełko buteleczek z likierem wiśniowym, i kilka chwil zajęło im zorientowanie się, że wiwatująca kobieta pyta, czy mają los numer 37.

Artur stwierdził, że trzyma w ręku właśnie ten numer. Spojrzał ze złością na zegarek. Fenchurch pchnęła go.

– Niech pan rusza – powiedziała. – Niech pan idzie po nagrodę. Niech pan nie będzie taki ponury. Proszę powiedzieć, jak się pan cieszy, potem niech pan do mnie zadzwoni i opowie, co się dalej działo. Poza tym chciałabym posłuchać płyty. Proszę ruszać! – Poklepała go delikatnie po dłoni, wstała i odeszła.

Stałym klientom mowa Artura wydała się nieco pompatyczna. W końcu chodziło jedynie o płytę z muzyką na kobzę.

Przypominał sobie wydarzenia południa i raz za razem wybuchał śmiechem.

Rozdział 14

Dzyń dzyń.

Dzyń dzyń.

– Słucham? Tak, zgadza się. Tak. Proszę mówić głośniej, tu jest straszny hałas! Co?...

Nie, pracuję tylko wieczorami.

– Rano w barze jest Yvonne, szef nazywa się Jim. Nie, nie byłam.

– Co?... Proszę mówić głośniej... Co? Nie, nie wiem nic o tomboli. Co?... Nie, nic nie wiem. Czekaj pan, zawołam Jima. – Barmanka zakryła dłonią słuchawkę i krzyknęła w stronę kontuaru: – Hej, Jim, jakiś facet mówi, że wygrał w tomboli. Gada bez przerwy, że miał los numer 37 i wygrał.

– Skąd, facet, który wygrał, już tu był! – odkrzyknął Jim.

– Pyta, czy mamy los.

– Jak on wpadł na pomysł, że wygrał, jeśli nie ma losu?

– Jim pyta, jak pan wpadł na pomysł, że pan wygrał, jeśli nie ma pan losu. Co? – Znow zakryła słuchawkę ręką. – Jim, on nie przestaje kłąć i przysięgać. Mówi, że ma na losie numer.

– Oczywiście, że na losie jest numer! Przecież to los na tombolę, nie?

– On mówi, że ma na losie numer telefonu!

– Odlóż tę cholerną słuchawkę i zacznij obsługiwać, dobrze?

Rozdział 15

Osiem godzin drogi na zachód siedział na plaży samotny człowiek i opłakiwał niewytłumaczalną stratę. Musiał dawkować sobie smutek w maleńkich porcjach, gdyż był tak

wielki, że nie do zniesienia w całości.

Przyglądał się długim, powoli napływającym falom Pacyfiku wtaczającym się na plażę i czekał, i czekał, i czekał na mające zaraz nastąpić Nic. Kiedy nadszedł czas, by nie nastąpiło, rzeczywiście nie nastąpiło. W ten sposób popołudnie roztrwoniło samo siebie, słońce zaszło za linię horyzontu i dzień się skończył.

Nie chcemy wymieniać nazwy plaży, ponieważ stał przy niej dom samotnego człowieka, który chciał pozostać samotny; w każdym razie był to wąski piaszczysty fragment wybrzeża ciągnącego się setki kilometrów na zachód od Los Angeles.

W ostatnim wydaniu Autostopem przez Galaktykę miejsce to jest określane jako: śmietliwe, kątliwe, spadliwe, śmierdlawe i jako coś jeszcze, no, wiecie sami co, i w dodatku wszelkiego rodzaju paskudztwo, wum; w drugim, napisanym zaledwie kilka godzin później haśle jest porównywane do kilku tysięcy kilometrów kwadratowych reklam American Express, choć bez tego samego wyczucia moralności. Poza tym z niewiadomego powodu powietrze jest tam żółte.

Ciągnące się na zachód wybrzeże skręca w pewnym miejscu na północ, ku mglistej zatoce San Francisco, którą Autostopem opisuje jako miejsce godne polecenia. Czytamy w przewodniku: Bez najmniejszej trudności można uwierzyć, że każdy, kto tam przebywa, jest podróżnikiem po Galaktyce. Świętym obowiązkiem jest mówić do każdego SIE MA! Nim wtopisz się w otoczenie i poznasz specyfikę miejsca, zalecane jest odpowiadać NIE na trzy z czterech pytań, jakie będą ci zadawane, ponieważ dzieje się tu wiele dziwnych rzeczy, od których niczego nie podejrzewający obcy może umrzeć.

Setki kilometrów stromych brzegów, piasku, palm, przyboju i zachodów słońca Autostopem określa jako: Dowcip. Świetny.

Tak więc dom owego niepokieszonego człowieka leżał gdzieś przy tym dowcipnym wybrzeżu. Wielu uważało go za wariata, ale – jak miał zwyczaj mówić – było tak tylko dlatego, że był wariatem.

Jednym z wielu powodów, dla których uważano go za szaleńca, była dziwność jego domu, która nawet w tej okolicy, gdzie domy większości ludzi mają w sobie coś dziwnego, była wyjątkowo dziwna.

Jego dom nazywał się „Zewnętrzna powłoka domu wariatów”.

Mężczyzna nazywał się niewyszukanie John Watson, wolał jednak, by nazywano go Wonko Rozsądny, i część znajomych, acz niechętnie, dostosowała się do tego.

W jego domu było wiele dziwnych rzeczy, między innymi pojemnik z szarawego szkła, na powierzchni którego wygrawerowano pięć słów.

Wrócimy tu później – teraz to jedynie intermedium, mające na celu spojrzenie na zachód słońca i poinformowanie, że samotny człowiek jest tutaj i też go ogląda.

Stracił w życiu wszystko, co miało dla niego znaczenie, i czekał już tylko na koniec świata, nie zdając sobie przy tym sprawy, że świat dawno już zginął i zniknął.

Rozdział 16

Po obrzydliwej niedzieli, którą Artur spędził za pubem w Taunton na dokładnym przeszukiwaniu pojemników na śmieci – ale nie znalazł ani losu na tombolę, ani numeru telefonu, zaczął próbować wszystkiego, by odnaleźć Fenchurch, choć im bardziej próbował, tym więcej mijało tygodni.

Szalał i pomstował na siebie, na los, na świat i pogodę. Ze zmartwienia i wściekłości

pojechał nawet do kafejki przy autostradzie, gdzie spotkał Fenchurch. Ledwie usiadł przy stoliku, usłyszał: – Ta mżawka działa mi szczególnie na nerwy.

– Przestań pan gadać o mżawce – burknął Artur.

– Z chęcią bym przestał, gdyby przestało siąpić...

– Panie...

– Powiem panu, co będzie, jak przestanie siąpić. Powiedzieć panu?

– Nie.

– Zacznie kropić.

– Co?

– Będzie kropić.

Artur spojrzał ponad brzegiem filizanki na obrzydliwą pogodę za oknem. Było jasne, że siedzenie tu nie ma najmniejszego sensu, ale w końcu przyjechał kierowany nie logiką, lecz przesądem. Los chciał jednak podreżyc go świadomością, że zbiegi okoliczności się zdarzają, i pokarał go tym samym kierowcą ciężarówki, co poprzednio.

Im bardziej próbował ignorować kierowcę, tym bardziej wciągał go gęsty jak syrop strumień szarpiącej nerwy gadaniny.

– Sądzę – rzekł Artur jak najogólniej, równocześnie przeklinając się nawet za te słowa – że deszcz słabnie.

– Ha!

Artur wzruszył ramionami. Powinien iść. Tak właśnie powinien zrobić. Wstać i odejść.

– Nigdy nie przestaje padać! – ekscytował się kierowca. Uderzył pięścią w stół, rozlał stojącą przed nim herbatę.

Zdawał się aż parować ze złości.

Nie można odejść bez reakcji na podobne stwierdzenie.

– Oczywiście, że przestaje. – Zaprzeczenie nie było może eleganckie, ale konieczne.

– Pada... bez... przerwy... – szalał kierowca, uderzając jednocześnie w stół.

Artur pokręcił głową.

– Przecież to bzdura twierdzić, że pada bez przerwy.

Brwi kierowcy skoczyły obrażone w górę.

– Bzdura? Dlaczego bzdura? Dlaczego ma być bzdurą twierdzenie, że ciągle pada, jeśli ciągle pada?

– Wczoraj nie padało.

– W Darlington padało.

Artur wyczekiwał.

– Nie chciałby pan spytać, gdzie wczoraj byłem? Co?

– Nie – odparł Artur.

– Ale sądzą, że byłby pan w stanie zgadnąć.

– Chyba tak.

– Nazwa miejscowości zaczyna się na D.

– Naprawdę?

– I lało tam jak diabli.

– Po co tu usiadłeś? – spytał Artura przechodzący obok stolika nieznajomy w kombinezonie. – To kąt burzowy. Zarezerwowany dla tego Ciągłe Mi Kropi Na Łeb Chłopie.

Ma swój stół w każdej kafejce między naszą wiochą a słoneczną Danią. Radzę ci stąd uciekać. Każdy tak robi. Co słysząc, Rob? Pilnie pracujesz? Masz na sobie deszczowe opony? Ha ha ha.

Mężczyzna odszedł i zaczął opowiadać komuś przy sąsiednim stoliku dowcip o Britt

Ekland.

– Widzi pan, żaden z tych łobuzów nie traktuje mnie poważnie – powiedział Rob McKenna. – Ale każdy z nich wie, że mówię prawdę – dodał ponuro, mrużąc oczy.

Artur zmarszczył czoło.

– Na przykład moja żona – syczał właściciel i jedyny kierowca wszechpogodowej spedycji McKenny – twierdzi, że to bzdura, wygłupiam się i narzekam bez powodu, ale... – zawiesił dramatycznie głos, próbując rzucać oczami błyskawice – jak dzwonię, że wracam, zawsze zabiera pranie z dworu! – Machał jak szalony łyżeczką do kawy. – Co pan na to?!

– Tja...

– Prowadzę zapiski – ciągnął. – Pamiętnik. Od piętnastu lat. Zapisalem każdą mieścinę, w jakiej byłem. Każdy dzień. Dopisałem, jaka była pogoda. Zawsze jest tak samo – warknął. – Obrzydliwie. Byłem wszędzie w Anglii, Szkocji i Walii. W całej Europie. We Włoszech, w Niemczech, Danii. Zjeździłem Europę wzdłuż i wszerz, dotarłem nawet do Jugosławii.

Wszystko notowałem. Nawet jak pojechałem do brata do Seattle.

– No cóż... – powiedział Artur wstając, by w końcu sobie pójść. – Może pan komuś pokaże notatki...

– Tak zrobię – uznał Rob McKenna.

I pokazał.

Rozdział 17

Nieszczęście. Depresja. Jeszcze więcej nieszczęścia, jeszcze głębsza depresja.

Potrzebował jakiegoś celu, postanowił więc go sobie wyznaczyć.

Poszuka miejsca, gdzie znajdowała się jego jaskinia.

Na prehistorycznej Ziemi mieszkał w jaskini, niezbyt ładnej, właściwie – ohydnej, ale...

śadnego „ale”. Była to wyjątkowo obrzydliwa jaskinia i nienawidził jej. Mimo to spędził tam pięć lat, co w pewnym sensie zrobiło z niej jego dom, a niektórzy lubią zapamiętywać swe domy. Artur Dent należał do tego typu ludzi, pojechał więc do Exeter kupić komputer.

Tak, bardzo chciał mieć komputer, uważał jednak, że zanim wyda, ot tak, masę pieniędzy na coś, co wielu ludzi uważa za zabawkę, powinien najpierw mieć dla niego jakieś poważniejsze przeznaczenie. Teraz je miał: ustalenie miejsca, w którym na prehistorycznej Ziemi znajdowała się pewna jaskinia. Powiedział o tym sprzedawcy.

– Po co? – zapytał człowiek w sklepie.

Mądrała.

– Dobrze, nie mówmy o tym – powiedział człowiek w sklepie. – Jak?

– Miałem nadzieję, że mi pan pomoże.

Człowiek w sklepie westchnął i bezradnie opuścił ramiona.

– Czy ma pan doświadczenie w pracy z komputerami?

Artur zastanowił się, czy wspominać o Eddiem, komputerze pokładowym „Serca ze Złota”, który poradziłby sobie z zadaniem w sekundę, o Głębokiej Myśli albo o... i postanowił powiedzieć, że nie ma doświadczenia.

– Nie – odparł.

– No to zapowiada się wesołe popołudnie... – mruknął sprzedawca pod nosem.

Artur mimo to kupił komputer. W następnych dniach dokupił parę programów astronomicznych. Przypominając sobie nocne niebo, jakie widział z jaskini, zrobił grafikę ruchu planet i zestawiał przybliżone diagramy ówczesnych pozycji gwiazd.

Pracował z zapalem przez kilka tygodni, radośnie zostawiając na razie na boku wnioszek, do którego – z czego doskonale zdawał sobie sprawę – będzie musiał dojść, że całe przedsięwzięcie jest zupełnie niedorzeczne.

Robione z pamięci diagramy były bezwartościowe. Nie wiedział przecież, kiedy odbyły się ówczesne wydarzenia, jedyną informacją było przypuszczenie Forda, że chodzi o parę milionów lat. Mimo wszystko opracował w końcu metodę, dzięki której mógł uzyskać wynik.

Postanowił nie brać pod uwagę faktu, że korzystając z niezwyklej płątaniny szacunków na oko, szalonych przybliżeń i naciąganych przypuszczeń będzie miał szczęście, jeśli trafi we właściwą galaktykę. Liczył dalej i w końcu uzyskał wynik.

Nazwał go „prawidłowy wynik”. Kto wie?

Jak to się czasami zdarza w nieskończonej płątaninie niewyjaśnionych przypadków we wszechświecie, choć nigdy się o tym nie dowiedział, uzyskał dokładny wynik. Pojechał do Londynu i zapukał do drzwi domu, który wskazały obliczenia.

– O, myślałam, że najpierw pan zadzwoni.

Artur oniemiał ze zdziwienia.

– Może pan wejść tylko na parę minut – powiedziała Fenchurch. – Właśnie wychodzę.

Rozdział 18

W letni dzień powietrze w Islington zawsze wypełnia smętne wycie maszyn do renowacji mebli.

Fenchurch nie mogła zrezygnować z popołudniowych zajęć, Artur ruszył więc oszołomiony szczęściem na spacer. Oglądał każdą wystawę, a w Islington jest ich mnóstwo, co z chęcią potwierdzi każdy, kto systematycznie kupuje stare narzędzia stolarskie, hełmy z wojny burskiej, meble biurowe albo ryby.

Słońce smażyło dachy. Świeciło na architektów i hydraulików. Na adwokatów i włamywaczy. Świeciło na pizze. Świeciło na szyldy maklerów nieruchomości.

Świeciło na Artura, który właśnie wchodził do jednego ze sklepów z odrestaurowanymi meblami.

– To interesujący budynek – powiedział przyjaźnie właściciel. – Ma piwnicę z tajnym przejściem, prowadzącym do jednego z pobliskich pubów. Prawdopodobnie został zbudowany dla księcia regenta, by mógł zniknąć, kiedy tylko zechce.

– Na przykład, gdyby ktoś go przyłapał na kupnie mebli z niebejcowanej sosny?

– Nie – odparł właściciel. – Nie dlatego.

– Proszę mi wybaczyć – przeprosił Artur – ale szaleję ze szczęścia.

– Rozumiem.

Artur powędrował dalej i nagle znalazł się przed biurem „Greenpeace”. Przypomniał sobie o teczce z napisem: DO ZAŁATWIENIA – PILNE!, której od czasu założenia ani razu nie otworzył. Wszedł do środka z radosnym uśmiechem na ustach i oznajmił, że chce dać trochę pieniędzy na uwolnienie delfinów.

– Bardzo śmieszne! – krzyknęto na niego. – Wynocha!

Nie była to reakcja, jakiej oczekiwał, dlatego spróbował jeszcze raz. Tym razem wściekli się naprawdę, zostawił więc nieco pieniędzy na stole i wyszedł bez słowa.

Tuż przed szóstą wrócił do domu Fenchurch, stojącego w niewielkiej bocznej uliczce. W ręku ścisnął butelkę szampana.

– Proszę potrzymać – powiedziała wychodząc naprzeciw i wciskając mu w dłoń grubą

linę. Sama zniknęła za wysokimi białymi drzwiami, ozdobionymi żelazną sztabą z wielką kłódką.

Dom był zaadaptowany z niewielkiej stajni i stał na zajętych głównie przez małe fabryczki i warsztaty rzemieślnicze terenie za opuszczonym Królewskim Instytutem Rolniczym. Poza wysokimi stajennymi drzwiami dom miał normalne drzwi wejściowe, ozdobione kasetonami z elegancko wypolerowanego drewna i kołatką w kształcie delfina.

Jedyną dziwną rzeczą w drzwiach był znajdujący się przed nimi schodek – miał trzy metry wysokości, drzwi znajdowały się bowiem na dawnym piętrze i właśnie przez nie wciągano kiedyś bele siana dla zgłodniałych koni.

Z muru nad drzwiami wystawała belka z krążkiem, przez który przeciągnięta była lina, której koniec Artur trzymał w dłoni. Na drugim końcu liny wisiała wiolonczela. Drzwi na piętrze otwały się.

– Halo! – zawołała Fenchurch. – Proszę ciągnąć i trzymać wiolonczelę! Proszę wciągnąć ją na górę!

Artur ciągnął linę i trzymał wiolonczelę.

– Nie mogę dalej nie puszczając wiolonczeli!

Fenchurch przechyliła się mocno w dół.

– Trzymam ją. Proszę ciągnąć za linę.

Wiolonczela zatrzymała się łagodnie na wysokości drzwi wejściowych i Fenchurch wtaszczyła ją do środka.

– Proszę wejść na górę! – krzyknęła.

Artur wziął torbę z zakupami i nucąc pod nosem, wszedł stajennymi drzwiami.

Dolne pomieszczenie, które widział krótko już przedtem, było dość surowe i zagracone.

Na środku stała stara żeliwna wyżymaczka, w rogu piętrzyła się niezwykła ilość zlewozmywaków. Pod ścianą stał też – Artur przyglądał mu się przez chwilę zaniepokojony – dziecięcy wózek, był jednak bardzo stary i pełen książek. Podłogę pokrywał brudny beton, spękany w podniecający sposób. Podniecenie i spękanie były określeniami najlepiej oddającymi stan ducha Artura, który właśnie wchodził chyboczącymi schodami na górę.

Nawet zniszczony stary beton wydawał mu się nieznośnie zmysłowy.

– Pewien mój przyjaciel architekt ciągle opowiada, jakie niezwykle rzeczy mógłby zrobić z tym domem – zaczęła paplać Fenchurch natychmiast po tym, jak Artur wszedł na górę. – Stale tu przychodzi, cały sztywnieje z zachwyty, mruczy coś o przestrzeni, przedmiotach, wydarzeniach i warunkach świetlnych, potem prosi o ołówek i znika na parę tygodni. Z tego chyba powodu jeszcze nie wydarzyły się tu żadne niezwykłości.

Rozglądając się, Artur pomyślał, że górne pomieszczenie i tak jest dość niezwykle. Było urządzone z prostotą, dominowały w nim materace i sprzęt stereo. Kolumny głośnikowe zachwyciłyby budowniczych Stonehenge. Było kilka kwiatów – bladych i kilka obrazów – interesujących. Strych otaczała galeria z łóżkiem i łazienką, w której – jak twierdziła Fenchurch – mógłby się obrócić tylko kot, który nie miałby nic przeciwko objaniu łbem o ściany.

– No to jesteśmy.

– No tak.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Chwila zaczęła się przedłużać, nagle stała się bardzo długa – tak długa, że trudno byłoby określić, skąd wzięło się tyle czasu.

Dla Artura, któremu zwykle udawało się być strasznie nieśmiałym, jeśli pozostawiono go tylko odpowiednio długo sam na sam z rośliną w doniczce, chwila była objawieniem. Poczuł się nagle jak stłamszone, urodzone w zoo zwierzę, które budzi się pewnego dnia i zauważa, że drzwi klatki są otwarte, sawanna migocze szaroróżowo aż po horyzont, zza którego wschodzi słońce, a

dookoła budzą się nowe odgłosy.

Wpatrując się w zdziwioną twarz Fenchurch, w jej śmiejące się oczy, zastanawiał się intensywnie, skąd bierze się to dziwne dudnienie w uszach. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że życie odpowiadając na pytania, jakie mu stawiamy, przemawia szczególnie donośnie.

Artur jeszcze nigdy nie słyszał głosu życia świadomie ani nie umiał go rozpoznać – nastąpiło to dopiero teraz, a głos powiedział to, czego jeszcze nigdy mu nie mówił.

Głos powiedział: ZNALAZŁEŚ.

W końcu Fenchurch, lekko kręcąc głową, opuściła wzrok.

– Wiem – szepnęła. – Będę musiała zapamiętać, że należysz do tych, co nie są w stanie potrzymać nawet dwie minuty kawałka papieru, by nie wygrać nagrody w tomboli. – Odwróciła się. – Chodźmy na spacer – powiedziała szybko. – Do Hyde Parku. Włożę coś swobodniejszego. – Teraz miała na sobie dość staromodną, ciemną sukienkę, w dodatku nieszczególnie ładną. – Wkładałam ją ze względu na mojego nauczyciela muzyki – wyjaśniła. – To miłutki staruszek, ale czasami mam wrażenie, że pociąganie smykiem nieco go podnieca.

Zaraz wracam. – Drobnymi, leciutkimi kroczkami pobiegła na galerię.

– Włóż butelkę do lodówki. Na potem – dodała po chwili.

Stawiając szampana do lodówki, Artur zauważył, że stoi tu już jedna butelka. Identyczna.

Podszedł do okna, spojrzął przez moment na to, co się dzieje za oknem, po czym znów zaczął oglądać płyty. Z góry doleciał szelest opadającej na podłogę sukienki. Zaczął prowadzić wewnętrzny dialog, przekonując się, jakim właściwie jest człowiekiem. Bardzo zdecydowanie nakazał sobie wbić wzrok w płyty na regale, czytać tytuły, kiwać z uznaniem głową, w razie czego policzyć przekłete przedmioty. W żadnym wypadku nie podniesie głowy.

Całkowicie i zupełnie mu się to nie udało.

Fenchurch wpatrywała się w niego z góry tak intensywnie, jakby nie zauważała, że on też wbija w nią wzrok. Po chwili potrząsnęła głową, zarzuciła na ramiona letnią sukienkę i zniknęła w łazience.

Wkrótce, rozpromieniona, wyszła. Na głowie miała słomkowy kapelusz; schodziła po schodach, jakby płynęła albo tańczyła jakiś dziwny taniec. Zauważywszy badawczy wzrok Artura, skłoniła głowę nieco w bok.

– Podoba ci się? – spytała.

– Wyglądasz w niej fantastycznie. – Rzeczywiście wyglądała fantastycznie.

– Hmmm – mruknęła, jakby nie odpowiedział na jej pytanie.

Zamknęła górne drzwi, które były cały czas otwarte na oścież, i rozejrzała się po pokoiku, jakby sprawdzała, czy wszystko leży na swoim miejscu i może na pewien czas tak pozostać.

Artur też się rozglądał. Wykorzystując moment, kiedy patrzył w inną stronę, wyjęła coś z szuflady i wrzuciła to ukradkiem do torebki.

– Gotowa? – spytał ponownie na nią spoglądając.

– Czy wiesz – spytała z lekko zażenowanym uśmiechem – że coś jest ze mną nie w porządku?

Artur nie był przygotowany na taką bezpośredniość.

– No cóż... – mruknął – obilo mi się o uszy...

– Z chęcią bym się dowiedziała, co naprawdę o mnie wiesz. Jeśli wiesz to stamtąd, skąd podejrzewam, to słyszałeś nieprawdę. Russell wysysa różne rzeczy z palca, ponieważ niezbyt sobie radzi z faktami.

Artura przeszył dreszcz strachu.

– O co więc chodzi? – spytał. – Nie możesz mi powiedzieć?

– Nie obawiaj się, to naprawdę nic złego. Jedynie niecodziennego. Bardzo

niecodziennego. – Dotknęła jego dłoni, przysunęła się i delikatnie go pocałowała. – Jestem ciekawa, czy odkryjesz to dziś wieczorem.

Artur miał wrażenie, że gdyby w tej właśnie chwili ktoś klepnął go w plecy, wydałby z siebie taki sam głęboki, długi, dźwięczny odgłos, jaki wydawało z siebie po stuknięciu paznokciem kuliste akwarium.

Rozdział 19

Ford Prefect był wściekły, ponieważ ciągle budził go odgłos kanonady.

Wyszedł z ciasnego luku inspekcyjnego, który przerobił na koję. Aby dało się tu spać, wyłączył najbliższe hałaśliwe urządzenia, a zagłębienie wyłożył ręcznikami. Zsunął się na dół po szczeblach drabinki i posępnie ruszył przed siebie.

Korytarze były ciasne i źle oświetlone, w dodatku mętne światła raz za razem to migotały, to zanikały, co spowodowane było przepływem przez statek fal energii, wywołujących na dodatek gwałtowne wstrząsy i skrzeczacobuczące odgłosy.

To nie było to.

Kiedy tuż nad nim z okropnym, rozrywającym bębenki skowytom śmignęło coś, co przypominało niewielką srebrną ręczną wiertarkę, Ford stanął i oparł się o ścianę.

To też nie było to.

Przecisnął się przez luk między sekcjami i wszedł do nieco szerszego, ale też źle oświetlonego korytarza.

Statek zarzucił. Działo się tak już od dłuższego czasu, ale teraz wstrząsy były znacznie intensywniejsze. Obok Forda przeszła z hałaśliwym klekotem grupka robotów.

To ciągle jeszcze nie było to.

Z głębi korytarza napływał żrący dym, Ford poszedł więc w innym kierunku.

Minął szereg monitorów kontrolnych, wpuszczonych w ścianę i osłoniętych płytami utwardzanego, a mimo to bardzo podrapanego pleksiglasu.

Na jednym z monitorów widać było okropnego, zielonego, pokrytego łuskami gada, który gardłował i emocjonował się systemem wyborczym polegającym na dopuszczeniu przenoszenia głosów. Trudno było powiedzieć, czy jest za czy przeciw, w każdym razie strasznie się wściekał. Ford ściszył głos.

W dalszym ciągu to nie było to.

Minął kolejny monitor. Wyświetlano na nim reklamę pasty do zębów, która miała dawać poczucie wolności. Reklamówce towarzyszyła okropna dudniąca muzyka, ale to też nie było to.

Ford doszedł do następnego, znacznie większego, trójwymiarowego monitora, na którym widać było zewnętrzną powłokę olbrzymiego srebrnego ksaksyjskiego statku kosmicznego.

Akurat w momencie gdy patrzył, z cienia jednego z księżyców wypadło tysiąc niesamowicie groźnie uzbrojonych automatycznych krążowników z Zirzla i natychmiast, kiedy ich sylwetki pojawiły się na tle jaskrawej tarczy planety Ksaksis, statek wystrzelił ze wszystkich luf salwy potwornych, niepojętych energii.

To było to.

Ford nerwowo pokręcił głową i przetaił oczy. Opadł bezsilnie na zmiażdżony matowosrebrny korpus robota, który najwyraźniej kiedyś się palił, teraz jednak wystygł na tyle, by dało się na nim siedzieć. Wyciągnął z torby Autostopem przez Galaktykę, włączył monitor i zaczął bez pośpiechu przeglądać wpisy na trzecim poziomie i kilka na poziomie czwartym.

Szukał kuracji na bezsenność. Znalazł hasło SPOKÓJ i uznał, że właśnie tego mu chyba

brakuje. Potem znalazł SPOKÓJ I WYPOCZYNEK i właśnie zamierzał szukać dalej, kiedy wpadł mu do głowy lepszy pomysł.

Spojrzał na olbrzymi monitor.

Bitwa z każdą sekundą nasilała się, hałas był okropny. Statek wibrował, wył i zarzucał za każdym razem, kiedy trafiała go nowa fala niezwyklej energii lub sam kolejną falę wystrzeliwał. Ford patrzył na ekran Autostopem, sprawdzając kilka miejsc, gdzie mógłby polecieć. Nagle gwałtownie się roześmiał i zaczął grzebać w torbie.

Wyjął z niej mały moduł pamięci, starł z niego kurz oraz okruchy ciasta i podłączył do Autostopem. Kiedy przeniósł do modułu potrzebne informacje, odłączył go, potrząsnął nim delikatnie w dłoni, schował przewodnik do torby, uśmiechnął się i zaczął szukać banku danych pokładowego komputera.

Rozdział 20

– Sens tego, że wieczorami, szczególnie latem w parkach, słońce wisi długo tuż nad horyzontem – mówił poważnie jakiś głos – polega na tym, że można dokładnie obserwować podskakiwanie dziewczęcych piersi. Jestem o tym głęboko przekonany.

Artur i Fenchurch, mijając mówcę, spojrzeli na siebie i oboje się roześmiali. Fenchurch na chwilę przytuliła się mocniej do Artura.

– Jestem pewien – mówił młodzieniec z rudymi lokami i cienkim, spiczastym nosem, przemawiający z ustawionego tuż przy brzegu stawu Serpentine składanego krzeselka – że jeśli dokładnie rozpatrzmy ten dowód, stwierdzimy, że wynika on z całkowitą jasnością i logiką ze wszystkiego – zapewniał chudego, ciemnowłosego kolegę, przypominającego oklapnięty balon i przeżywającego gorzkość porażki na stojącym metr dalej własnym składanym krzeselku – czym zajmował się Darwin. To pewnik. Nie podlega dyskusji. Poza tym – dodał – jestem tym zachwycony.

Gwałtownie się odwrócił i wbił wzrok w Fenchurch. Artur odciągnął ją na bok. Wyraźnie czuł, że cała aż drży od niemego chichotu.

– Następne pytanie – powiedziała, kiedy przestała się trząść. – Zaczynaj.

– No dobrze. Lewy łokieć. Coś jest nie w porządku z twoim łokciem.

– Znowu pudło – odparła. – Kompletne pudło. Całkiem z innej beczki.

Letnie słońce zachodziło, sprawiając wrażenie, iż zanurza się w korony parkowych drzew, i wyglądało jak... ach, dajmy sobie spokój ze wzniosłymi słowami. Hyde Park jest rewelacyjny. Wszystko jest w nim rewelacyjne, pomijając może walające się w poniedziałek rano śmieci. Nawet kaczki są rewelacyjne. Ten, kto jest w stanie poruszać się po Hyde Parku w letni wieczór i nie być nim zachwycony, prawdopodobnie jedzie karetką i to z zaciągniętym na twarz prześcieradłem.

Jest to park, w którym ludzie robią bardziej niezwykle rzeczy niż gdziekolwiek indziej.

Artur i Fenchurch napotkali mężczyznę w szortach, który stał pod drzewem i ćwiczył grę na kobzie. Właśnie przerwał, by przegonić parę Amerykanów, którzy nieśmiało próbowali położyć mu na pudle od kobzy kilka monet.

– Nie! – wrzeszczał. – Wynocha! Tylko ćwiczę!

Znów zaczął stanowczo dmuchać w kobzę, nawet ten dźwięk nie był jednak w stanie popsuć humoru Arturowi i Fenchurch.

Artur objął dziewczynę i zaczął przesuwając dłonie w dół.

– Sądzę, że nie może to być twoja pupa – powiedział po dłuższej chwili. – Nie wygląda

mi na to, by coś w niej było nie w porządku.

– Masz rację – zgodziła się. – W mojej pupie nie ma nic złego.

Całowali się tak długo, aż stojący z drugiej strony drzewa kobziarz zdążył ponownie rozpocząć ćwiczenia.

– Opowiem ci historię – powiedział Artur.

– To cudownie.

Znaleźli kawałek trawy, usiedli i zaczęli przyglądać się rewelacyjnym kaczkom i nisko stojącemu słońcu, migoczącemu na wodzie.

– Poproszę o historię – powiedziała Fenchurch, przyciągając ramię Artura.

– Będzie o tym, co mi się ciągle wydarza. Jest całkowicie prawdziwa.

– Wiesz, czasem ludzie opowiadają historie, które podobno wydarzyły się najlepszej przyjaciółce kuzynki żony, a w rzeczywistości są od początku do końca zmyślone.

– No cóż, moja brzmi podobnie, z tym tylko że wydarzyła się naprawdę, a wiem, że wydarzyła się naprawdę, ponieważ osobą, której wydarzyła się naprawdę, jestem ja.

– To jak z tym losem na tombolę.

Artur roześmiał się.

– Tak. Musiałem koniecznie zdążyć na pociąg. Przyszedłem na dworzec...

– Opowiadałam ci już – przerwała mu Fenchurch – co zdarzyło się na dworcu moim rodzicom?

– Tak. Opowiadałaś.

– Chciałam tylko sprawdzić...

Artur popatrzył na zegarek.

– Myślę, że powoli powinniśmy zacząć myśleć o powrocie do domu.

– Najpierw historia. Przyszedłeś na dworzec.

– Przyszedłem jakieś dwadzieścia minut za wcześnie, pomyliły mi się bowiem godziny odjazdu. Uważam, że jest tak samo prawdopodobne – dodał po krótkim namyśle – że to koleje brytyjskie się pomyliły. Nigdy nigdzie nie zdarzyło mi się przyjąć za wcześnie.

– Opowiadaj dalej.

– Kupiłem więc gazetę, by rozwiązać krzyżówkę, i poszedłem do barku na kawę.

– Rozwiązujesz krzyżówki?

– Tak.

– Które?

– Zazwyczaj z „Guardiana”.

– Uważam, że zbytnio się tam silą na intelekt. Wolę te z „Timesa”. Rozwiązałeś?

– Co?

– Krzyżówkę z „Guardiana”.

– Jeszcze nie miałem okazji na nią spojrzeć. Właśnie stoję przy kontuarze i kupuję kawę.

– Świetnie. Kup kawę.

– Kupiłem. Do tego kupiłem paczkę herbatników.

– Jakich?

– „Rich Tea”.

– Dobry wybór.

– Lubię je. Tak więc obładowany świeżo nabytymi dobrami idę do stolika i siadam. Nie pytaj jednak, jak wyglądał stół, minęło bowiem od tamtego dnia nieco czasu i nie pamiętam.

Prawdopodobnie był okrągły.

– Bardzo dobrze.

– Dokładnie wyglądało to tak: siedzę przy stoliku, przy lewej ręce mam gazetę, z prawej

strony filiżankę z kawą. Na środku stolika leżą herbatniki.

– Jakbym to widziała.

– Nie widzisz jednej rzeczy, ponieważ jeszcze o niej nie wspomniałem. Nie widzisz faceta, który siedział przy stoliku, nim przyszedłem. Siedzi naprzeciwko mnie.

– Jak wygląda?

– Całkiem przeciętnie. Aktówka, ciemny garnitur. Nie wyglądał na człowieka, który mógłby zrobić coś dziwnego.

– Aha. Znam ten typ. I co zrobił?

– Pochylił się, wziął herbatniki, rozerwał opakowanie, wyjął jednego i...

– Co?

– ...i go zjadł.

– Co?!

– Zjadł go.

Fenchurch patrzyła z najwyższym zdumieniem.

– I co zrobiłeś?

– To, co zrobiłby każdy Anglik z krwi i kości. Byłem zmuszony go zignorować.

– Słucham? Dlaczego?

– To była jedna z rzeczy, na jakie człowiek nie jest przygotowany. Przekopałem dokładnie swe wnętrze i stwierdziłem, że ani moje wychowanie, ani doświadczenie życiowe, ani nawet najbardziej pierwotne instynkty nie dają najmniejszej wskazówki, co robić, jeśli ktoś ze spokojem kradnie mi na moich oczach herbatnik.

– Ale mogłeś... – Fenchurch zawahała się. – No tak, też nie mam pojęcia, co bym zrobiła. Co działo się dalej?

– Wpatrywałem się wściekły w krzyżówkę. Nie przychodziło mi do głowy żadne hasło, wypilem łyk kawy, ale ponieważ była zbyt gorąca, nie mogłem się nią zająć. Zebrałem się w sobie i – starając się z całych sił nie zauważać, że paczka została w tajemniczy sposób otwarta – wziąłem herbatnik.

– A więc zacząłeś się bronić, wybrałeś konfrontację...

– Działalem w moim zwykłym stylu, tak, masz rację. Zjadłem herbatnik. Jadłem go z rozmysłem i bardzo ostentacyjnie, by siedzący naprzeciwko mężczyzna nie miał najmniejszej wątpliwości, co robię. Kiedy jem herbatnik, nic z niego nie zostaje!

– A on co?

– Wziął następnego. Naprawdę – zapewnił Artur. – Dokładnie tak zrobił. Wziął jeszcze jeden herbatnik i zjadł go. Po prostu i zwyczajnie. Tak naturalnie jak usiedliśmy przed chwilą na trawniku.

Fenchurch powierciła się, jakby było jej bardzo niewygodnie.

– Problem polegał na tym, że nic nie powiedziałem za pierwszym razem, za drugim poruszenie tematu było jeszcze trudniejsze. Co miałem powiedzieć? „Hm, przepraszam pana... niestety nie jestem w stanie zignorować faktu, że...” To bez sensu. Tak więc, zignorowałem sprawę jeszcze dobitniej niż za pierwszym razem.

– O rany...

– Zacząłem się znów wpatrywać w krzyżówkę, w dalszym ciągu nie byłem w stanie odgadnąć ani jednego hasła, więc zachowałem się trochę jak Henryk V w dniu świętego Kryspina...

– To znaczy?

– Skoczyłem na głębokie wody. Wziąłem jeszcze jeden herbatnik. Krzyżowaliśmy przez sekundę wzrok.

– Mniej więcej tak?

– Tak, to znaczy, nie, nie do końca. Fakt jednak, że nasze spojrzenia się spotkały. Na sekundę. Potem spojrzeliśmy w różnych kierunkach, mogę jednak zapewnić, że powietrze było naładowane elektrycznością, jakby nad stołem powstał łuk elektryczny.

– Wyobrażam sobie.

– W ten sposób opróżniliśmy całą paczkę. On, ja, on, ja...

– Całą paczkę?

– Cóż, było w niej tylko osiem herbatników, choć miałem wrażenie, jakbyśmy całe życie przebijali się przez herbatniki. Gladiatorzy nie mogli czuć się gorzej.

– Gladiatorzy – wtrąciła Fenchurch – musieliby to robić na powietrzu. To bardziej męczące.

– Możliwe. W każdym razie kiedy leżące między nami opakowanie było już puste, mężczyzna, który zaprezentował się z tak złej strony, wstał i poszedł sobie. Oczywiście odetchnąłem z ulgą. Traf chciał, że kilka chwil później ogłoszono przyjazd mojego pociągu, wypilem więc kawę, wstałem, wziąłem gazetę, a pod nią...

– Tak?

– Leżały moje herbatniki.

– Co? – spytała Fenchurch. – Słucham?!

– Naprawdę.

– Nie! – zaczęła gwałtownie łapać powietrze i śmiejąc się, opadła plecami na trawę. Po chwili znów usiadła. – Ty kompletnie stuknięty facecie! – dyszała ze śmiechu. – Kompletny i całkowity wariacie! – Pchnęła Artura, aż upadł na plecy, wtoczyła się na niego, pocałowała go, sturlała się na ziemię. Artur zdziwił się, jaka jest lekka.

– Teraz ty coś opowiedz – poprosił.

– Myślałam, że śpieszy ci się do domu... – Powiedziała to cichym, lekko ochrypłym głosem.

– Nie śpieszy mi się – odparł. – Chcę, żebyś opowiedziała mi jakąś historyjkę.

Fenchurch zadumana zapatrzyła się w lustro wody.

– Jak chcesz – odparła. – Jest bardzo krótka i nie tak śmieszna jak twoja, ale... wszystko jedno. – Wbiła wzrok w ziemię.

Artur czuł, że nadszedł magiczny moment. Powietrze wokół znieruchomiało i zdawało się czekać. Artur wołałby, by powietrze sobie poszło i zajęło się własnymi sprawami.

– Kiedy byłam dzieckiem... – zaczęła Fenchurch – takie historie zawsze zaczynają się od „Kiedy byłam dzieckiem...”, co? No cóż, nieważne. Są momenty, kiedy dziewczyna mówi „Kiedy byłam dzieckiem” i zaczyna otwierać swą duszę, i chyba właśnie taki teraz nadszedł.

Kiedy byłam dzieckiem, nad moim łóżkiem wisiał obraz... Jak ci się podoba początek?

– Podoba mi się. Uważam, że historia dobrze się zaczyna. Z wielkim wyczuciem wprowadzasz aspekt sypialni. Może przydałoby się jeszcze kilka szczegółów o obrazie nad łóżkiem.

– Był to jeden z tych obrazów, jakie podobno podobają się dzieciom, choć to nieprawda. Pełno na czymś takim kochanych zwierzątek robiących mnóstwo kochanych rzeczy. Rozumiesz, o czym mówię?

– Rozumiem. Mnie też czymś takim męczono. Króliki w kamizelkach.

– Dokładnie. Króliki siedziały na tratwie, razem ze szczurami i sowami. Może nawet był wśród nich renifer.

– Na tratwie.

– Na tratwie. Siedział tam też chłopiec.

– Między królikami w kamizelkach, sowami i reniferem.

– Tak jest. Chłopiec o wyglądzie zawadiackiego Cygana.

– Ojej...

– Muszę przyznać, że obraz mnie przerażał. Przed tratwą płynęła wydra i kiedy leżałam wieczorem próbując zasnąć, złościłam się, że wydra musi ciągnąć tratwę, na której siedzą idiotyczne zwierzęta, które nie wiadomo, co tam robią, a ogon, na którym ją ciągnie, jest tak cienki, że musi ją cały czas boleć. Złościło mnie to. Niezbyt, ale bez przerwy. Pewnego dnia – a oglądałam obraz co dzień przez kilka lat – zauważyłam, że tratwa ma żagiel. Nigdy go przedtem nie widziałam. Wydra miała się więc świetnie, po prostu sobie pływała. – Fenchurch wzruszyła ramionami. – Dobra historia?

– Kończy się dość mdło – odparł Artur. – Może spowodować, że słuchacze zaczną krzyczeć: „I co dalej?”. W sumie dobra, trzeba jednak dodać jej przed napisami końcowymi nieco ognia.

Fenchurch roześmiała się i podciągnęła pod siebie nogi.

– Odkrycie było nagłe, lata prawie niepostrzeżonego zmartwienia opadły ze mnie w ułamku sekundy jak wyparowujące w nicość ciężary, czern i biel zrobiły się naraz kolorowe, czułam się jak usychająca roślina, którą nagle podlano. Zmieniła się cała moja perspektywa życiowa, coś powiedziało mi: „Odrzuć lęk, świat jest dobry i doskonały. życie jest bardzo proste”. Może sądzisz, że zaraz powiem, że to samo poczułam dziś po południu, co?

– No wiesz... – wymamrotał Artur, którego spokój nagle się ulotnił.

– Dziś też czułam coś podobnego, ale nie był to pierwszy raz. Pierwszy raz był właśnie wtedy, w dodatku odczucie było znacznie silniejsze niż dziś. Niesamowicie silne. Myślę, że jestem osobą... – powiedziała zapatrzona w daleki punkt – że jestem osobą dokonującą nagłych i zaskakujących odkryć...

Artur był bezradny i nie mógł wymówić słowa, uznał więc, że najmądrzej będzie nie próbować.

– Było to naprawdę bardzo dziwne... – Fenchurch powiedziała to tak jak mógłby powiedzieć należący do pościgu Egipcjanin, który uznał, że było „coś dziwnego” w reakcji Morza Czerwonego na machnięcie przez Mojżesza laską. – Bardzo dziwne. Już wiele dni przedtem czułam się bardzo dziwnie – jakbym miała urodzić. Nie, właściwie to nie – raczej, jakbym była po kawałku w coś włączana. Nie, też nie – było tak, jakby cała Ziemia zaczęła przeze mnie...

– Czy mówi ci coś liczba czterdzieści dwa? – spytał Artur łagodnie.

– Co?

– To tylko taki luźny pomysł – mruknął Artur.

– Arturze, ja nie żartuję. To było niezwykle realne i nie żartuję.

– Ja też nie żartowałam – odparł Artur. – Mam niejasne podejrzenie, że to wszechświat żartuje.

– Co chcesz powiedzieć?

– Najpierw opowiedz do końca. Nie przejmuj się, że twoja opowieść brzmi dziwnie. Rozmawiasz z człowiekiem, który widział masę dziwnych rzeczy. Nie mam na myśli herbatników.

Skinęła głową. Zdawała się wierzyć. Nagle złapała go z całej siły za rękę.

– To było takie proste. Cudowne i niezwykle proste.

– Co? – Artur był uosobieniem spokoju.

– Nie pamiętam, rozumiesz? Wiem tylko, że strata jest ogromna. Kiedy próbuję przypomnieć sobie, o co chodzi, wszystko wokół zaczyna migotać i zamazuje się, a jeśli próbuję

jeszcze mocniej, świat zawęży się do filiżanki herbaty i wokół zapada ciemność.

– Co?

– Tak jak w twojej historii, moja przygoda wydarzyła się w kawiarni. Siedziałam i piłam herbatę. Było to w okresie, kiedy zdawało mi się, że od wielu dni jestem włączona w coś ważnego. Siedziałam więc i nuciłam wesoło pod nosem. Na budowie po drugiej stronie ulicy coś robiono, ja zaś siedziałam i patrzyłam znad filiżanki, co jest moim zdaniem najprzyjemniejszym sposobem obserwacji ludzi przy pracy. Nagle uświadomiłam sobie, że odbieram z daleka przesłanie. Było takie proste! Dzięki niemu wszystko nabierało sensu!

Gwałtownie się więc wyprostowałam i pomyślałam: „Ojej... A więc wszystko jest w porządku...”. Byłam tak zaskoczona, że o mało nie wypuściłam z ręki filiżanki, nie, chyba naprawdę ją wypuściłam. Na pewno... – dodała zamyślona – jestem całkowicie pewna, że ją wypuściłam. Czy to się trzyma kupy?

– W zupełności, z wyjątkiem fragmentu z filiżanką.

Fenchurch pokręciła głową, potem nią potrząsnęła, jakby próbowała uporządkować myśli. Rzeczywiście próbowała uporządkować myśli.

– O to chodzi – potwierdziła. – Wszystko gra z wyjątkiem fragmentu z filiżanką. Właśnie wtedy nastąpił moment, w którym zdawało mi się, że świat wybucha.

– Słucham...?

– Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, wszyscy twierdzą, że to halucynacje, jeśli jednak to były halucynacje, to przeżywałam je w trójwymiarowej panoramie i z szesnastokanałowym dolbystereo i powinnam zatrudnić się do pisania scenariuszy dla ludzi, których nudzą tradycyjne filmy katastroficzne. Miałam wrażenie, że ziemia ucieka mi spod nóg i... i... – Klepnęła ręką w trawę, jakby chciała się o czymś upewnić. Artur odniósł wrażenie, że w ostatniej chwili zmieniła treść tego, co chciała powiedzieć. – ...i obudziłam się w szpitalu. Od tego czasu jestem albo w szpitalu, albo na chwilę na zewnątrz. Dlatego czuję podskórnie strach przed rewelacjami, że wszystko będzie dobrze. – Podniosła głowę i spojrzała Arturowi w oczy.

Artur już dawno przestał rozmyślać nad anomaliami, jakie wywołał jego powrót na rodzinną planetę, choć dokładnie należałoby powiedzieć, że zamknął zastanawianie się nad tym do przegródki z napisem: DO PRZEMYŚLENIA – PILNE!

„To Ziemia – myślał. – Nieważne, dlaczego, ale to jest Ziemia i tu pozostanie. Ze mną na powierzchni”. Teraz jednak kontury wokół zdawały się rozplýwać tak samo, jak wtedy gdy brat Fenchurch opowiadał zwariowaną historię o agencji CIA w sztucznym jeziorze. Zaczęła się rozplýwać francuska ambasada. Zaczęły się rozplýwać drzewa. Zaczęły się rozplýwać odbicia drzew w stawie, choć akurat to nie powinno niepokoić, właśnie lądowała bowiem na nim gęś. Gęsi spokojnie się zabawiały i nie miały bardzo ważnych odpowiedzi, do których brakowało pytań.

– W każdym razie – Fenchurch powiedziała to z niespodziewaną wesołością i rozszerzonymi z radości oczami – coś jest nie w porządku z którąś z moich części i musisz odkryć, z którą. Chodźmy do domu.

Artur pokręcił głową.

– Co się stało? – spytała Fenchurch.

Artur nie kręcił głową, by odrzucić propozycję, którą uważał za znakomitą, za jedną z najwspanialszych propozycji na świecie, lecz dlatego że właśnie próbował uwolnić się spod nawracającego czasami wrażenia, że zawsze, kiedy najmniej się tego spodziewa, wszechświat wyskakuje zza węgła, krzycząc na niego: „Mam cię!”.

– Właśnie próbuję coś ustalić – odparł. – Powiedziałaś, że miałaś wrażenie, jakby Ziemia... wybuchała...

– Tak powiedziałam. To nie było jedynie wrażenie.
– Co oznacza... że to... co... twierdzą wszyscy... to halucynacje...
– Może, ale to bez sensu. Ludzie sądzą, że jak powiedzą „halucynacje”, to wszystko, co chcieliby wyjaśnić, staje się jasne, a reszta, której nie da się zrozumieć, znika, ale to tylko słowo i niczego nie wyjaśnia. Nie wyjaśnia na przykład, dlaczego zniknęły delfiny.

– Nie – powiedział Artur. – Oczywiście, że nie... – dodał w zamyśleniu. – W najmniejszym stopniu... – potwierdził jeszcze bardziej zamyślony. – Co?!

– Nie wyjaśnia zniknięcia delfinów.

– O jakich delfinach mówisz?

– Jak to, o jakich? Mówię o zniknięciu wszystkich delfinów.

Położyła Arturowi rękę na kolanie, dzięki czemu zrozumiał, że ciarki, które przechodziły mu po plecach, nie brały się stąd, że gładziła go Fenchurch, lecz z przerażenia, opanowującego go często, kiedy próbowano objawić mu jakąś ważną prawdę.

– Delfiny... zniknęły?

– Tak jest.

– Wszystkie delfiny... zniknęły?

– Tak.

– Delfiny? Powiedziałaś, że zniknęły wszystkie delfiny? Czy to właśnie – Artur wołał uniknąć nieudomówień – chciałaś powiedzieć?

– Artur, gdzie ty, na nieba, byłeś? Delfiny zniknęły tego samego dnia, kiedy ja... – Z napięciem wpatrywała się w jego przerażone oczy.

– Co?

– Nie ma delfinów. Poszły sobie. Zniknęły.

Po jego przerażonej minie widać było wyraźnie, że nie miał o tym pojęcia.

– Dokąd sobie poszły? – spytał.

– Nikt tego nie wie. To właśnie oznacza „zniknąć”. – Zawahała się. – No, jest pewien człowiek, który twierdzi, że wie, ale mówi się, że mieszka w Kalifornii... i jest niespełna rozumu. Kiedyś się zastanawiałam, czy do niego nie pojechać, ponieważ jest jedynym, który mógłby dać mi wskazówkę, co się ze mną stało. – Wzruszyła ramionami. Znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w Artura. Po dłuższej chwili położyła mu dłoń na policzku. – Bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie byłeś. Chyba działo się z tobą coś okropnego. Dlatego się przyciągnęliśmy. – Rozejrzała się wokół. Park powoli wpadał w objęcia zmroku. – Teraz masz kogoś, komu możesz o tym opowiedzieć.

Artur wypuścił powietrze w długim, blokowanym przez lata westchnieniu.

– To bardzo długa historia...

Fenchurch sięgnęła nad nim i przyciągnęła do siebie torebkę.

– Czy ma związek z tym? – spytała.

Przedmiot, który wyjęła z torebki, był poobijany i podrapany, ponieważ wrzucano go do prehistorycznych rzek, paliło go słońce rozpalające czerwienią pustynie Kakrafoonu, zakopywano go do połowy w marmurowym piasku plaż, otaczających odurzająco parujące morza na Santragusie Pięć, był mrożony w lodowcu księżycy Jaglan Beta; siadano na nim, w licznych statkach kosmicznych kopano go jak piłkę, drapano nim jak pilnikiem i generalnie używano niezgodnie z przeznaczeniem. Na szczęście producenci przedmiotu pomyśleli sobie, że właśnie to może mu się przydarzyć, i zapakowali go dla ochrony w solidny plastikowy futerał, na którym wielkimi, przyjaznymi literami napisano: NIE PANIKUJ.

– Skąd to masz? – Artur z największym zdumieniem wyjął przewodnik z rąk Fenchurch.

– No tak. Od razu pomyślałam, że to twoje. Znalazłam to tamtego wieczora w

samochodzie Russella. Musiało ci wypaść. Byłeś w wielu opisanych tu miejscach?

Artur wyjął Autostopem z futerału – przewodnik wyglądał jak cienki kalkulator z dużym rozkładanym ekranem. Nacisnął kilka klawiszy i na ekranie zajaśniał tekst.

– W paru.

– Możemy tam polecieć?

– Co? Nie – odparł Artur opryskliwie, natychmiast jednak złagodniał, choć pozostał ostrożny. – A chciałabyś? – zapytał z nadzieją, że usłyszy w odpowiedzi „Nie”. Było z jego strony aktem wielce wspaniałomyślnym, że nie powiedział: „Chyba nie masz zamiaru?”.

– Chciałabym. Chciałabym się dowiedzieć, jak brzmiało przesłanie, które zapomniałam, i skąd nadeszło. Wątpię bowiem – dodała wstając i rozglądając się po mrocznym parku – żeby pochodziło z Ziemi. Nie jestem nawet pewna – dorzuciła obejmując Artura wpół – że znajdujemy się na Ziemi.

Rozdział 21

Autostopem przez Galaktykę jest – jak często słusznie zauważano – dość zadziwiająca publikacją. Jak zakłada tytuł, jest przewodnikiem. Problem – a raczej jeden z problemów, ponieważ jest ich wiele, który permanentnie absorbuje sądy cywilne, handlowe i kryminalne wszystkich regionów Galaktyki, szczególnie co bardziej skorumpowanych – jest następujący.

Powyższe zdanie skonstruowano logicznie, proszę przeczytać je jeszcze raz i da się wtedy zrozumieć. Problemem nie jest więc zdanie.

Problemem jest: ZMIANA.

Galaktyka zmienia się bardzo szybko. Mówiąc otwarcie, jest w niej mnóstwo rzeczy, których każda cząstka znajduje się w stałym ruchu i nieustająco się zmienia.

Moglibyście pomyśleć, że dla skrupulatnego i sumiennego wydawcy, starającego się uwzględnić w swym nieprawdopodobnie szczegółowym i kompleksowym tomisku najnowsze dane i fakty dotyczące Galaktyki, które zmieniają się w każdej minucie każdej godziny, każdego dnia, to koszmar. Nic błędniejszego. Wasz błąd polega na tym, że nie wzięliście pod uwagę, iż redaktor naczelny – tak samo jak wszyscy dotychczasowi – niezbyt rozumie znaczenie słów „skrupulatność”, „sumienność” czy „pilność”, a spędzających sen z oczu problemów woli szukać w drinkach.

Artykuły aktualizuje się, wykorzystując sieć nadajników pracujących na falach subeta.

Albo i nie, co zależy od tego, czy teksty „dobrze się czytają”.

Weźmy na przykład przypadek planety Brequinda z Foth w Avalars, sławnej z sagi i rozpaczliwie głupiego trójwymiarowego miniseriale telewizyjnego, jako ojczyzny wspaniałego i demonicznego fuolornijskiego ognistego smoka.

W zamierzchłych czasach, na długo przed przybyciem Sorthy z Bragadox, kiedy śpiewała Fragilis, a rządził Saxaquine z Quenelwe, kiedy powietrze było łagodne a noce wonne, a mimo to wszystkim udawało się jako tako (przynajmniej tak twierdzili, choć jest tajemnicą, jak mogli sądzić, że przy tak łagodnym powietrzu i wonnych nocach ktokolwiek będzie na tyle naiwny, by uwierzyć w tak idiotyczne twierdzenie) utrzymać dziewictwo, na Brequindzie z Foth w Avalars nie można było rzucić cegłą, nie trafiając przynajmniej pięciu fuolornijskich smoków ognistych.

Inną sprawą jest, czy miało się ochotę je trafić.

Nie można powiedzieć, by ogniste smoki nie były miłującymi pokój zwierzakami, bo były. Kochały pokój szalenie i właśnie to okazywało się często problemem: zazwyczaj rani się tych, których najbardziej się kocha, zwłaszcza jeśli się jest fuolornijskim smokiem ognistym o

oddechu jak napęd rakietowy i z kłami jak stalowe sztachety. Kolejnym problemem było to, że gdy smoki się rozochociły, raniły masę istot kochanych przez kogoś zupełnie innego. Dodajmy do tego garstkę wariatów, którzy biegali po okolicy i rzucali bez celu cegłami, a okaże się, że liczba ludzi ciężko ranionych przez smoki na Brequindzie z Foth w Avalars była naprawdę olbrzymia.

Czy smoki przejmowały się tym? W najmniejszym stopniu.

Czy skarżyły się na swój los? Nie.

Fuolornijskie smoki ogniste były czczone na Brequindzie z Foth w Avalars ze względu na swe nieokiełznane piękno, szlachetność i nawyk gryzienia ludzi, którzy ich nie czcili.

Dlaczego tak je czczono?

Odpowiedź jest prosta: DECYDOWAŁO PODŁOŻE SEKSUALNE.

Z zupełnie niewyjaśnionych powodów jest coś nieznośnie erotycznego w oglądaniu lecących tuż nad ziemią olbrzymich, plujących ogniem smoków, zwłaszcza jeśli jest noc, świeci księżyc, a atmosfera jest już wystarczająco niebezpieczna ze względu na swą łagodność i wonność.

Owładnięta romantyzmem ludność Brequindy z Foth w Avalars nie byłaby w stanie wyjaśnić, dlaczego tak się działo, choć efekt był jednoznaczny i widoczny gołym okiem.

Wystarczyło bowiem, by zza wieczornego horyzontu nadleciało kilka fuolornijskich smoków ognistych, pomachało jedwabistymi skrzydłami i poruszyło skórzastymi cielskami, a połowa ludności Brequindy gnała z drugą połową do lasu, by spędzić tam upojną zdyszana noc.

Wychodzili z lasu wraz z pierwszymi promieniami słońca z tajemniczymi uśmieszkami na ustach i wyrazem szczęścia na twarzach, twierdząc wdzięcznie, że są w dalszym ciągu dziewicami, choć widać było, że dość rozgrzani i zaczerwienieni na twarzach.

Odpowiedź niektórych badaczy brzmiała: feromony. Inni twierdzili, że chodzi o zjawiska akustyczne. Planetą bez ustanku zapelniali naukowcy, próbujący zgłębić problem, a prowadzili badania bardzo dokładnie i bardzo powoli.

Nie powinno zaskakiwać, że tak obrazowy i ekscytujący opis sytuacji na planecie okazał się niezwykle atrakcyjny dla korzystających z przewoźnika autostopowiczów i nie został nigdy poprawiony. Tak więc współczesnym autostopowiczom pozostaje osobiste stwierdzenie, że znajdująca się w konfederacji miast Avalars Brequinda to dziś prawie wyłącznie beton, lokale ze stripteasem i bary ze smokoburgerami.

Rozdział 22

Noc w Islington była łagodna i wonna.

W ulicze nie latały oczywiście fuolornijskie smoki ogniste, gdyby jednak jakiś przypadkiem nadleciał, mógłby natychmiast iść na pizzę, ponieważ nikt go nie potrzebował.

– Nie – powiedziała Fenchurch. – Jeszcze nie.

Artur puścił płytę „Dire Straits”. Fenchurch uchyliła górne drzwi, by do środka wleciało nieco więcej łagodnego, wonnego wieczornego powietrza. Siedzieli na pufach, bardzo blisko butelki z szampanem.

– Nie – powtórzyła Fenchurch. – Nie, dopóki nie odkryjesz, co jest ze mną nie w porządku, która część się popsowała. Sądzę jednak – dodała łagodnie, bardzo łagodnie – że możemy zacząć badanie od miejsca, na którym trzymasz rękę.

– W którym kierunku ją przesunąć?

– W tym wypadku... do dołu.

Artur przesunął dłoń.

– Do dołu – przerwała – to w drugą stronę.

– Aha.

Jest czymś niezwykłym, jak Mark Knopfler z zespołu „Dire Straits” gra na Shecter Custom Stratocasterze. Potrafi wydobyć z tej gitary tak zawodzące i śpiewne tony, jakie umieliby wydać z siebie chyba tylko aniołowie w sobotni wieczór, zmęczeni całym tygodniem dobroci i mający ochotę na duże piwo. Wspominanie o wspaniałej technice Marka Knopflera akurat w tym momencie nie ma sensu, płyta nie dotarła jeszcze bowiem do odpowiedniego miejsca, ale kiedy dotrze, wydarzy się wiele innych rzeczy; poza tym kronikarz nie ma zamiaru siedzieć ze spisem tytułów i stoperem, najlepiej chyba więc będzie wspomnieć o sprawie teraz, kiedy panuje względny spokój.

– W ten sposób dochodzimy do kolana – stwierdził Artur. – Coś jest w tragiczny sposób nie w porządku z twoim lewym kolaniem.

– Moje lewe kolano jest w najzupełniejszym porządku.

– Zgadza się.

– Wiedziałeś, że...

– Co?

– Hm, czuję, że wiesz. Nic, szukaj dalej.

– A więc ma to jakiś związek ze stopami...

Uśmiechnęła się i bez słowa wtuliła ramiona w poduszkę.

We wszechświecie, dokładnie biorąc, na Squornshellous Beta, dwie planety za planetą materacowych bagien, istnieją poduszki uwielbiające wtulanie się w nie, zwłaszcza bez słowa (to zaś z powodu następującego przy tym synkopowanego ruchu barków), szkoda więc, że ich tu nie było. Nie było tu ani jednej poduszki stamtąd, ale cóż, takie jest życie.

Artur trzymał lewą stopę Fenchurch na kolanach i dokładnie ją oglądał. Sposób, w jaki sukienka odsłaniała nogi dziewczyny, dość znacznie utrudniał mu jasne myślenie.

– Muszę przyznać – powiedział – że nie wiem, czego szukam.

– Jak znajdziesz, będziesz wiedział, że znalazłeś. Naprawdę. – W jej głosie zabrzmiało wahanie. – Ale to jeszcze nie to.

Artur, któremu zachowanie Fenchurch wydawało się coraz bardziej tajemnicze, opuścił jej lewą stopę na ziemię i odwrócił się, by chwycić prawą. Dziewczyna przysunęła się do niego, objęła ramionami i pocałowała, z płyty słychać było bowiem utwór, przy którym – gdybyście ją znali, wiedzielibyście o tym – nie można inaczej.

Potem wyciągnęła ku niemu prawą stopę. Zaczął ją głaskać.

Przejechał palcami wokół kostki, pod palcami, po wierzchu stopy, nie widział jednak najmniejszej nieprawidłowości.

Patrzyła rozbawiona, roześmiała się i pokręciła głową.

– Nie, nie przerywaj, ale teraz to też nie to.

Artur zamarł na chwilę i spojrzał ponuro na stojącą na ziemi lewą stopę.

– Nie przerywaj – powtórzyła.

Głaskał dalej prawą stopę dziewczyny, przejechał palcami wokół kostki, pod palcami, po wierzchu stopy i zapytał: – Chcesz powiedzieć, że to zależy od tego, którą stopę akurat trzymam w ręku?

Fenchurch wzruszyła kolejny raz ramionami. Sposób, w jaki to zrobiła, wniósłby w życie poduszki ze Squornshellous Beta masę radości.

Artur zmarszczył czoło.

– Podnieś mnie – poprosiła.

Artur postawił jej stopę na podłodze i wstał. Ona też wstała.
Podniósł ją i znów się pocałowali. Trwało to dłuższą chwilę, po której zażyczyła sobie: –
Postaw mnie na ziemi.
Artur zrobił, co mu kazała, ciągle jeszcze nie wiedząc, co się dzieje.
– No i? – Patrzyła na niego oczekująco. – Co jest nie w porządku z moimi stopami?
Artur dalej niczego nie pojmował. Usiadł na podłodze, potem oparł się na rękach i
kolanach, by móc przestudiować stopy dziewczyny in situ, w maksymalnie naturalnej pozycji.
Po bliższym przyjrzeniu się zwrócił uwagę na coś dziwnego. Przyłożył głowę do podłogi
i dalej się przyglądał. Zapadła znacząca cisza.
Usiadł bardzo powoli.
– Cóż... teraz widzę, co jest nie tak z twoimi stopami. Nie dotykają ziemi.
– No i... i co o tym sądzisz?
Artur rzucił szybkie spojrzenie w górę i zauważył, że oczy Fenchurch zasnuwa smutek.
Zagryzała wargę i drżała na całym ciele.
– Ccco tteraz... – wyjąkała. – Czczczy mmmnie...? – Potrząsnęła głową, by zakryć twarz
włosami. Jej oczy zaczęły wypełniać ciemne, napęczniałe strachem łzy.
Artur wstał szybkim ruchem, objął dziewczynę i pocałował.
– Może umiesz to, co i ja – rzekł wychodząc przez znajdujące się trzy metry nad ziemią
drzwi.
Płyta dotarła do wspomnianego niezwykłego utworu.

Rozdział 23

Bitwa wokół planety Ksaxis szalała. Setki rozwścieczonych i przerażająco groźnie
uzbrojonych statków kosmicznych z Zirzla zostało zmiażdżonych i rozniesionych na atomy przez
niszczycielskie energie, które wystrzeliwał olbrzymi srebrny ksaksyjski pancernik.

Zniknęła też część księżycy, odstrzelona salwą z armat, miotających moce zdolne
rozerwać nawet strukturę przestrzeni.

Niedobitki statków z Zirzla, choć uzbrojone przerażająco groźnie, były obecnie wydane
na pastwę niszczycielskiej energii pancernika z Ksaxis. Właśnie szukały schronienia za
rozpadającym się gwałtownie księżycem, kiedy ścigający je statek nagle zaprzestał ataku.

Oświadczył, że potrzebuje odpoczynku i opuszcza pole bitwy.

Na chwilę lęk i przerażenie nasiliły się, ale pancernik rzeczywiście zniknął.

Wykorzystując swą niesamowitą moc, pomknął przez rozległe przestrzenie zupełnie
bezsensownie ukształtowanych fragmentów kosmosu, a robił to szybko, pozornie bez wysiłku i –
przede wszystkim – cicho.

Gdzieś w głębi brudnej, śmierdzącej koi, urządzonej w luku inspekcyjnym, między
ręcznikami spał Ford Prefect, śniąc o swych ulubionych miejscach. W pewnym momencie zaczął
śnić o Nowym Jorku. Spacerował późną nocą po East Side.

Szedł wzdłuż rzeki, obecnie tak niesamowicie zanieczyszczonej, że samoistnie
powstawały w niej nowe formy życia, natychmiast żądając zasiłku i prawa wyborczego. Jedna z
istot właśnie przepływała, machając do Forda. Odmachał jej. Istota podpłynęła do brzegu i
zaczęła się wspinać po zwisających do wody gałęziach krzewów.

– Cześć! – zaczęła. – Właśnie powstałam. Jestem pod każdym względem czymś nowym
we wszechświecie. Wiesz o czymś, co warto wiedzieć?

– Puh – odparł nieco zdziwiony Ford. – Mogę ci powiedzieć, gdzie są ciekawe knajpy.

– A co sądzisz o miłości i szczęściu? Czuję głęboką potrzebę przeżycia czegoś z tego zakresu – oświadczyła istota, kiwając czułkami. – Możesz mi coś poradzić?

– W pewnym stopniu możesz zaspokoić swe potrzeby na Siódmej Alei.

– Czuję instynktownie – ciągnęła obrzydliwa istota – że jestem przepiękna. Mam rację?

– Lubisz być dość bezpośrednia, co?

– Nie owijaj w bawełnę. Jestem przepiękna? – Istota mlaskając i bulgocząc, zdążyła już zasmarować okolice śluzową mazią. Śpiący niedaleko włączyła aż podniósł głowę.

– Jak na mój gust, to nie – odparł Ford. – Wcale, ale wiesz... – dodał po chwili – większość ludzi zachowuje się, jakby byli ładni. Jest was takich więcej tam w głębi?

– Nie mam pojęcia, kolego. Jak już mówiłam, jestem nowa. Śycie to dla mnie prawdziwa niewiadoma. Jakie ono jest?

Ford uważał się za autorytet w tej dziedzinie.

– śycie... jest jak grejpfrut.

– Hm. Dlaczego?

– Na zewnątrz jest pomarańczowe i lekko pomarszczone, w środku mokre i śliskie. Poza tym ma w środku pestki. No i niektórzy ludzie zjadają połowę na śniadanie.

– Jest tu jeszcze ktoś, z kim mogłabym porozmawiać?

– Na pewno. Poproś o pomoc policjanta.

Ford Prefect zaczął się rzucać, ale w końcu znieruchomiał.

Podobne sny nie należały do jego ulubionych przede wszystkim dlatego, że nie pojawiała się w nich Ekscentryca Gallumbits, trzypiersiasta nierządnicą z Erotikonu Sześć, odgrywająca w wielu jego snach główną rolę. Przynajmniej jednak śnił.

Przynajmniej spał.

Rozdział 24

Na szczęście w uliczce dął silny wiatr wznoszący, Artur bowiem już dawno nie latał – przynajmniej z rozmysłem, co jest najgorszym wrogiem latania. Na początek poleciał z hukiem w dół, o mało nie rozciął sobie paskudnie brody o próg drzwi i pokoziołkował w powietrzu zdziwiony tak niepomierne, że mógł zrobić podobne głupstwo, aż kompletnie zapomniał uderzyć w ziemię. W rezultacie nie uderzył w nią.

„Nieźła sztuczka – pomyślał – jeśli się ją zna”.

Ziemia wisiała mu groźnie nad głową.

Próbował nie myśleć o ziemi, o jej ogromie i bólu, jeśli niespodziewanie na niego spadnie. Zamiast tego próbował pomyśleć coś miłego o lemurach. Był to bardzo dobry wybór, ponieważ nie za bardzo umiał sobie przypomnieć, czym właściwie jest lemur – gna skądś i pędzi przez równiny w wielkich, majestatycznych stadach, czy robi to gnu? – w każdym razie miłe myślenie o lemurach bez popadania w ogólne sentymenty wobec świata było bardzo sprytne, ponieważ zaabsorbowało umysł Artura, dając ciału czas na zajęcie stanowiska wobec faktu, że wisi w powietrzu.

Wiatr przywiał skądś puste opakowanie po czekoladowym batonie.

Po chwili wahania opakowanie pozwoliło wiatrowi unieść się i zawisnąć między ziemią a Arturem.

– Arturze...

Ziemia w dalszym ciągu wisiała mu groźnie nad głową i uznał, że najwyższy czas coś w tym zmienić. Na przykład nieco opaść. Zrobił, jak postanowił. Powoli, bardzo powoli.

Opadając milimetr za milimetrem, zamknął oczy, choć bardzo ostrożnie, by w nic nie uderzyć.

Ruch zamykania oczu przeniósł się na całe ciało. Kiedy sygnał dotarł do czubków palców u nóg i ciało zostało poinformowane, że oczy są zamknięte, a jego właściciel nie wpadł w panikę, Artur powoli, niezwykle powoli obrócił swą cielesną powłokę w jedną stronę, a umysł w drugą.

Powinno to doprowadzić do zniknięcia wiszącej mu nad głową ziemi.

Czuł teraz nad sobą jedynie powietrze, podmuchujące wokół dość żwawo i nie zwracające na niego zbyt wiele uwagi. Powoli, bardzo powoli, jakby budząc się z głębokiego snu, otworzył oczy. Oczywiście, kiedyś już latał, latał wielokrotnie na planecie Krikkit, póki nie miał dość ptasiej paplaniny, ale tym razem było zupełnie inaczej. Teraz był na rodzimej planecie i – pomijając lekkie, wywołane różnymi czynnikami drżenie – wisiał spokojnie i zwyczajnie w powietrzu.

Trzy, może cztery metry pod nim był twardy asfalt, kawałek w prawo żółte latarnie Upper Street. Na szczęście w zaułku panowała ciemność, albowiem mającą ją rozpraszać latarnię podłączono do pomysłowego urządzenia, które powodowało, że zapalała się tuż przed południem i gasła, kiedy nadchodził wieczór. Dzięki temu Artur był znakomicie ukryty w czarnym całunie mroku. Powoli, bardzo powoli uniósł głowę ku Fenchurch, której sylwetka odcinała się wyraźnie od oświetlonego prostokąta drzwi. Stała w milczącym zachwycie, nie była w stanie nawet oddychać.

Ich twarze dzieliły od siebie centymetry.

– Właśnie chciałam zapytać, co robisz – powiedziała drżącym głosem – ale widzę.

Latasz. Dlatego pytanie wydało mi się głupie...

– Też to umiesz?

– Nie.

– A chcesz spróbować?

Zagryzła wargę i pokręciła głową. Mniej po to, by zaprzeczyć, raczej z oszołomienia.

Drżała jak osika.

– Latanie jest dość proste – naciskał Artur. – Zwłaszcza jeśli nie wiesz, jak lecieć.

Niewiedza jest podstawą. Nie wolno wiedzieć, jak latać. – Dla demonstracji poszybował zaułkiem, wzleciał dość dramatycznie i spłynął do Fenchurch, bujając się na boki jak opadający banknot. – Spytaj, jak to zrobiłem.

– Jak... jak to zrobiłeś?

– Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia.

Oszołomiona wzruszyła ramionami.

– W takim razie jak mam...?

Artur nieco opadł i wyciągnął rękę.

– Spróbuj stanąć mi na dłoni. Jedną stopą.

– Co?

– Spróbuj.

Ostrożnie, ze strachem, próbując poruszać się tak, jakby zamierzała stanąć na dłoni komuś, kto unosi się przed nią w powietrzu, Fenchurch stanęła Arturowi na dłoni.

– Teraz druga stopa.

– Co?

– Przenieś ciężar ciała do przodu.

– Nie mogę.

– Spróbuj.

– Tak?

– Tak, świetnie.

Ostrożnie, ze strachem, prawie tak, jakby... Zabroniła sobie próbować poruszać się tak, jak jej się zdawało, że powinna, ponieważ miała wrażenie, że nie chce przyjąć do wiadomości tego, co się dzieje.

Wbiła wzrok w rynnę na dachu stojącego po drugiej stronie ulicy rozpadającego się magazynu, która razila ją od tygodni, bo najwyraźniej zamierzała odpaść. Fenchurch ciekawiło, czy ktoś zamierza coś zrobić z rynną... może należy komuś o niej powiedzieć?

Dzięki temu przestała myśleć o tym, że stoi na dłoni nie stojącego na niczym Artura.

– Teraz – mówił Artur – podnieś lewą stopę.

Przechodziło jej właśnie przez głowę, że magazyn jest własnością firmy handlującej dywanami, której biuro jest tuż za rogiem – odciążyła lewą stopę – mogłaby więc tam pójść i porozmawiać o rynnie.

– Teraz podnieś prawą stopę.

– Nie mogę.

– Spróbuj.

Jeszcze nigdy nie widziała rynny z tej perspektywy. Wydało jej się, że śmieci i pierze u jej szczytu mogą być ptasim gniazdem. Jeśli pochyli się lekko do przodu i nieco podniesie prawą stopę, będzie mogła to sprawdzić.

Artur widział z przerażeniem, że ktoś próbuje ukraść stojący w zaułku rower Fenchurch.

Ze wszystkiego na świecie miał w tej chwili najmniejszą ochotę na kłótnię, w duchu dopingował go więc, by zrobił to szybko i nie spojrzał w górę.

Złodziej patrzył spokojnym, chytrym wzrokiem kogoś mającego zwyczaj kraść po zaułkach rowery, i nie mającego zwyczaju myśleć o tym, że właściciel właśnie kradzionego pojazdu unosi się kilka metrów nad jego głową. Dzięki obydwu swoim nawykom był zupełnie odprężony i zabrał się do roboty zdecydowanie i ze skupieniem, kiedy zaś stwierdził, że rower jest przypięty łańcuchem z wolframowej stali do wpuszczonego w beton żelaznego pręta, spokojnie wygiął oba koła i ruszył spacerkiem przed siebie.

Artur wypuścił długo powstrzymywane powietrze.

– Zobacz, jaką śliczną skorupkę ci znalazłam – szepnęła mu do ucha Fenchurch.

Rozdział 25

Ci, którzy regularnie śledzą przygody Artura Denta, prawdopodobnie wyrobili już sobie zdanie o jego charakterze i nawykach, trzeba jednak przyznać, że choć ich zdanie z pewnością zawiera prawdę i tylko prawdę, to nie zawiera prawdy kompletnej, uwzględniającej wszystkie aspekty.

Przyczyna tego jest oczywista: fakty należy redagować, wybierać, wywierać odpowiednio zdarzenia interesujące i ważne oraz opuszczać nudne fragmenty. Oto drobny przykład: „Artur Dent poszedł do łóżka. Wszedł na schody, pokonał piętnaście stopni, otworzył drzwi, wszedł do pokoju, zdjął buty i skarpetki, potem po kolei każdą część garderoby i rzucił je na podłogę, gdzie zbiły się w bezładną stertę. Włożył błękitną piżamę w paski. Umył ręce i twarz, wyszorował zęby, poszedł do ubikacji, stwierdził, że znów zrobił wszystko w odwrotnej kolejności, umył więc ponownie ręce i wszedł do łóżka. Przez piętnaście minut czytał, przy czym pierwsze dziesięć spędził na przypominaniu sobie, gdzie skończył czytać wczoraj, potem zgasił światło. Mniej więcej po minucie zasnął.

Było ciemno. Przez dobrą godzinę leżał na lewym boku.

Zaczął się niespokojnie wiercić, w końcu przewrócił się na prawy bok. Po następnej godzinie krótko i gwałtownie zamrugał, potem podrapał się po nosie, minęło jednak dalsze dwadzieścia minut, nim obrócił się ponownie na lewy bok. Tak spędził noc.

O czwartej rano wstał i poszedł do ubikacji. Otworzył drzwi...” – i tak dalej.

Przecież to kompletna bzdura. Nie posuwa do przodu akcji.

W ten sposób powstają grube książki, na których zarabia się w Ameryce wielkie pieniądze, ale niczego to nie wnosi. Jednym słowem, nikogo to nie interesuje.

Pomijając szorowanie zębów i poszukiwanie skarpetek, istnieje jeszcze parę innych niedopowiedzeń dotyczących Artura.

Niektórymi wiele osób szalenie się pasjonuje.

Chcą na przykład wiedzieć, co ma znaczyć tajemnicze krążenie wokół Artura i Trillian?

Czy kiedykolwiek do czegoś między nimi doszło? Odpowiedź na to brzmi oczywiście: nie wtykajcie nosa w nie swoje sprawy.

Pytają, czym się zajmował przez wszystkie noce, które spędził na Krikkit. Jeśli na jakiejś planecie nie ma fuolornijskich smoków ognistych ani „Dire Straits”, nie musi to znaczyć, że ludzie nie śpią po nocach wyłącznie po to, by czytać książki.

Weźmy inny przykład: Jak to było z nocą po przyjęciu, zorganizowanym na zakończenie posiedzenia komisji na prehistorycznej Ziemi, kiedy Artur siedział na pagórku i obserwował księżyc wschodzący nad płonącym lasem? Siedział tam przecież z ładną dziewczyną o imieniu Mella, która tuż przedtem uciekła od wpatrywania się co rano w sto niemal identycznych zdjęć posępnie oświetlonych tubek pasty do zębów, na co byłaby dożywotnio skazana, gdyby pozostała w dziale plastycznym firmy reklamowej na Golgafrinchamie. No więc? Co się wtedy stało?

Odpowiedź brzmi oczywiście, że książka się skończyła.

Następny tom podjął wątek dopiero pięć lat później i – jak żałę się niektórzy – nie przesadzajmy z dyskrecją. „Ten Artur Dent – napływa wrzask z najdalszych zakątków Galaktyki – to człowiek czy mysz? Naprawdę nie interesuje go nic poza herbatą i podstawowymi problemami życia? Nie ma w nim ducha walki? Nigdy nie ma, mówiąc dosadnie, ochoty pociupciać?”. Ostatnio odkryto tego typu pytania jako grawerunek na powierzchni sondy kosmicznej, przybyłej z nieznanej galaktyki, położonej tak daleko, że okropnością byłoby się zastanawiać jak daleko.

Ci, którzy chcą kilku odpowiedzi, niech czytają dalej. Pozostali powinni od razu przejść do ostatniego rozdziału. Jest naprawdę świetny, poza tym pojawia się w nim Marvin.

Rozdział 26

Wznosili się. Artur Dent przez godną pogardy chwilę pozwolił sobie pomyśleć o przyjaciółach, którzy – miał nadzieję – bawili się ile sił w pubie. No cóż, zawsze uważali go za miłego, choć nudnego, ostatnio za dziwnego i nudnego...

Wznosili się, zataczając powolne spirale, jak spadające wirującym ruchem spadochroniki nasion klonu, tyle tylko że w odwrotnym kierunku. Wznosili się, a ich dusze śpiewały w ekstazy świadomości, że albo wszystko, co robią, jest całkowicie, kompletnie, absolutnie niemożliwe, albo fizyka ma sporo do nadrobienia.

Fizyka pokręciła głową i odwracając dyskretnie wzrok, skoncentrowała się na tym, by samochody dalej jechały Euston Road w kierunku autostrady Westway, żeby latarnie uliczne świeciły, a każdy cheeseburger, którego wypuszczono z ręki na Baker Street, po sekundzie plasnął o chodnik.

W dole szybko malały sznury światel Londynu. Artur stale musiał sobie przypominać, że to Londyn, a nie pokryte dziwnymi barwami bezkresy Krikkit, znajdującego się gdzieś na krańcu Galaktyki, której gwiazdy usiały jaskrawymi punkcikami otwierające się przed nimi niebo.

– Spróbuj spikować – zaproponował Artur.

– Słucham? – Głos Fenchurch był wyraźny, choć płynął jakby z oddali. Brzmiał eterycznie i słabo, był przepełniony zwątpieniem. Tak, był równocześnie wyraźny i słaby, daleki i eteryczny. – Lecimy... – powiedziała.

– Dziecinna igraszka! – odkrzyknął Artur. – Nie myśl o tym. Spróbuj zapikować.

– Zapi...?

Złapała Artura za rękę i w tym momencie uchwyciła ją siła ciężkości. Dziewczyna wyrwała się i ku wielkiemu zdziwieniu Artura zaczęła spadać, wirując i rozpaczliwie zaciskając dłonie w powietrzu.

Fizyka rzuciła szybko okiem na Artura, i z przerażenia też zaczął spadać. Było mu niedobrze od pędu, wszystko w nim krzyczało – z wyjątkiem głosu.

Spadali, ponieważ mieli pod sobą Londyn, a nie należy wyczyniać nad nim podobnych dziwactw.

Artur nie miał szans złapać dziewczyny, ponieważ byli nad Londynem, a nie milion, lecz tysiąc dwieście kilometrów stąd, w Pizie, Galileusz jednoznacznie udowodnił, że dwa ciała spadają z identycznym przyspieszeniem niezależnie od ciężaru.

Spadali.

Choć miał nudności i zawroty głowy, Artur uświadomił sobie, że gdyby latając, wierzył we wszystko, co nie umiejący nawet utrzymać w pionie zwykłej wieży Włosi mają do powiedzenia na temat fizyki, rychło znalazłby się naprawdę w niebezpieczeństwie, i natychmiast zaczął spadać szybciej od Fenchurch.

Złapał ją i starał się chwycić mocno za barki. Po chwili trzymał już pewnie.

Świetnie. Spadali teraz razem, co było zachwycające i dość romantyczne, ale nie rozwiązywało podstawowego problemu, polegającego na tym, że spadają, ziemia zaś nie czekała na to, czy Artur ma w rękawie jakieś cwane sztuczki, lecz gnała w ich kierunku z prędkością pociągu pośpiesznego. Nie był w stanie powstrzymać spadania Fenchurch, bo nie miał się o co oprzeć.

Myślał wyłącznie o tym, że będą musieli umrzeć, i jeśli chce zapobiec oczywistemu nieszczęściu, musi zrobić coś nieoczekiwanego. A więc był w swoim żywiole.

Puścił Fenchurch i odepchnął ją od siebie, kiedy zaś spojrzała na niego w niemym przerażeniu, zahaczył małym palcem o jej mały palec, machnął dziewczyną w górę i, nieporadnie wirując, poleciał za nią.

– Cholera! – zaklęła dysząc i tracąc oddech, zauważyła bowiem, że choć na niczym nie siedzi, zawisła w miejscu. Kiedy trochę ochłonęła, pognali w górę, w ciemne niebo.

Zatrzymali się tuż pod granicą chmur i zaczęli sprawdzać, dokąd się w tak nieprawdopodobny sposób dostali. Musieli pamiętać, by nie obserwować powierzchni ziemi pewnym wzrokiem, lecz muskać ją tylko przelotnym spojrzeniem, mimochodem. Fenchurch odważnie zaczęła próbować lotu pikującego i przekonała się, że jeśli ustawi ciało pod odpowiednim kątem do wiatru, jest w stanie wykonać świetną kombinację figur z piruetem.

Po piruecie przewracała się na bok, co powodowało, że zadzierała jej się sukienka. W tym miejscu czytelnikom, których zżera ciekawość, co w tym czasie robili Ford Prefect i Marvin, radzimy przejść do dalszych rozdziałów, Artur nie był bowiem w stanie dłużej wytrzymać i pomógł Fenchurch się rozebrać.

Wydymana wiatrem sukienka poleciała w dół, zmieniła się po chwili w plamkę i zniknęła.

Następnego ranka została znaleziona na sznurku do bielizny w Hounslow, co z oczywistych powodów niezwykle zaburzyło życie pewnej rodziny.

Artur i Fenchurch unosili się wyżej i wyżej w niemym uścisku, aż dotarli do wilgotnej, lepkiej chmury, jednej z tych, które można obserwować, lecąc samolotem. Obserwować, nie poczuć, ponieważ siedzi się w dusznym wnętrzu i wygląda przez podrapane pleksiglasowe okienko, podczas gdy czyjś syn z uporem próbuje wylać człowiekowi gorące mleko za koszulę.

Artur i Fenchurch czuli chmurę, czuli, że ich ciała otaczają zimne smugi rozrzedzonego powietrza. Bardzo zimnego i bardzo rozrzedzonego, uznali jednak, że jeśli nie robi na nich wrażenia grawitacja, to zimno i rozrzedzone powietrze też im nic nie robią. Tego zdania była przede wszystkim Fenchurch, którą przed żywiołami chroniły jedynie dwie mikroskopijne sztuki bielizny firmy „Marks & Spencer”.

Oba wyroby sztuki bieliźniarskiej, które w momencie, kiedy Fenchurch zanurzyła się w gęstą chmurę, Artur zaczął bardzo powoli zdejmować (a tylko tak można to robić w czasie latania), narobiły następnego dnia sporo zamieszania. Idąc z północy na południe – w Isleworth i Richmond.

Chmura była bardzo wysoka, pokonywali ją więc długo.

Kiedy z niej wylecieli, mokrzuteńcy, Fenchurch wirowała powoli wokół własnej osi jak porwana przez przypływ rozgwiazda. Stwierdzili, że tak naprawdę, to niebo jest rozświetlane światłem księżyca jedynie nad chmurami i jest zarówno ciemne, jak i świejące, chmury wyglądają zaś od góry jak masyw pokrytych arktycznym śniegiem szczytów.

Wylecieli na samym szczycie wysoko wypiętrzonego cumulonimbusa i zaczęli się zabawiać zjeżdżaniem po jego stoku. W trakcie tych igraszek Fenchurch uwalniała Artura z ubrania, aż wszystkie części jego garderoby, wirując w powietrzu, zniknęły w mogącej ukryć wszystko białej masie. Pocałowała go. Pocałowała go w szyję, w pierś i wkrótce zaczęli powoli wirować jak wielka litera T, widok której nawet fuolornijskiego smoka ognistego (gdyby akurat jakiś przeleciał nażarty pizzą) skłoniłoby do wzruszenia skrzydłami i dyskretnego odkasznienia. W chmurach nie było jednak ani jednego fuolornijskiego smoka ognistego. Nie mogło ich tam być, ponieważ – podobnie jak dinozaury, ptaki dodo i Wielki Wyłojony Wintwock ze Stegbartle Major w systemie Fraz – niestety wymarły i wszechświat już nigdy nie ujrzy czegoś takiego. W odróżnieniu od boeingów 747, których jest na niebie w nadmiarze.

Powód, dla którego na powyższej liście nagle występuje boeing 747, należy rozpatrywać niezależnie od faktu, że za kilka chwil jeden z nich pojawi się w życiu Artura i Fenchurch.

Boeingi 747 to ogromne, wręcz szaleńczo olbrzymie przedmioty. Najbardziej rzuca się to w oczy, jeśli leci się obok. Czuje się wtedy przypominającą uderzenie grzmotu falę powietrza, ruchomą ścianę wyjącego wiatru, która odrzuca człowieka z potężną siłą nawet, jeśli jest się na tyle zwariowanym, by w wielkiej odległości robić to, co Artur i Fenchurch robili bardzo blisko, zachowując się jak prowadzące Blitzkrieg motyle.

W odróżnieniu jednak od tamtego Blitzkriegu, teraz nastąpił bardzo krótki moment załamania ofensywy. Zaraz potem doszło do przegrupowania, a pewien znakomity pomysł podkreślono energicznym „bum”.

Pani E. Kapelsen z Bostonu w stanie Massachusetts była dość stara i miała wrażenie, że jej życie chyli się ku końcowi.

Wiele w życiu widziała, spotkało ją kilka rzeczy zadziwiających, ale – a w jej wieku nie było łatwo się do tego przyznać – zaznała w życiu zbyt wiele nudy. Szyła przyjemnie, ale być może w nieco zbyt oczywisty sposób, zbyt rutynowo.

Z cichym westchnieniem podniosła zasłaniającą okienko plastikową roletę i wyjrzała na zewnątrz. Najpierw uznała, że powinna zawołać stewardesę, po chwili jednak pomyślała: „Nie,

do diabła, nie. Nigdy! To dla mnie, to tylko i wyłącznie moje”. Kiedy tajemnicza para w końcu zsunęła się ze skrzydła, wpadając w strumień gazów wylotowych, pani Kapelsen wyraźnie poprawił się nastrój.

Poczuła ulgę przede wszystkim dlatego, iż okazało się, że niemal wszystko, co jej w życiu mówiono, to bzdura.

Następnego poranka Artur i Fenchurch spali bardzo długo.

Nie przeszkadzał im nawet nieustający lament restaurowanych mebli.

W nocy powtórzyli to samo co poprzedniej, zabrali jednak z sobą walkmeny.

Rozdział 27

– Wszystko ładnie i pięknie – mówiła Fenchurch kilka dni później – ale muszę wiedzieć, co się ze mną stało. Jest między nami różnica: ty coś straciłeś i odnalazłeś, ja znalazłam i utraciłam. Muszę to odnaleźć.

Musiała wyjść na cały dzień, Artur poświęcił więc kilka godzin na telefonowanie.

Murray Bost Henson pracował jako dziennikarz w gazecie o małym formacie i wielkich tytułach. Miło byłoby powiedzieć, że nieźle na tym wychodził, ale niestety miało się to z prawdą. Przypadkiem był jedynym znajomym dziennikarzem Artura, tak więc, chcąc nie chcąc, Artur zadzwonił właśnie do niego.

– Artur, stara łyżko do zupy, mój ty srebrny czajniku! Jakie to niezwykle zadziwiające, znów cię słyszę! Ktoś mi mówił, że przeniosłeś się w kosmos czy coś w tym stylu.

Murray mówił specyficznym językiem, którym nikt poza nim nie umiał się posługiwać, nie wspominając o rozumieniu.

Prawdopodobnie niewiele zwrotów cokolwiek oznaczało. Słowa, które coś znaczyły, były tak świetnie ukryte, że nikt ich nie zauważał w lawinie nonsensu. Chwila, kiedy docierały do człowieka, była dla wszystkich ciężka.

– Hę? – spytał Artur.

– Tylko plotkę, kości ty moja słoniowa, mój ty obciążony zielonym filcem stoliczku do gry w karty, tylko plotkę. Prawdopodobnie nic nie znaczy, ale przydałoby mi się kilka zdań od ciebie.

– Nie przywiązuj do tego wagi. Zwykła knajpiana gadanina.

– śyjemy z tego, moja ty protezo lewej nogi, z tego właśnie żyjemy. Pasowałoby jak ta lala do pozostałych historyjek tygodnia, pomoże mi więc nawet, jak zaprzeczysz.

Przepraszam, właśnie coś mi wypadło z ucha.

Po chwili ciszy Murray ponownie się odezwał; jego głos zabrzmiał jak głos kogoś, kto przeżył wstrząs.

– Przypomniałem sobie tylko – powiedział – jaki miałem wczoraj dziwny wieczór.

Nieważne, stary, nie powiem ci, co się stało. Jak więc się czujesz po jeździe okrakiem na komecie Halleya?

– Nie jeździłem okrakiem na komecie Halleya.

– Świetnie. Jak więc się czujesz po niejeździe okrakiem na komecie Halleya?

– Wypoczęty. Znakomicie wypoczęty, Murray.

Zapadła cisza. Murray zapisywał.

– To mi w zupełności wystarczy, Arturze, wystarczy mnie, Ethel i dzieciakom. Pasuje idealnie do ogólnego wariactwa tygodnia. Chcemy go nazwać „Tygodniem dziwnoludków”.

Nieźle, co?

- Znakomite.
- Brzmi świetnie. Najpierw przychodzi facet, na którego ciągle pada deszcz...
- Gadasz...
- To absolutna supercałkowita prawda. Ma wszystko zanotowane w małej czarnej

książeczce. Spycha w cień każdy program rozrywkowy. Instytut Meteorologii dostaje pokręconego afrykańskiego świra, a z całego świata zlatują się śmieszni faceci w białych kitlach, targający suwaki logarytmiczne, różne aparaciki i urządzenia do odżywiania dożylnego. Ten facet to po prostu kolano pszczoły, to sutka osy. Posunę się nawet do twierdzenia, że jest lepszy od stref erogennych wszystkich większych owadów zachodniej półkuli razem wziętych.

Nazywamy go Bogiem Deszczu. Ładnie, nie?

- Chyba go kiedyś spotkałem.
- Brzmi wspaniale, nie? Co powiedziałeś?
- Chyba go kiedyś spotkałem. Bez przerwy narzeka, prawda?
- Nie do wiary! Widziałeś Boga Deszczu?
- Jeśli chodzi o tę samą osobę. Powiedziałem mu, by przestał narzekać i pokazał komuś

swój notes.

Murray Bost Henson na chwilę zamilkł jak zamurowany.

– Człowieku, zrobiłeś coś niesamowitego. Trzeba zapisać na twoim koncie absolutną niesamowitość. Wiesz, ile zamierza facetowi zapłacić pewien przedsiębiorca turystyczny, by nie jechał w tym roku na Malagę? Chcę powiedzieć, wybij sobie z głowy nawadnianie Sahary i tym podobne nudziarstwa, gość ma przed sobą niesamowitą karierę! Będzie za pieniądze unikał przebywania w określonych miejscach. Zostanie potworem. Myślę, Artur, że powinniśmy dać mu wygrać w bingo. Może zrobimy też coś o tobie. CZŁOWIEK, KTÓRY

NAKŁONIŁ BOGA DESZCZU, BY PADAŁ. Niezłe, co?

– Niezłe, ale...

– Może będziemy musieli cię fotografować pod strumieniem z ogrodowego węża, ale nie szkodzi. Gdzie jesteś?

– W Islington. Słuchaj, Murray...

– W Islington!

– Murray...

– Człowieku, co w takim razie powiesz o największym wariactwie tygodnia, tej naprawdę szalonej historii? Słyszałeś o tych latających ludziach?

– Nie.

– Musiałeś. To naprawdę kipiącą szaleństwem historia. Jajko w zupie. Raz za razem dzwonią do nas ludzie z Islington i opowiadają, że mieszka tam parka, która fruwa po nocach.

W naszym laboratorium nie śpią, by wyciągnąć coś wyraźnego ze zdjęć. Musiałeś o tym słyszeć.

– Nie.

– Gdzie ty byłeś? No tak, w kosmosie, mam twoje oświadczenie, ale przecież już kilka miesięcy temu wróciłeś. Posłuchaj, stara tarko do sera, zaczęło się to w tym tygodniu i powtarza się noc w noc. Akurat w takiej dziurze. Latają sobie jak ptaki i wyprawiają na niebie różne dziwne rzeczy. Nie mam na myśli zagłądania do okien i zamierania w powietrzu, by udawać mosty wiszące. Naprawdę nic nie słyszałeś?

– Nie.

– Artur, rozmowa z tobą to naprawdę rozkosz, czumbum, muszę lecieć. Podeślę ci faceta z aparatem i szlauchem. Daj mi swój adres, zamieniam się w ucho i długopis.

– Murray, dzwonię, bo chciałem o coś zapytać.

- Jestem zajęty.
- Chciałem dowiedzieć się czegoś o delfinach.
- Nic ciekawego. Zeszłoroczny śnieg. Możesz o tym zapomnieć. Zniknęły.
- To ważne.
- Słuchaj, nikt się do tego nie zabierze. Bez względu na temat, nikogo nie interesują historie opisujące jedynie niezmienny brak czegoś. Poza tym, to i tak nie nasze piwo, spróbuj w gazetach niedzielnych. Możliwe, że za parę lat napiszą w okolicy sierpnia coś pod tytułem „Co się stało z delfinami – historia po latach”, ale co pisać dziś? „W dalszym ciągu nie ma delfinów”? „Nieobecność delfinów trwa”? „Delfiny – kolejne dni bez nich”? Historyjka zdechła. Leży na ziemi, wyciąga do nieba chude nóżki i wkrótce zawisnie na wielkim złotym gwoździu na niebie, mój ty owocowy nietoperzu.
- Murray, nie interesuje mnie, czy kryje się za tym jakaś historia. Chciałbym się jedynie dowiedzieć, jak dotrzeć do gościa w Kalifornii, który twierdzi, że coś wie. Myślałem, że mógłbyś mi pomóc.

Rozdział 28

- Ludzie zaczynają plotkować – powiedziała Fenchurch wieczorem, kiedy wciągnęły na górę wiolonczelę.
- Nie tylko plotkować, także drukować artykuły w prasie. W dodatku wielkimi literami to tuż pod numerami bingo. Dlatego pomyślałem, że najlepiej będzie, jak je kupię. – Pokazał dwie książeczki biletów lotniczych.
- Artur! – wykrzyknęła obejmując go. – Czy to znaczy, że udało ci się z nim porozmawiać?
- Mam za sobą dzień bardzo intensywnego użytkowania telefonu. Dzwoniłem prawie do każdego działu prawie każdej gazety przy Fleet Street i w końcu zdobyłem jego numer.
- Musiałeś naprawdę ciężko pracować, skarbie. Jesteś cały spocony.
- To nie pot. Przed chwilą był tu fotograf... – Artur był naprawdę wykończony – i próbowałem protestować, ale... nie ma o czym mówić. W każdym razie: tak.
- Rozmawiałeś z nim!
- Z jego żoną. Powiedziała, że mąż jest w zbyt dziwnym stanie, by podejść do telefonu, i spytała, czy mogę zadzwonić później. – Usiadł wyraźnie zmęczony, stwierdził, że czegoś mu brakuje i poszedł do lodówki. – Chcesz drinka?
- Mogłabym zamordować za drinka. Zawsze, kiedy mój nauczyciel muzyki staje przede mną, lustruje mnie od góry do dołu i mówi: „Moja droga, wydaje mi się, że dziś zagramy trochę Czajkowskiego”, wiem, że czekają mnie ciężkie chwile.
- Zadzwoniłem potem i powiedziała, że mąż jest oddalony od telefonu o 3,2 lat świetlnych i żebym zadzwonił jeszcze raz.
- Aha.
- Zadzwoniłem ponownie. Powiedziała, że sytuacja się poprawia. Jest 2,6 lat świetlnych od telefonu, ale to jeszcze za daleko, by go zawołać.
- Nie istnieje nikt więcej, z kim moglibyśmy porozmawiać?
- Moglibyśmy wpaść z deszczu pod rynnę. Rozmawiałem z redaktorem pewnego czasopisma naukowego, który go zna, i powiedział mi, że John Watson nie tylko wierzy w to, że bzdura miesiąca jest prawdą, ale posiada na to dowód nie do obalenia. Powiedziały mu o tym chodzące w obuwii leczniczym anioły ze złotymi brodami i zielonymi skrzydłami. Tym, którzy

wątpią w prawdziwość jego wizji, triumfująco podstawia pod nos rzeczony drewniak i przestaje się odzywać.

– Nie sądziłam, że jest aż tak źle – powiedziała Fenchurch, machając smętnie biletami.

– Zadzwoń kolejny raz do pani Watson. Pomijając wszystko, pewnie zechcesz wiedzieć, że ma na imię Arkanum Jill.

– Rozumiem.

– Cieszy mnie to. Pomyślałem, że możesz mi nie uwierzyć, ostatnim razem wziąłem więc automatyczną sekretarkę i nagrałem rozmowę.

Artur podszedł do stolika i zaczął naciskać klawisze – Fenchurch posiadała automatyczną sekretarkę szczególnie polecaną przez czasopismo konsumenckie „Co kupić”?; przy jej obsłudze prawie niemożliwe było zachowanie równowagi umysłu.

– Proszę bardzo – rzekł w końcu, ścierając pot z czoła.

Głos brzmiał słabo i chropawo, czemu najwyraźniej była winna podróż do satelity geostacjonarnego, ale równocześnie był niezwykle spokojny.

– Być może powinnam wyjaśnić – zaczęła Arkanum Jill Watson – że telefon stoi w pokoju, do którego on nigdy nie wchodzi. W tej chwili siedzi w domu wariatów. Wonko Rozsądny nie lubi przekraczać progu domu wariatów, mój mąż też więc tego nie lubi.

Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć – może to panu zaoszczędzić wydatków na telefon.

Jeśli chce się pan z nim spotkać, można to zorganizować. Musi pan po prostu wejść do domu wariatów. Zgadza się na rozmowy jedynie poza nim.

Głos Artura zdradzał wielkie zaskoczenie.

– Przepraszam, nie rozumiem. Gdzie znajduje się ten dom wariatów?

– Gdzie znajduje się dom wariatów? Czytał pan kiedyś instrukcję obsługi wykałaczek?

Głos Artura na taśmie przyznał, że nie.

– To powinien pan to zrobić. Wtedy może się panu nieco rozjaśni w głowie. Może zauważy pan, że zawarta jest tam wskazówka co do miejsca położenia domu wariatów.

Dziękuję.

Połączenie zostało przerwane. Artur wyłączył automatyczną sekretarkę.

– No cóż... sądzę, że możemy to potraktować jak zaproszenie – oświadczył wzruszając ramionami. – Udało mi się od redaktora tej naukowej gazety wydębić adres.

Fenchurch, marszcząc z zamyśleniem czoło, patrzyła to na Artura, to na bilety.

– Uważasz, że warto?

– Tja, jedyną rzeczą, co do której zgadzali się wszyscy, z którymi rozmawiałem – oczywiście poza tym, że kompletnie zwariował – był fakt, że wie o delfinach więcej niż ktokolwiek inny na Ziemi.

Rozdział 29

Uwaga, uwaga, ważny komunikat! Tu lot numer 121 do Los Angeles. Jeśli w Państwa planach nie ma dziś wizyty w Los Angeles, najwyższy czas wsiąść.

Rozdział 30

W Los Angeles wynajęli samochód w firmie, która wypożycza znalezione na ulicy

porzucone samochody.

– Może sprawiać trochę kłopotu z zakręcaniem – poinformował mężczyzna w słonecznych okularach, który wydawał im kluczyki. – Czasem może być prościej wysiąść i poprosić o podwiezienie kogoś, kto jedzie w odpowiednim kierunku.

Spędzili noc przy Sunset Boulevard, w hotelu, o którym ktoś ze znajomych twierdził, że sprawi im przyjemność panująca w nim atmosfera pełnego zamieszania.

– Tamtejsi goście to albo Anglicy, albo dziwacy, albo jedno i drugie. Są tam baseny, przy których angielskie gwiazdy rocka, z nadzieją, że je ktoś sfotografuje, czytają czasopisma naukowe, kulturalne i filozoficzne.

Była to prawda. Zobaczyli gwiazdora i rzeczywiście czytał coś mądrego.

Pracownika garażu nie zachwycił ich samochód, ale to nic, bo on ich też nie zachwycił.

Późnym wieczorem pojechali Mulholland Drive między wzgórzami Hollywoodu.

Zatrzymali się, by podziwiać olśniewające morze migoczących świateł, jakim jest Los Angeles, potem zatrzymali się jeszcze raz, by podziwiać olśniewające morze migoczących świateł, jakim jest dolina San Fernando.

Byli zgodni co do tego, że o ile olśnione są ich oczy, to olśniona nie czuje się żadna inna część ciała, przedstawienie ich nie wzrusza i są rozczarowani. Same w sobie oba dramatyczne morza światła były znakomite, ale światło jest po to, by coś oświetlać, kiedy zaś przejechali przez to, co owe dramatyczne morza światła oświetlały, nie wiedzieli, czym się zachwycić.

Poszli do łóżka późno, spali niespokojnie i obudzili się w samo południe, kiedy panuje potworny upał.

Pojechali autostradą do Santa Monica, by rzucić okiem na Pacyfik, czyli ocean, na którego oglądaniu wszystkie dnie i większość nocy spędzał Wonko Rózsądny.

– Ktoś mi kiedyś opowiadał – powiedziała na jego widok Fenchurch – że podsłuchał raz rozmowę dwóch starszych pań, które robiły to samo co i my, czyli po raz pierwszy w życiu patrzyły na Pacyfik. Po długiej chwili jedna z nich powiedziała: „Wiesz, nie jest wcale tak duży, jak myślałam”.

Nastrój zaczął im się poprawiać na plaży w Malibu. Szli spacerkiem wzdłuż wody i obserwowali siedzących w eleganckich domkach plażowych milionerów, uważnie się obserwujących, by wiedzieć na bieżąco, jak bardzo bogaty jest każdy sąsiad.

Nastrój jeszcze bardziej im się poprawił, kiedy zaczęło zachodzić słońce. Wsiedli do swego grata i ruszyli prosto na nie – widok był tak piękny, że nikomu z odrobiną wrażliwości nie wpadłoby do głowy zasłaniać go miastem o wyglądzie Los Angeles. Nagle i bez logicznego powodu poczuli przypływ szczęścia, którego nie zakłócał nawet fakt, że radio odbiera jedynie dwie stacje, ale za to naraz. W końcu obie nadawały dobrego rocka.

– Wiem, że nam pomoże – rzekła zdecydowanie Fenchurch. – Wiem, że tak będzie. Jak brzmiało imię, którym chce, by się do niego zwracać?

– Wonko Rózsądny.

– Wiem, że jest w stanie nam pomóc.

Artur miał nadzieję, że Wonko im pomoże, a to, co Fenchurch straciła, da się odnaleźć na Ziemi – czy czym jest miejsce, gdzie przebywają. Od momentu kiedy pierwszy raz rozmawiali nad stawem Serpentine w Hyde Parku, miał nadzieję – wręcz marzył gorąco – że nie będzie zmuszony przypominać sobie tego, co trwale i z rozmysłem zakopał w najgłębszych zakamarkach umysłu, by z czasem przestało go gnębić.

W Santa Barbara zatrzymali się przy wyglądającej jak magazyn restauracji rybnej.

Fenchurch wzięła kielbisa. Twierdziła, że jest pyszny.

Artur jadł stek z miecznika. Twierdził, że danie działa mu na nerwy.

Złapał przechodzącą kelnerkę za rękę i fuknął na nią wściekle: – Dlaczego ta ryba jest tak niezwykle smaczna?

– Proszę mu wybaczyć – wyjaśniła Fenchurch zaskoczonej kelnerce – ale chyba nareszcie ma dobry dzień.

Rozdział 31

Gdyby wziąć dwóch Davidów Bowie i postawić jednego na drugim, potem do każdej ręki górnego przymocować po jeszcze jednym Davidzie Bowie i owinąć całość brudnym płaszczem kąpielowym, uzyskało by się coś, co nie wyglądałoby może dokładnie jak John Watson, ale u jego znajomych wywołałoby wrażenie, że widzą coś zbliżonego.

John Watson był wielki i chudy jak tyka.

Kiedy tak siedział na składanym krzeselku i patrzył na Pacyfik, pełen już nie gwałtownej podejrzliwości, lecz pokojowej głębokiej depresji, niełatwo było określić, gdzie kończy się krzeselko, a zaczyna John Watson, i każdy by się zawahał przed położeniem dłoni na – powiedzmy – jego przedramieniu, ponieważ bałby się, że cała konstrukcja może w, każdej chwili się złożyć i przyciąć palce.

Zadziwiający był uśmiech Johna Watsona. Choć zdawał się składać z wszelkich nieszczęść, jakie może na człowieka sprowadzić życie, zdawał się jednak mówić: „Ojej... A więc wszystko jest w porządku...”. Kiedy Wonko mówił, człowiek się cieszył, że dość często układa usta w wywołujący to poczucie sposób.

– Oj tak... – mówił Wonko – przyjeżdżają do mnie. Siadają dokładnie w tym miejscu. Tu gdzie pan. – Mówił o aniołach ze złotymi brodami, zielonymi skrzydłami i w sandałach leczniczych na nogach. – Jedzą tortille z serem, których nie ma tam, skąd pochodzą. Piją masę coli i są pod wieloma względami wspaniałe.

– Naprawdę? – spytał Artur. – Wspaniałe? To znaczy... kiedy to się odbywa? Kiedy przylatują? – Też przyglądał się Pacyfikowi. Na granicy piasku i wody biegały ptaszki, których problem najwyraźniej polegał na tym, że musiały wyszukiwać jedzenie w piasku, który właśnie zmoczyła fala, a nie lubiły moczyć łap. Chcąc więc sobie z tym poradzić, zmuszone były poruszać się tak dziwnie, jakby zostały skonstruowane przez Szwajcara.

Fenchurch siedziała na ziemi i zamyślona rysowała na piasku wzorki.

– Zazwyczaj w weekendy – odparł Wonko Rozsądny. – Na zgrabnych skuterkach. Są świetne. – Uśmiechnął się.

– Aha, rozumiem – skwitował Artur.

Jego uwagę ściągnęło ciche kaszlnięcie Fenchurch. Narysowała na piasku mnóstwo ludzkich figurek, z których dwie unosiły się w chmurach. Przez chwilę sądził, że chce się z nim podroczyć, ale zaraz zrozumiał, że go gani. Zdawała się przekazywać: „Kimże jesteśmy, by twierdzić, że on zwariował?”. Dom Wonko był jednak z pewnością dziwny, a ponieważ była to pierwsza rzecz, na jaką natknęli się Artur i Fenchurch, warto może wspomnieć, jak wyglądał.

Otóż dom był wywinięty na drugą stronę. Jak rękawiczka.

Wywinięty w takim stopniu, że parkowało się na dywanie z salonu.

Wzdłuż pomalowanej ulubionym przez architektów wnętrz kolorem, czyli eleganckim różem, ściany, która w normalnej sytuacji byłaby fasadą, stały regały z książkami oraz śmieszne stoliczki z półkolistymi blatami i trzema nóżkami, które wyglądały, jakby z niej wyrastały. Nad nimi zawieszono obrazy mające działać uspokajająco.

Miejscem, gdzie robiło się naprawdę ciekawie, był dach.

Zwijął się w sobie jak coś, co mógłby wymyślić Maurits C. Escher. Kandelabry, które powinny być w środku i zwisać z sufitu, znajdowały się na zewnątrz i sterczały do góry. Gdy ogląda się rysunki Eschera, zwłaszcza te z mnóstwem przechodzących w siebie niezgrabnie schodów, nasuwa się myśl, że Escher wpadłby na taki pomysł chyba jednak tylko wtedy, gdyby nadmiernie się poddał nocnym majakom wielkich miast i znalazł się we śnie na podobnych schodach, ale udowodnienie tego nie jest celem niniejszej historii.

Zadziwiająca sprawa.

Nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem: PROSZĘ WYJŚĆ i ze strachem zrobili, co im kazano.

Wewnątrz były oczywiście mury zewnętrzne. Goła cegła z równymi białymi fugami, dobrze utrzymane rynny, dróżka ogrodowa, kilka drzewek, kilka okien.

Ściany zaginały się w dół, dziwacznie zwijały, na końcu rozwierały, jakby wykorzystano złudzenie optyczne, które zadziwiłoby samego Mauritsa C. Eschera, zmusiło go do zmarszczenia czoła i zapytania, jak można zamknąć na tak małej przestrzeni cały Pacyfik.

– Witam! – rzucił John Watson, czyli Wonko Rozsądny.

„Wspaniale – pomyśleli oboje. – Witam to coś, z czym chyba sobie poradzimy”.

– Witamy! – Wszyscy zaczęli się uśmiechać.

Przez dłuższy czas Wonko dziwnie unikał mówienia o delfinach, sprawiał wrażenie rozkojarzonego, kiedy zaczynano o nich mówić, powtarzał: „Boja wiem...”, i jedynie oprowadzał gości z dumą po domu.

– Ten dom w dziwny sposób sprawia mi ogromną przyjemność, a nie szkodzi nikomu.

Przynajmniej nie wywołuje szkód, z którymi nie umiałby sobie poradzić dobry optyk.

Wonko spodobał im się. Był otwarty, umiał zdobywać sobie ludzi i żartował z siebie, nim ktoś zdążył zażartować z niego.

– Pańska żona – mówił Artur rozglądając się – wspominała coś o wykałaczkach. – Powiedział to z niepokojem, jakby się bał, że kobieta może nagle wyskoczyć zza węgła i powtórzyć swoje.

Wonko Rozsądny roześmiał się. Śmiech był swobodny, niewymuszony, brzmiał, jakby był częstym gościem na ustach Wonko i jakby sprawiało mu satysfakcję, kiedy się pojawia.

– To ma związek z dniem, w którym ostatecznie zrozumiałem, że świat kompletnie zwariował, i zacząłem budować dom wariatów, by zamknąć w nim biedaka z nadzieją, że powoli wróci do normy.

W tym momencie Artur znów zaczął się denerwować.

– Teraz jesteśmy poza domem wariatów – wyjaśnił Wonko. Wskazał gołe cegły, białe fugi i rynnę na dachu. – Przekroczycie te drzwi – pokazał drzwi, którymi przed chwilą weszli – i będziecie w domu wariatów. Starłem się urządzić go możliwie ładnie, by pensjonariusze czuli się jak najlepiej, ale to nie takie proste. Sam nigdy nie wchodzę. Jeśli nabieram na to ochoty, choć ostatnio to rzadkość, patrzę na tablicę nad drzwiami i przechodzi mi.

– Na to? – spytała Fenchurch, wskazując ze sporym zdziwieniem na niebieską tablicę z naskrobanymi zdaniem.

– Tak. Te słowa zrobiły ze mnie pustelnika, którym obecnie jestem. Nastąpiło to dość gwałtownie. Ujrzałem je i natychmiast wiedziałem, co robić.

Na tablicy napisano: CHWYCIĆ WYKAŁACZKĘ W ŚRODKU. ZAOSTRZONY KONIEC ZWILŚYĆ ŚLINĄ. WPROWADZIĆ W PRZESTRZEŃ MIĘDZY ZĘBAMI. OSTROŚNIE PORUSZAĆ.

– Uznałem – powiedział Wonko Rozsądny – że cywilizacja, która do tego stopnia straciła rozum, że musi sporządzać instrukcje używania wykałaczek, nie jest cywilizacją, w której mogę

żyć i utrzymać się przy zdrowych zmysłach. – Znów popatrzył na Pacyfik, jakby wzywał go do kipienia i falowania, ocean był jednak spokojny i igrał z ptaszkami. – Gdyby przyszło panu do głowy zapytać – widzę bowiem, że może tak się stać – to chciałbym z góry odpowiedzieć, że jestem całkowicie przy zdrowych zmysłach. Dlatego każę mówić na siebie Wonko Rozsądny. Po to, by uspokoić ludzi. Wonko, bo matka tak mnie nazywała, kiedy byłem nieporadnym dzieckiem i przewracałem co tylko się dało, a Rozsądny, bo taki jestem i to jak... – dodał z uśmiechem, tym, który wywoływał poczucie: „Ojej... A więc wszystko jest w porządku...” – ... i zamierzam pozostać przy zdrowych zmysłach. Może pójdziemy na plażę i zastanowimy się, o czym mamy rozmawiać?

Wyszli na plażę, gdzie zaczął opowiadać o noszących sandały lecznicze aniołach ze złotymi brodami i zielonymi skrzydłami.

– A delfiny...? – łagodnie, z nadzieją zapytała Fenchurch.

– Mogę wam pokazać sandały.

– Zastanawiam się, czy wie pan może...

– Chcecie zobaczyć sandały? Mam je. Zaraz przyniosę. Wyprodukowała je znana firma medyczna i aniołowie twierdzą, że są znakomite w terenie, w jakim muszą pracować. Mówią, że mają obok przesłania kiosk. Kiedy mówię, że nie rozumiem, o co im chodzi, odpowiadają: „Oczywiście nie rozumiesz”, i śmieją się. No cóż, przyniosę sandały.

Kiedy wrócił do środka, czy – w zależności od punktu widzenia – wyszedł na zewnątrz, Fenchurch i Artur popatrzyli po sobie pytającym i nieco wątpiącym wzrokiem, oboje wzruszyli ramionami i zaczęli mechanicznie rysować na piasku ludziki.

– Jak dziś twoje stopy? – spytał Artur.

– Dobrze. W piasku nie mam tego uczucia. W wodzie też nie. Woda bez trudności do nich sięga. Mam wrażenie, że to nie nasz świat. – Wzruszyła ramionami. – Co miał twoim zdaniem na myśli, mówiąc o „przesłaniu”?

– Nie mam pojęcia – odparł Artur, którego nieustająco prześladowało wspomnienie człowieka imieniem Prak, śmiejącego się z niego, że o mało nie pękł.

Kiedy Wonko wrócił, przyniósł coś, co mocno zaskoczyło Artura. Nie chodziło o sandały, sandały były zupełnie normalne, ze zwykłymi drewnianymi podeszwami.

– Pomyślałem sobie, że z chęcią obejrzyście, co aniołowie mają na nogach. Choćby z ciekawości. Dla jasności – nie zamierzam niczego udowadniać. Jestem naukowcem i wiem, jak przeprowadza się dowód, ale imię z dzieciństwa noszę między innymi dlatego, że chcę pamiętać, iż naukowiec musi być czasem jak dziecko. Kiedy coś widzi, musi to głośno powiedzieć – bez względu na to, czy widzi to, co spodziewał się zobaczyć, czy nie. „Najpierw zobacz, potem myśl, na końcu analizuj” – oto moja dewiza. Zawsze należy najpierw widzieć, inaczej zobaczysz to, co chcesz zobaczyć. Większość naukowców zapomina o tym.

Udowodnię tę tezę później. Kolejnym powodem, dla którego każę na siebie mówić Wonko Rozsądny, jest fakt, że ludzie uważają mnie za głupca. Daje mi to możliwość mówienia, co widzę. Nie można być naukowcem, jeśli człowiek przejmuje się tym, że ktoś może go uznać za głupca. W każdym razie pomyślałem sobie, że może zechcielibyście zobaczyć i to.

Artur patrzył z najwyższym zdumieniem, Wonko przyniósł bowiem przepiękne srebrnoszare, kuliste akwarium, wyglądające identycznie jak to, które miał w sypialni. Dysząc i zgrzytając zębami, Artur od trzydziestu paru sekund próbował bezskutecznie wykrztusić: „Skąd pan to ma?”. W końcu moment nadszedł, lecz Artur – choć o milisekundę – nie zdążył.

– Skąd pan to ma? – spytała Fenchurch, dysząc i zgrzytając zębami.

Artur spojrzał na nią, również zazgrzytał zębami i z trudem dobywając słowa, zapytał: – Widziałas już kiedyś coś takiego?

– Oczywiście. Mam coś identycznego w domu. To znaczy miałam, bo ukradł mi Russell, by mieć w czym trzymać piłeczki do golfa. Nie mam pojęcia, skąd się wzięło, choć doskonale pamiętam, jak byłam zła, kiedy mi zabrał pojemnik. A co, też masz taką kulę?

– Tak, to znaczy...

Zauważyli jednocześnie, że Wonko Rozsądny patrzy po nich i dysząc próbuje wtrącić jakieś słowo.

– Też... coś... takiego... macie?

– Tak! – odparli chórem.

Długo i spokojnie patrzył to na jedno, to na drugie, potem uniósł kulę, by złapać w nią kalifornijskie słońce.

Naczynie zdawało się śpiewać słońcem, brzmieć zebrany światłem jak dzwon i wylewać na piasek i stojącą wokół trójkę ludzi ciemno pobłyskujące tęcze. Wonko obrócił szkło i w wygrawerowanej na powierzchni delikatnej siateczce wyraźnie pojawiły się słowa: CZEŚĆ, I DZIĘKI ZA RYBY.

– Czy wiecie, co to znaczy?

Powoli i z wielkim zdziwieniem pokręcili głowami, niemal zahipnotyzowani migotaniem błyskawicznie zmieniających się w szarym szkłe światła.

– To prezent pożegnalny od delfinów – spokojnie i cicho wyjaśnił Wonko. – Od delfinów, które kochałem i których życie studiowałem, z którymi pływałem i które karmiłem rybami. Próbowałem się nawet uczyć ich języka, co najwyraźniej specjalnie uniemożliwiały, bo wiem już, że gdyby chciały, mogłyby się bez problemu porozumieć z ludźmi. – Pokręcił głową, równocześnie się uśmiechając. Popatrzył na Fenchurch, potem na Artura. – Czy...

mogę zapytać, co zrobił pan ze swoim?

– Trzymam tam rybę – odparł Artur nieco zakłopotany. – Miałem przypadkiem rybę, nie wiedziałem, co z nią zrobić, no i... miałem pod ręką to akwarium...

– Nic więcej pan z nim nie robił? Oczywiście, gdyby pan zrobił coś więcej, to by pan wiedział. – Pokręcił głową. – Moja żona trzymała tu kielki pszenicy. Do wczoraj...

– A co zdarzyło się wczoraj wieczór? – cichutko i powoli spytał Artur.

– Kielki się skończyły i poszła po nowe. – Zamilkł i zagłębił się w swój własny świat.

– I co dalej? – zapytała Fenchurch.

– Umyłem akwarium. Zrobiłem to bardzo dokładnie. Usunąłem każdy ślad po kielkach, potem zacząłem wycierać akwarium czystą ściereczką, powoli i dokładnie, cały czas nim obracając. Potem przytknąłem szkło do ucha. Przytykaliście... przytykaliście do swoich ucho?

Oboje pokręcili głowami. Powoli, w milczeniu.

– Może powinniście...

Rozdział 32

Potężny huk oceanu.

Kipiel fal bijących o brzegi dalsze, niż jest w stanie sięgnąć umysł.

Bezgłośnie grzmoty wodnych głębi.

Wydobywające się z otchłani głosniegłosy, dźwięczne pomruki, strzępy słów, nie do końca wyrażone, złożone z myśli pieśni.

Pozdrowienia, fale pozdrowień, przemieniające się w bełkot, pełne niwelujących się nawzajem słów.

Burza żalu, uderzająca o każdy morski brzeg ziemi.

Bijące o brzegi fale radości. Gdzie? W świecie odnalezionym w niewiarygodny sposób, dokąd dotarto w niewiarygodny sposób; świecie niewiarygodnie mokrym, będącym jedną wielką pieśnią wody.

Wybuch fugi głosów, larum wyjaśnień o nieuniknionej katastrofie, skazanym na zagładzie świecie. Znow kipieli słów – fala bezradności, atak rozpaczy. Upadek, szybko cichnący upadek.

Nagła erupcja nadziei, odnalezienie w płataninie poskręcanego czasu Ziemi – cienia prawdziwej Ziemi, ukrytych czasoprzestrzeni. Przyciąganie, potężne przyciąganie podobieństw, kłębowisko zapалу, rozprysnięcie, podział, zniknięcie. Wstawienie nowej, zastępczej Ziemi na miejsce starej. Ziemi bez delfinów.

Rozlegający się wyraźnie głos.

To akwarium zostało ci подарowane w ramach kampanii ratowania ludzkości. Śegnajcie.

Na koniec odgłos cicho chichoczących, drugich, ciężkich, idealnie szarych korpusów, znikających w nieznanych, niezbadanych głębinach.

Rozdział 33

Tego wieczora siedzieli poza domem wariatów i oglądali transmisje telewizyjne z jego wnętrza.

– Chciałbym, byście to obejrżeli – mówił Wonko Rozsądny, kiedy nadawano kolejne wiadomości. – To mój stary kolega. Siedzi w waszym kraju i prowadzi badania. Popatrzcie.

Pokazywano konferencję prasową.

– Obawiam się, że nie mogę w tej chwili zająć jednoznacznego stanowiska w sprawie poprawności określenia Bóg Deszczu. Określamy tego człowieka mianem „spontanicznego paraprzyczynowego fenomenu meteorologicznego”.

– Mógłby pan powiedzieć, co to oznacza?

– Bądźmy uczciwi – nie jestem do końca pewien. Kiedy odkrywamy coś, czego nie rozumiemy, dajemy zjawisku nazwę, której nie rozumiemy albo nie są w stanie wymówić dziennikarze. Chcę powiedzieć, że jeśli pozwolilibyśmy wam biegać po mieście i mówić na niego Bóg Deszczu, mogłoby to sugerować, że wiecie coś, czego my nie wiemy, a nie wolno nam do tego dopuścić. Dlatego musimy na początek nadać nazwę, która nie pozostawia wątpliwości, że jest nie wasz, ale nasz, potem możemy zacząć szukać czegoś, co by udowodniło, że nie jest tym, co wyście twierdzili, lecz tym, co twierdził my. Gdyby mimo wszystko okazało się, że macie rację, dalej nie mielibyście racji, ponieważ zmienilibyśmy nazwę z „paranormalny” albo „supernaturalny”, które to określenia już byście rozumieli, na... na przykład „supernormalny różnicowy induktor wytrącania”. Być może, ot tylko dla własnej ochrony, wtrąciłibyśmy gdzieś jeszcze słówko „pseudo”. Bóg Deszczu! W życiu nie słyszałem większej bzdury! Nikt nie przyłapie mnie na spędzaniu z nim wakacji.

Dziękuję, to na razie wszystko, pozostaje mi jeszcze pozdrowić krótkim „hej!” Wonko, jeśli nas ogląda.

Rozdział 34

Kiedy lecieli do domu, w samolocie siedziała obok nich pewna dama, która dość dziwnie im się przyglądała.

Rozmawiali szeptem.

– Ciągłe jeszcze nie wiem wszystkiego – mówiła Fenchurch – i mam poważne podejrzenia, że wiesz o czymś, czego nie chcesz zdradzić.

Artur westchnął i wyciągnął z kieszeni kawałek papieru.

– Masz ołówek? – spytał.

Fenchurch poszukała w torebce i wyjęła ołówek.

– Co zamierzasz, kochanie? – spytała po dwudziestu minutach, które Artur spędził marszcząc czoło, gryząc ołówek, skrobiąc nim po papierze, coś skreślając, znów coś rysując, ponownie gryząc ołówek i nerwowo pomrukując.

– Próbuję przypomnieć sobie pewien adres.

– Twoje życie byłoby znacznie prostsze, gdybyś miał notatnik.

W końcu podał jej kartkę.

– Dobrze ją schowaj – powiedział.

Popatrzyła na kartkę. Wśród kresek i krzyżyków było napisane: GÓRY QUENTULUS QUAZGAR. KRAINA SEVORBEUPSTRY. PLANETA PRELIUMTARN. SŁOŃCE ZARSS. SEKTOR GALAKTYCZNY QQ7 AKTIV J GAMMA.

– I co tam się znajduje?

– Prawdopodobnie tam właśnie znajduje się ostateczne przesłanie Boga do jego stworzenia.

– Brzmi nieźle. Jak tam dotrzemy?

– Naprawdę chcesz...?

– Oczywiście – odparła zdecydowanie Fenchurch. – Naprawdę chcę się tego dowiedzieć.

Artur popatrzył przez podrapane pleksiglasowe okienko.

– Przepraszam – odezwała się nagle siedząca obok dama. – Mam nadzieję, że nie potraktują państwo tego jako niegrzeczność, ale strasznie się nudzę w czasie długich lotów i cieszy mnie każda możliwość rozmowy. Nazywam się Enid Kapelsen i mieszkam w Bostonie. Przepraszam, często państwo latają?

Rozdział 35

Pojechali do Artura, wepchnęli do torby kilka ręczników i innych rzeczy i usiedli, by robić to, co każdemu międzygwiazdnemu autostopowiczowi zabiera najwięcej czasu.

Zaczęli czekać, aż nadleci latający talerz.

– Pewien mój przyjaciel czekał piętnaście lat – powiedział któregoś wieczora Artur, kiedy siedzieli zrozpaczeni i obserwowali puste niebo.

– Kto?

– Nazywa się Ford Prefect. – Artur przyłapał się na tym, że robi coś, czego spodziewał się nie robić nigdy więcej.

Zastanawiał się, gdzie może być Ford.

Dziwnym zbiegiem okoliczności następnego dnia w prasie pojawiły się dwie informacje: o przedziwnym zdarzeniu z latającym talerzem i o wielu gorszących bójkach w pubach.

Kolejnego dnia zjawił się Ford Prefect. Był potwornie skacowany i natychmiast zaczął złorzeczyć, że Artur nie odbiera telefonu.

Wyglądał naprawdę źle. Określenie, że wyglądał, jakby przeciągnięto go przez kolczaste krzewy, było zbyt słabe – wyglądał, jakby przeciągnięto go razem z krzewami przez snopowiązałkę. Wtoczył się do salonu Artura jak pijany i machając rękami, zaczął odrzucać

propozycje jakiegokolwiek pomocy, było to zaś dużym błędem, ponieważ machanie natychmiast wytrąciło go z równowagi i runął jak długi. Artur zawlókł go na kanapę.

– Dziękuję – wydyszał Ford. – Wielkie dzięki. Czy wyobrażasz sobie... – powiedział i zapadł na trzy godziny w głęboki sen. – ...jak ciężko jest się włączyć w brytyjski system telefoniczny z Plejad? – kontynuował, nagle się obudziwszy. – Widzę, że nie masz pojęcia, więc ci opowiem, ale dopiero przy wielkim dzbanku czarnej kawy, który właśnie zamierzasz mi zaparzyć. – Zataczając się, poszedł za Arturem do kuchni. – Te głupawe panienki z centrali ciągle chcą wiedzieć, skąd się dzwoni, ale kiedy im się mówi, że z Letchworth, odpowiadają, że na tej linii to niemożliwe. Co robisz?

– Parzę ci kawę.

– O! – Ford wyglądał na rozczarowanego. Rozglądał się bezradnie po kuchni. – Co to?

– Batony z prasowanego ryżu dmuchanego.

– A to?

– Papryka.

– Rozumiem – odparł Ford i odłożył oba produkty, kładąc jeden na drugim. Konstrukcja nie chciała zachować równowagi, położył więc drugi na pierwszym, co wyszło znacznie lepiej. – Jestem trochę oszołomiony wszechświatem – wyjaśnił. – O czym to mówiłem?

– śe nie mogłeś dzwonić z Letchworth.

– Bo nie dzwoniłem, co próbowałem wyjaśnić panience. „Jeśli pani bardzo na tym zależy, zapomnijmy o Letchworth – powiedziałem. – W rzeczywistości dzwonię ze statku rozpoznania handlowego cybernetycznej korporacji Syriusza, pokonującego właśnie z prędkością podświetlną odcinek między planetami, znanymi może niekoniecznie drogiej pani osobiście, ale na waszej planecie jako...”. Powiedziałem do niej „drogiej pani” – wyjaśnił Ford – ponieważ nie chciałem obrazić jej swą prawdziwą opinią, że jest niedouczoną kretynką...

– Bardzo taktownie... – przyznał Artur.

– Zgadza się. Taktownie. – Ford zmarszczył czoło. – Choroba przestrzenna robi bardzo źle na tworzenie zdań podrzędnych. Musisz mi pomóc i przypomnieć, co właśnie powiedziałem.

– ...między planetami, znanymi może niekoniecznie drogiej pani osobiście, ale na waszej planecie jako...

– Plejada Epsilon i Plejada Zeta – triumfująco zakończył Ford. – Takie wygłupy to coś wspaniałego, nie?

– Napij się kawy.

– Dziękuję, nie mam ochoty. „Powodem, dla którego zawracam pani głowę – próbowałem jej wyjaśniać dalej – a nie łączę się przez centralę automatyczną, choć mogę zapewnić, że mamy tu na Plejadach wymyślny system telekomunikacyjny, jest tylko i wyłącznie to, że ten skąpy sukinsyn gwiazdny, pilotujący ten sukinsynogwiazdny statek, upiera się przy tym, bym rozmawiał na koszt odbiorcy. Nadąża pani?”.

– I nadążała?

– Nie wiem. Nim skończyłem, odłożyła słuchawkę. Ba! Wiesz – zapytał gorączkowo – co zrobiłem potem?

– Nie mam pojęcia, Ford.

– Szkoda – rzekł Ford – miałem nadzieję, że mi przypomnisz. Naprawdę nienawidzę takich typków jak on. To śmieci kosmosu; pędzą po nieskończonych przestrzeniach w swoich rozwalających się stateczkach, które nigdy porządnie nie działają, a jeśli, to wyczyniają nimi rzeczy, jakich nie zażądałby od statku kosmicznego nikt o zdrowych zmysłach – dodał ponuro. – W dodatku, kiedy zrobią swoje, robią „pip”.

Była to całkowita prawda, zgodna z reprezentowanymi przez szanowanych obywateli

poglądami. To, że ci, którzy reprezentują te poglądy są szanowanymi obywatelami, można poznać głównie po tym, że reprezentują takie właśnie poglądy.

Przewodnik Autostopem przez Galaktykę w jednym z niewielu przeblysków jasności umysłu, właściwie jedynym na jego pięciu milionach dziewięćset siedemdziesięciu pięciu tysiącach pięciuset dziewięciu stronach, oświadcza na temat wyrobów cybernetycznej korporacji Syriusza, co następuje: Z zadowolenia, że udało się któryś uruchomić, niezwykle łatwo zapomnieć o ich generalnej bezużyteczności. Innymi słowy: sukces, jaki cybernetyczna korporacja Syriusza osiągnęła w Galaktyce, opiera się na tym, że zasadnicze błędy konstrukcyjne jej wyrobów są całkowicie tuszowane przez niedostatki form zewnętrznych.

– Facet leciał, by sprzedać jeszcze więcej tego chłamu! – ekscytował się Ford. – Miał pięcioletni kontrakt na szukanie planet, odkrywanie ich i sprzedaż do restauracji, wind i winiarni „nowoczesnych systemów pseudomuzycznych!” Jeśli na planecie nie było restauracji, wind ani winiarni, miał sztucznie przyspieszać rozwój cywilizacyjny, aż sobie parę, do diabła, zbudują! Gdzie kawa?

– Wylałem.

– Zrób nową. Przypomniałem sobie, co potem zrobiłem. Uratowałem cywilizację.

Wiedziałem, że to było coś w tym rodzaju... – Potykając się, pomaszerował z determinacją do salonu. Tam dalej zajmował się gadaniem do siebie, przewracaniem o meble i wydawaniem dźwięku „pippippip”.

Parę minut później Artur, przybrawszy niezwykle pokojową minę, też wszedł do salonu.

Ford spojrzał na niego z najwyższym zdumieniem.

– Gdzie byłeś?

– Robiłem kawę. – Artur w dalszym ciągu patrzył niezwykle pokojowo. Już dawno zrozumiał, że jedyną metodą radzenia sobie z Fordem jest posiadanie sporego zapasu pokojowych min i stałe ich przybieranie.

– Straciłeś najlepsze! – wrzasnął Ford. – Straciłeś moment, jak załatwiłem gościa! Teraz muszę jeszcze raz się na niego rzucić i go załatwić! – Padł na krzesło i złamał je. – Poprzednim razem – rzekł ponuro – było lepiej. – Pomachał w kierunku stojącego na stole złamanego krzesła.

– Rozumiem – odparł Artur, rzucając pokojowe spojrzenie na szczątki. – Hm, po co ten łód?

– Co? – zawył Ford. – Śe jak?! Tego też nie słyszałeś? To komora hibernacyjna.

Wsadziłem go do komory hibernacyjnej. Chyba musialem, nie?

– Na to wygląda – odparł Artur pokojowo.

– Nie dotykaj tego!!! – zawył Ford.

Artur, który właśnie zamierzał odłożyć słuchawkę, z tajemniczego powodu leżącą nie na widelkach, lecz na stole, zatrzymał się posłusznie.

– Niech będzie, posłuchaj. – Ford nieco się uspokoił.

Artur przyłożył słuchawkę do ucha.

– Zegarynka – stwierdził.

– Pip pip pip. Słysząc w każdym zakątku statku faceta, śpiącego w lodzie i krążącego powoli wokół mało znanego księżycy Sesefras Magna! Londyńską zegarynkę!

– Rozumiem – powiedział Artur, uznając, że czas zadać podstawowe pytanie. –

Dlaczego? – Zadał je pokojowo.

– Jeśli szczęście dopisze, zbankrutuje z powodu rachunku telefonicznego! – Ford spocony opadł na kanapę. – Nie uważasz, że to dramatyczne?

Rozdział 36

Latający talerz, w którym Ford Prefect przyleciał jako pasażer na gapę, wywołał na Ziemi sensację.

Nareszcie nie było wątpliwości, pomyłka była wykluczona, nie były to halucynacje, nie znajdowano w sztucznych jeziorach tajemniczych agentów CIA.

Tym razem wszystko było realne, jednoznaczne. Jednoznacznie jednoznaczne.

Talerz zniżył się, ignorując w zadziwiający sposób wszystko pod sobą, i zmiażdżył sporo najdroższych na świecie nieruchomości, między innymi znaczną część domu towarowego „Harrodsa”.

Maszyna była ogromna, miała średnicę około półtora kilometra (tak przynajmniej niektórzy twierdzą), była srebrnomatowa, poobijana, osmalona i pokryta bliznami niezliczonych koszmarnych bitew kosmicznych, prowadzonych z użyciem okrutnych energii w okolicach słońc, o których nigdy nie słyszano na Ziemi.

Otworzyła się kłapa luku, przeleciała z hukiem przez halę z produktami żywnościowymi „Harrodsa”, zrównała z ziemią budynek „Harveya Nichollsa” i z końcowym zgrzytliwym jękiem torturowanej architektury przewróciła hotel „Sheraton Park Tower”. Po długim, zatykającym dech w piersiach łomocie i przetaczaniu w środku statku jakichś urządzeń, ze środka wymaszerował olbrzymi srebrny, może trzydziestometrowy robot. Ruszył w dół rampy.

Po kilku metrach podniósł prawą rękę.

– Przybywam w przyjaznych zamiarach – oznajmił. Po długim zgrzytaniu dodał: – Zaprowadźcie mnie do waszej Jaszczurki.

Ford Prefect miał na wszystko wyjaśnienie. Siedział u Artura i oglądał w telewizji wiadomości, nadawane non stop, choć reporterzy nie mieli do powiedzenia wiele więcej od tego, że statek spowodował szkody na niewyobrażalną sumę bilionów funtów i zabił ogromną liczbę ludzi. Potem, ponieważ robot nie robił nic innego poza staniem, kiwaniem się lekko na boki i wydawaniem z siebie krótkich, niezrozumiałych komunikatów, powtarzali wszystko od nowa.

– Wiesz, przybywa z bardzo starej demokracji...

– Chcesz powiedzieć, z planety jaszczurek?

– Nie – odparł Ford, który po wmuszeniu w niego kawy odzyskał trochę rozumu i gadał nieco logiczniej – to nie takie proste. Nie aż tak proste. Na jego planecie ludzie są ludźmi.

Jaszczurki rządzą. Ludzie nienawidzą jaszczurek, ale jaszczurki rządzą.

– Dziwne. Zdawało mi się, że mówiłeś coś o demokracji.

– Tak powiedziałem, bo tak jest.

– Dlaczego więc – Artur miał nadzieję, że nie zabrzmi to całkowicie głupio – ludzie nie pozbędą się jaszczurek?

– Prawdę mówiąc, nie wpada im to do głowy. Każdy ma prawo wyborcze, zakładają więc, że wybrany przez nich rząd jest zbliżony do tego, jaki chcą mieć.

– Chcesz powiedzieć, że wybierają jaszczurki?

– Oczywiście. Jak najbardziej.

– Ale... dlaczego?

– Ponieważ gdyby nie wybrali jaszczurek, do złoju mogłyby się dorwać nieodpowiednie jaszczurki. Masz gin?

– Co?

– Pytałem – w ton głosu Forda wkradała się coraz bardziej natrętność – czy masz gin.

– Sprawdź. Powiedz coś jeszcze o jaszczurkach.

Ford wzruszył ramionami.

– Niektórzy twierdzą, że nie ma lepszego wyboru od jaszczurek. Oczywiście w pełni i całkowicie się mylą, ale ktoś musi tak mówić...

– To straszne – uznał Artur.

– Słuchaj – wtrącił Ford – gdybym za każdym razem, kiedy słyszę, jak jedna część wszechświata mówi o innej „to straszne”, dostawał altairkańskiego dolara, nie siedziałbym tu jak tęskniący za ginem cytryna. Nie mam jednak dolarów i tęsknię. Za czym ty się właściwie rozglądasz takim błogim spojrzeniem? Zakochałeś się?

Artur przyznał, że tak. Powiedział to bardzo spokojnie.

– W kimś, kto wie, gdzie jest flacha z ginem? Przedstawisz ją kiedyś?

Nastąpiło to natychmiast, ponieważ Fenchurch weszła z naręczem kupionych w miasteczku gazet. Stała jak wryta, zaskoczona ruinami mebli na stole oraz pochodzącą z Betelgeuse ruiną na kanapie.

– Gdzie masz gin? – spytał Ford Fenchurch. Do Artura dorzucił: – Co się stało z Trillian?

– Eee, to jest Fenchurch – przedstawił zakłopotany Artur. – Przecież nic nie miałem z Trillian, poza tym ty musiałeś ją widzieć ostatni.

– Oczywiście – zgodził się Ford. – Zwiła z Zaphodem. Mają parę dzieciaków czy coś w tym rodzaju... tak mi się wydaje. Wiesz, Zaphod bardzo się ustatkował.

– Naprawdę? – spytał Artur, kręcąc się wokół Fenchurch, by oswobodzić ją z zakupów.

– Wiesz, przynajmniej jedna z jego głów ma teraz trochę więcej rozumu od naćpanego LSD strusia.

– Arturze, kto to? – spytała Fenchurch.

– Ford Prefect. Kiedyś chyba o nim wspominałem.

Rozdział 37

Trzy dni i noce olbrzymi robot stał na szeroko rozstawionych nogach nad ruinami przy moście Knightsbridge, lekko się chwiejąc i próbując wyliczyć to i owo.

Przyjeżdżały go oglądać delegacje rządowe, watahy dziennikarzy zadawały sobie nawzajem pytania, co o nim sądzić, szwadrony bombowców patetycznie próbowały go atakować, ale nie pokazała się ani jedna jaszczurka. Powoli, nieustannie omiatał wzrokiem horyzont.

Najefektowniej prezentował się w nocy, oświetlany reflektorami ekip telewizyjnych, informujących nieprzerwanie o jego nieprzerwanej bezczynności.

Zastanawiał się i zastanawiał, i w końcu wpadł na pomysł.

Wyśle roboty służebne.

Powinien był pomyśleć o tym wcześniej, ale najpierw musiał sobie przecież poradzić z wieloma problemami.

Pewnego popołudnia, kłębiąc się jak przerażająca chmura metalu, ze statku wyleciała z wyciem masa niedużych robotów.

Przystąpiły do penetracji okolicy. Zaczęły wściekle atakować niektóre rzeczy, innych wściekle bronić. Jeden z robotów znalazł po pewnym czasie sklep zoologiczny z jaszczurkami, natychmiast jednak zaczął tak gwałtownie go bronić przed wrogami demokracji, że w najbliższym otoczeniu niemal zanikło życie.

Do przełomu doszło w momencie, kiedy elitarny szwadron latających producentów hałasu odkrył zoo w Regent's Parku, a zwłaszcza dział gadów.

Latające wiertarki i piły, nauczone nieco ostrożności w sklepie zoologicznym, sprowadziły żywcem przed oblicze wielkiego srebrnego robota kilka większych i grubszych

legwanów.

Robot natychmiast rozpoczął z nimi rozmowy na najwyższym szczeblu.

Po kilku dniach oświadczył światu, że mimo pełnej, otwartej i szerokiej wymiany poglądów, rozmowy na najwyższym szczeblu nie dały rezultatu, jaszczurki podały się do dymisji, on zaś musi jechać na wakacje i z nieznanego powodu wybrał Bournemouth.

Ford Prefect, oglądający wszystko w telewizji, skinął głową, roześmiał się i wypił kolejne piwo.

Natychmiast rozpoczęto przygotowania do odjazdu robota.

Latające skrzynki narzędziowe wyły, piłowały, wierciły i spawały dzień i noc, a rano ruszył na zachód, w dodatku wieloma ulicami równocześnie, olbrzymi, trzymający robota dźwig. Robot pełził na zachód jak dziwny korowód karnawałowy, otoczony bucącymi służącymi, helikopterami i wozami transmisyjnymi; przebijał się przez teren jak frez, by w końcu dotrzeć do Boumemouth, gdzie wyzwoliwszy się powoli z okowów zabezpieczeń transportowych, poszedł na plażę i położył się na dziesięć dni.

Była to najbardziej ekscytująca rzecz, jaka kiedykolwiek zdarzyła się w Boumemouth.

Dzień w dzień przy strzeżonej linii, wyznaczonej jako teren wypoczynkowy robota, zbierali się ludzie, próbując dojrzeć, co robi. Nie robił nic. Leżał na piasku – dość nieporadnie na brzuchu. Pewnemu dziennikarzowi z lokalnej gazety udało się pewnego wieczora to, co dotychczas nie udało się nikomu na świecie, mianowicie przeprowadzić rozmowę z jednym z pilnujących ograniczającej linii robotów służebnych.

Był to niezwykle przełom.

– Uważam, że można by z tego zrobić artykuł – oznajmił dziennikarz konfidencko przy papierosku, którym dzielił się z robotem przez płot – ale brak lokalnego kontekstu.

Zrobiłem krótką listę pytań – dodał, wyciągając kartkę z kieszeni – i może uda ci się go czy to, czy jak tam nazywacie robota, namówić, by ją sobie przeczytał.

Latający śrubokręt obiecał zrobić, co się da, i odleciał z wyciem.

Odpowiedź nie nadeszła nigdy, ale w dziwny sposób pytania na kartce mniej więcej odpowiadały temu, co od pewnego czasu snuło się po masywnych, źle zabliźnionych układach scalonych w mózgu robota. Brzmiały zaś następująco: „Jak się czujesz, będąc robotem?” „Jak się czujesz jako kosmita?” „Jak ci się podoba Boumemouth?”. Następnego ranka zaczęto się pakować i w ciągu kilku dni było jasne, że robot zamierza opuścić Boumemouth na zawsze.

– Pytanie brzmi – powiedziała Fenchurch do Forda – czy będziesz w stanie przemycić nas na pokład.

Ford nerwowo spojrział na zegarek.

– Muszę się najpierw zająć pewną nie załatwioną sprawą.

Rozdział 38

Tłum zbliżył się do olbrzymiego srebrnego statku najbliżej, jak mógł, a nie było to blisko.

Statek otoczono płotem pilnowanym przez gęsty kordon maleńkich latających robotów służebnych. Tuż za kręgiem robotów ulokowało się wojsko, któremu za nic nie udało się przebić przez roboty, ale które prędzej cholera weźmie, niż kogoś przepuści. Wojsko było otoczone kordonem policji, nie było jednak jasne, czy po to, by chronić wojsko przed ludźmi, ludzi przed wojskiem, zagwarantować immunitet dyplomatyczny statku czy uchronić go przed mandatem za złe parkowanie. Burzliwie nad tym dyskutowano.

Powoli rozbierano otaczający statek płot. Wojsko zachowywało się nerwowo, niezbyt

bowiem wiedziało, jak zareagować na fakt, że znika powód ich obecności.

Olbrzymi robot wszedł w południe do statku i choć mijała właśnie piąta ani razu go od tego momentu nie widziano. Było za to wiele słychać – we wnętrzu zgrzytało i łomotało, rozlegała się symfonia milionów okropnych dźwięków, świadczących o wadliwym funkcjonowaniu różnych mechanizmów. Napięcie w tłumie brało się z rozczarowania. W ich życie wkroczyła tak piękna, niezwykła rzecz, a teraz zamierzała odlecieć!

Dwoje ludzi odczuwało to szczególnie mocno. Fenchurch i Artur wypatrywali oczy, nie byli jednak w stanie dostrzec ani Forda Prefecta, ani jakiegokolwiek znaku, że zamierza przybyć.

– Czy można na nim polegać? – spytała Fenchurch.

– Polegać? – Artur parsknął pustym śmiechem. – Czy ocean jest płytki? Czy słońce jest zimne?

Wniesiono na statek ostatnie fragmenty dźwigu, za pomocą którego robot się poruszał, resztki płotu ochronnego leżały ułożone u podnóża rampy w stertę i czekały na wniesienie do środka. Pilnujący rampy żołnierze przyjęli demonstracyjnie militarną postawę, raz za razem wykrzykiwano jakiś rozkaz, prowadzono nerwowe konsultacje, ale nie miało to oczywiście najmniejszego wpływu na sytuację.

Artur i Fenchurch pchali się przez tłum do przodu bez nadziei i bez planu, ale ponieważ tłum też próbował przepychać się do przodu, nic im to nie dawało.

Po kilku minutach przed statkiem nic już nie leżało, najmniejszy fragmencik płotu był już na pokładzie. Kilka latających pił i poziomic przeprowadzały ostatnią kontrolę terenu, potem także i one wleciały przez olbrzymi luk do środka.

Minęło kilka sekund.

Płynące ze środka odgłosy mechanicznego chaosu to się nasilały, to słabły, w końcu olbrzymia rampa zaczęła się powoli i ociężale unosić spomiędzy resztek działu spożywczego „Harrodsa”. Towarzyszył temu odgłos oddechów tysięcy napiętych, podekscytowanych, całkowicie ignorowanych ludzi.

– Stać!

Wrzask rozległ się przez megafon, wystawiony przez okno taksówki, która zatrzymała się z piskiem opon na skraju kłębówiska ludzi.

– Nastąpiło włamanie! – wrzeszczał megafon. – Ważny naukowy włam! Wyłom! Nie – przełom! – poprawił się natychmiast. Z hukiem otworzyły się drzwi taksówki i wyskoczyła z niej ubrana w biały kitel postać, pochodząca z okolic Betelgeuse. – Stać! – wrzasnęła ponownie, machając krótką, czarną pałką z różnokolorowymi lampkami.

Lampki krótko mignęły i rampa, słuchając rozkazów Kciuka, znieruchomiała, potem zaczęła się powoli i ze zgrzytem opuszczać. (Należałoby może w tym miejscu dodać, że połowa inżynierów elektroników w Galaktyce nieustająco się zastanawia, jak zablokować działanie Kciuka, a druga połowa nieustająco się zastanawia, jak zablokować sygnały blokujące.) Ford Prefect trzymał tuż przy ustach megafon i krzyczał do tłumu.

– Rozejść się! Proszę się rozejść, to wielki przełom w nauce! Pan i pani, proszę przynieść z taksówki mój sprzęt! – Zupełnie przypadkowo wskazał na Artura i Fenchurch, którzy wyskoczyli z tłumu i stanęli przy samochodzie. – Doskonale, proszę zrobić przejście, żebyśmy mogli przenieść kilka przyrządów naukowych! Spokojnie! Panujemy nad wszystkim, nie ma nic do oglądania. To jedynie znaczący przełom w nauce. Proszę o spokój.

Ważne przyrządy naukowe. Proszę się rozejść!

Głodny nowej podniety i zachwycony nagłym odsunięciem momentu rozczarowania, tłum rozsunał się z zachwytem i zaczął robić przejście.

Artur, ujrzawszy napisy na leżących na tylnym siedzeniu taksówki skrzynkach z ważnym

sprzętem naukowym, był zaskoczony.

– Zawieś na tym płaszcz – szepnął do Fenchurch, kiedy zaczął wyjmować i podawać jej skrzynki. Gwałtownym szarpnięciem wyciągnął wózek na zakupy, wciśnięty na tylnym siedzeniu. Wózek przewrócił się, ale szybko go postawili i zaczęli ładować do środka skrzynki.

– Proszę się rozstąpić – powtarzał Ford. – Wszystko znajduje się pod dokładną naukową kontrolą.

– Powiedział, że pan zapłaci – odezwał się taksówkarz do Artura, który wyciągnął na to kilka banknotów. W oddali słychać było syreny policyjne.

– Proszę tędy, to nikt nie zostanie raniony – mówił Ford.

Tłum falował, przejście natychmiast się zamykało. Z wielkim pośpiechem ciągnęli popiskujący wózek w kierunku rampy. Pod kółkami skrzypiał żwir.

– Wszystko jest w porządku! – nieustająco wrzeszczał Ford. – Nie ma nic do oglądania, już po wszystkim! Nic z tego nie wydarza się naprawdę!

– Proszę się rozstąpić! – wrzasnął nagle policyjny megafon do tłumu. – Zgłoszono włamanie przez wyłom, proszę się rozstąpić!

– Przełom! – przekrzykiwał policję Ford. – Naukowy przełom!

– Tu policja! Proszę się rozstąpić!

– Sprzęt naukowy! Proszę się rozstąpić!

– Policja! Proszę nas przepuścić!

– Walkmeny! – wrzasnął Ford, wyciągając z kieszeni kilka walkmenów i rzucając je w tłum. Kilkadziesiąt sekund całkowitego chaosu pozwoliło dopchnąć wózek do statku i wciągnąć go na rampę.

– Trzymajcie się – szepnął Ford, zwalniając na elektronicznym kciuku jakiś przycisk.

Olbrzymia rampa zaczęła się powoli zamykać. – Dobra, dzieciaki – dodał, kiedy tłum się cofnął, oni zaś ruszyli do środka statku – wygląda na to, że zabawa się zaczyna.

Rozdział 39

Artur Dent był wściekły, ponieważ ciągle budził go odgłos kanonady.

Ostrożnie, by nie obudzić Fenchurch, której mimo to udawało się niespokojnie spać, wyszedł z luku inspekcyjnego przerobionego na koję, zsunął się na dół po szczeblach drabinki i posępny ruszył przed siebie. Korytarze były ciasne i źle oświetlone. Światła buczały denerwująco.

To nie było to.

Kiedy tuż nad nim z obrzydliwym skowytem śmignęła ręczna wiertarka, Artur stanął i oparł się o ścianę. Wiertarka zniknęła w mrocznym korytarzu, obijając się o ściany jak rozdrażniona osa.

To też nie było to.

Przecisnął się przez luk między sekcjami i wszedł do nieco szerszego korytarza.

Z głębi napływał żrący dym, Artur poszedł więc w innym kierunku.

Doszedł do monitora kontrolnego, wpuszczonego w ścianę i osłoniętego płytą utwardzanego, a mimo to bardzo podrapanego pleksiglasu.

– Mógłbyś to trochę ściszyć? – spytał Forda siedzącego wśród kaset wideo, które po rzuceniu w szybę cegielką ukradł z wystawy sklepu na Tottenham Court Road. Między kasetami poniewierały się nieprzebrane ilości puszek po piwie.

– Ciiiiii! – syknął Ford, wpatrując się ze skupieniem szaleńca w ekran. Oglądał Siedmiu

wspaniałych.

– Tylko troszkę.

– Nie! – wrzasnął Ford. – Teraz będzie najlepszy kawałek! Słuchaj, nareszcie wszystko dobrałem – natężenie prądu, synchronizację poziomą, wszystko i zaraz będzie najlepszy kawałek! Artur z westchnieniem usiadł obok i obejrzał najlepszy kawałek. Bolała go głowa.

Słuchał okrzyków, wrzasków i zawołań „juuuu” najspokojniej, jak tylko umiał.

– Ford – powiedział, kiedy film się skończył, a Ford zaczął przeglądać stertę kaset, szukając Casablanki. – Jak to się dzieje, że...

– To jest bomba! – przerwał mu Ford. – Po to wróciłem! Wiesz, że nigdy nie obejrzałem go do końca? Nigdy nie widziałem końca! Oglądałem go w wieczór przed przylotem Vogonów, ale nie zdążyłem obejrzeć do końca. Kiedy wysadzili Ziemię, pomyślałem, że już nigdy go nie obejrzę.

– Cóż, takie jest życie – oznajmił Artur, wyciągając z kartonu piwo.

– No tak... Od razu pomyślałem, że powiesz coś w tym stylu. Wolę filmy – powiedział, kiedy na ekranie pojawił się bar Ricka. – Jak to się dzieje, że co?

– Co?

– Zacząłeś mówić: „Jak to się dzieje, że...”.

– Jak to się dzieje, że masz taką złą opinię o Ziemi, a mimo to... ach, dajmy sobie spokój i obejrzyjmy film.

– Masz rację.

Rozdział 40

Zostało już niewiele do opowiedzenia.

Za krainą, znaną do momentu odkrycia Szarych Dóbr Lennych Saxaquine jako Bezgraniczne Pola Świetlne Flanax, znajdują się Szare Dobra Lenne Saxaquine.

W środku Szarych Dóbr Lennych Saxaquine znajduje się słońce Zarss, wokół którego krąży planeta Preliumtarn. Leży na niej kraina Sevorbeupstry i właśnie tu w końcu dostali się, zmęczeni podróżą, Artur i Fenchurch.

W krainie Sevorbeupstry dotarli do Wielkiej Czerwonej Równiny Rars, otoczonej od południa przez góry Quentulus Quazgar, na szczytach których – jeśli wierzyć zamierającym słowom Praka – znajduje się napisane dziesięciometrowymi płonącymi literami ostateczne przesłanie Boga do jego stworzenia.

Jeśli Artura nie zawodziła pamięć, Prak twierdził, że miejsce jest strzeżone przez Lajestyczną Vantramuszlę z Lob. Okazało się to prawdą. Był to nieduży człowieczek w śmiesznym kapeluszu, który sprzedał im bilety wstępu.

– Proszę trzymać się lewej strony – powiedział. – Proszę trzymać się lewej strony – powtórzył i popędził w dal na niewielkim skuterze.

Stwierdzili, że nie są pierwsi, ponieważ prowadząca wokół Wielkiej Czerwonej Równiny ścieżka była dobrze wydeptana i obstawiona kioskami. W jednym z nich kupili paczkę karmelków, wypalanych w górskiej jaskini, w piecu ogrzewanym ogniem liter ostatecznego przesłania Boga do jego stworzenia.

W innym kiosku kupili parę widokówek. Litery przesłania zostały na nich zamalowane rozpylaczem, by – jak napisano z tyłu widokówki – „nie zepsuć Państwu niespodzianki!”.

– Wie pani, jak brzmi przesłanie? – spytała pomarszczonej damy w kiosku.

– Oj tak! – pisnęła żwawo. – Oj tak! – i machnęła, by szli dalej.

Choć mniej więcej co dwadzieścia kilometrów stały chatki z kamienia z prysznicami i toaletami, droga była męcząca. Stojące wysoko na niebie słońce paliło Wielką Czerwoną Równinę, która aż migotała od ruchu parnego powietrza.

– Czy można – spytał Artur przy jednym z większych kiosków – wypożyczyć skuter? Taki, jaki miał ten Lajestyczny Vantracośtam?

– Skuterki – odparła drobna kobieta sprzedająca lody – nie są dla wiernych.

– No to nie ma sprawy – ucieszyła się Fenchurch. – Nie jesteśmy szczególnie wierzący. Jesteśmy jedynie ciekawscy.

– W takim razie musicie państwo natychmiast wracać – oświadczyła surowo kobieta, kiedy zaś zaczęli protestować, sprzedała im dwa kapelusze przeciwsłoneczne i zdjęcie, pokazujące ich, objętych i mocno przytulonych, na Wielkiej Czerwonej Równinie Rars.

W cieniu kiosku wypili po szklance wody sodowej, potem ciężkim krokiem wyszli ponownie na słońce.

– Kończy się nam krem do opalania – poinformowała Fenchurch po kilku następnych kilometrach. – Możemy iść do następnego kiosku albo wrócić do poprzedniego. To bliżej, ale oznaczałoby konieczność ponownego pokonania tej samej drogi.

Spojrzeni na daleką czarną plamę, migoczącą w parnym powietrzu, spojrzeli za siebie. Postanowili iść do przodu.

Stwierdzili w tym momencie, że nie tylko nie są jedynymi, którzy podjęli wędrowkę, ale też nie jedynymi, którzy wędrują właśnie teraz. Kawalek drogi przed nimi w łamiący serce sposób wlokła się po ziemi toporna, niewysoka postać. Brnęła do przodu, potykając się za każdym krokiem, powoli, wpół kuśtykając, wpół się czołgając. Postać poruszała się tak powoli, że wkrótce ją dogonili. Była istną kupą starego pogiętego i poobijanego żelastwa.

Kiedy podeszli, żelastwo westchnęło i padło bez sił prosto w gorący, suchy pył.

– Tyle czasu – jęknęło – oj, ile czasu... Tyle bólu, tak wiele bólu i tyle czasu, by go znieść. Sam czas lub sam ból mógłbym może i znieść, ale razem naprawdę mnie wykańczają.

Cześć, to znowu ty?

– Marvin? – spytał Artur dość ostro, kucając przy robocie. – To naprawdę ty?

– Zawsze byłeś specjalistą od superinteligentnych pytań – wydobył się z postarzałego robota jęk.

– Co to jest? – szepnęła Fenchurch przerażona i kucnęła obok Artura, przytrzymując się jego ramienia.

– Coś na kształt starego przyjaciela... – odparł Artur.

– Przyjaciela! – wycharczał pełnym skargi głosem robot. Słowo zakończył metalicznym klekotem, a z ust wypadło mu kilka płatków rdzy. – Wybaczcie, muszę sobie najpierw przypomnieć, co to słowo oznacza. Moje bazy danych nie są już tak dobre jak kiedyś, a każde słowo, którego nie używa się przez kilka zylionów lat, jest przekładane do peryferyjnej bazy danych. Aha, jest! – Poobijana głowa robota drgnęła w górę, jakby nad czymś myślał. – Hmm... cóż za dziwaczne pojęcie... – Myślał jeszcze chwilę. – Nie – stwierdził w końcu. – Sądzę, że jeszcze nikogo takiego nie spotkałem. Przykro mi, nic na to nie poradzę. – W dramatyczny sposób przesunął tkwiące w pyłe kolano kawałek dalej i spróbował oprzeć się na poobijanych łokciach. – Czy istnieje jakaś posługa, którą mógłbym spełnić? – spytał z głuchym grzechotem. – Może jest gdzieś kawałek papieru, który mógłbym podnieść? Może chcecie, bym otworzył drzwi? – Głowa robota, który zaczął omiatać wzrokiem okolice, skrzypiała poruszając się w zardzewiałym leżu szyi. – Najwyraźniej nie ma w okolicy żadnych drzwi, ale jestem pewien, że jeśli wystarczająco długo poczekamy, ktoś jakieś zbuduje. Wtedy – powoli obrócił głowę, by wbić wzrok w Artura – mógłbym ci je otworzyć.

Już się przyzwyczaiłem, by cię obsługiwać.

– Artur! – syknęła dość głośno Fenchurch. – Nigdy o tym nie opowiadałeś! Co zrobiłeś tej biednej istocie?

– Nic – bronił się Artur. – On tak zawsze...

– Ha! – warknął Marvin. – Ha! – powtórzył. – Co ty wiesz o „zawsze”? Mówisz „zawsze” do mnie, istoty, która z powodu idiotycznych zadań, do wykonania których wy, bioformy, przerzucacie mnie w tę i z powrotem w czasie, jest trzydzieści siedem razy starsza od wszechświata? Dobieraj słowa nieco ostrożniej – zakasłał – i z większym taktem. – Skrzecząc przebił się przez atak kaszlu. – Porzućcie mnie, idźcie sobie i zostawcie mnie samego, bym mógł się dalej wlec z wysiłkiem. W końcu mój czas nadszedł. Wkrótce wybije moja godzina. Jestem na to przygotowany – słabowicie pomachał złamanym palcem, by sobie poszli – że dotrę ostatni. To by pasowało do sytuacji. Popatrzcie na mnie, mózg wielkości...

Podnieśli robota mimo jego protestów i złorzeczeń. Metal był tak rozgrzany, że o mało nie poparzyli sobie palców, Marvin był jednak nieoczekiwanie lekki i zwiśł między nimi jak szmaciana lalka. Niosąc go między sobą, ruszyli dalej ścieżką wiodącą lewą stroną Wielkiej Czerwonej Równiny Rars ku góróm Quentulus-Quazgar.

Artur próbował wyjaśnić wszystko Fenchurch, zbyt często przerywały mu jednak smętne cybernetyczne bredzenia Marvinina. Chcieli sprawdzić, czy nie dostaną w którymś z kiosków jakichś części zamiennych i trochę oleju, by go nasmarować, robot nie chciał jednak o tym słyszeć.

– Składałem się wyłącznie z części zamiennych... – wymamrotał. – Zostawcie mnie w spokoju – jęknął. – Każda moja część była wymieniana przynajmniej pięćdziesiąt razy! Z wyjątkiem... – Na chwilę coś go rozbawiło, choć było to ledwie zauważalne. Z wysiłku, by przypomnieć sobie, co chce powiedzieć, zaczęła podskakiwać mu głowa. – Pamiętasz, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy? – zapytał w końcu Artura. – Dostałem niezwykle wyczerpujące umysłowo zadanie doprowadzenia cię na mostek. Powiedziałem wtedy, że okropnie mnie boli w diodach z dołu po lewej stronie i prosiłem o wymianę, ale nigdy tego nie zrobili. – Zamilkł. Nim ponownie przemówił, minęła spora chwila. Nieśli go między sobą, słońce paliło. – Spróbuj zgadnąć – powiedział Marvin uznawszy, że przerwa była niepokojąco długa – które moje części nie zostały nigdy wymienione? No, sprawdź, czy zgadniesz. Aua – dodał. – Aua, aua, aua, aua, aua.

W końcu dotarli do ostatniego kiosku, usiedli w cieniu z Marvinem między sobą i zaczęli odpoczywać. Fenchurch kupiła bratu spinki do mankietów z polerowanymi kamyczkami, zebranymi tuż pod ognistymi literami, jakimi napisano ostatnie przesłanie Boga do jego stworzenia.

Artur grzebał w stojącym na kontuarze stojaku z traktatami filozoficznymi i medytacyjnymi tekstami na temat znaczenia Przesłania.

– Gotowa? – spytał Fenchurch.

Dziewczyna skinęła głową.

Podnieśli Marvinina.

Wyszli zza skały u podnóża gór i ujrzeni napisane ognistymi literami na grani przesłanie.

Naprzeciwko liter, na wielkiej skale, znajdował się otoczony poręczą punkt widokowy, z którego rozpościerał się wspaniały widok. Stała tu luneta na monety, by pomóc dokładnie przestudiować napis, nikt jej jednak nie używał, litery płonęły bowiem boską jasnością Nieba i obserwowane przez okular mogłyby uszkodzić siatkówkę i nerw wzrokowy widza. Artur i Fenchurch patrzyli z zachwytem na ostatnie przesłanie Boga i powoli, w zupełnie niewyjaśniony sposób, zaczęło ich przepełniać potężne uczucie spokoju oraz ostatecznego i pełnego

zrozumienia.

Fenchurch westchnęła.

– Tak – powiedziała. – To jest to.

Minęło przynajmniej dziesięć minut, odkąd zaczęli się wpatrywać w napis, kiedy zauważyli, że Marvin ma duże kłopoty.

Robot nie był w stanie podnieść głowy i jeszcze nie przeczytał przesłania. Podnieśli mu głowę, zaczął jednak narzekać, że ma prawie całkiem zużyte obwody widzenia. Znaleźli monetę i pomogli mu podejść do lunety. Narzekał i złorzeczył, pomogli mu jednak obejrzeć każdą literę po kolei.

Pierwszą literą było P, drugą R, po nich następowały Z, E i P. Marvin przerwał, by odpocząć. Po minucie zaczęli mu pokazywać kolejne litery. R, A, potem S, Z, z kolei A, następnie M i na końcu Y. Następnym słowem było ZA. Trzecie słowo było dość długie i Marvin przed przeczytaniem musiał znów odpocząć. Słowo zaczynało się od P, potem następowało O.

Następnie widać było N i I, potem E, S, kolejne I, kolejne O, N i jeszcze jedno E. Marvin, po kolejnej przerwie, zebrał siły na finisz. Przeczytał T, R, U, następnie D, końcowe Y i zatoczył się do tyłu, wpadając w ramiona Artura i Fenchurch.

– Sądzę, że właśnie to było mi potrzebne – wymruczał z głębin rdzewiejących, klekoczących trzewi i światło w jego oczach zgasło nieodwołalnie.

Na szczęście w pobliżu był kiosk, gdzie od istot z zielonymi skrzydłami można było wynająć skuter.

Epilog

Jednym z największych dobroczyńców wszystkiego, co żyje, był osobnik, który nigdy nie umiał skoncentrować się na wykonywanej pracy.

Dobre?

Oczywiście.

Był jednym z najznakomitszych genetyków swego albo dowolnego innego pokolenia z tymi, które sam wymyślił, włącznie.

Bez wątpienia.

Problem polegał na tym, że zbytńio interesował się tym, czym nie powinien, a przynajmniej – jak mu często mówiono – nie wtedy, kiedy trzeba. Poza tym, częściowo z tego właśnie powodu, miał dość paskudny charakter.

Kiedy jego planecie zagroził atak ze strony niezwykle groźnych mieszkańców pewnej odległej planety, którzy wprawdzie znajdowali się dość daleko, ale za to szybko się zbliżali, Blart Versenwald III (nazywał się Blart Versenwald III, co dokładnie biorąc, nie miało wielkiego znaczenia, ale było ciekawe, gdyż... no cóż tak się nazywał, a o tym, dlaczego – możemy porozmawiać później) został wysłany przez swych władców do dobrze strzeżonej samotni z rozkazem wyprodukowania rasy fanatycznych wojowników, którzy mogliby stanąć agresorom naprzeciw i ich pokonać. Miał się pośpieszyć, powiedzieli, dodając: – Skup się!

Usiadł więc przy oknie, wyjrzał na letnią łąkę i zaczął się zastanawiać i zastanawiać, i zastanawiać, natychmiast jednak jego uwaga została odwrócona, a kiedy napastnicy niemal byli już na orbicie, wynalazł niezwykle rasę supermuch, umiejących bez trudu wylecieć uchylonym oknem i zaopatrzonych w wyłącznik. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że obchody uświetniające wynalezienie czegoś tak wspaniałego są skazane na szybkie zakończenie, właśnie bowiem lądowały obce statki i zaraz mogła nastąpić katastrofa. Ku ogólnemu jednak

zdziwieniu przerażający agresorzy, którzy podobnie jak i inne agresywne ludy szaleli tylko dlatego, że nie umieli sobie poradzić z różnymi problemami we własnym domu, tak się zachwycili wynalazkami Versenwalda, że dołączyli do obchodów i natychmiast zostali nakłonieni do podpisania bardzo wielu umów handlowych i opracowania programu współpracy kulturalnej. Inaczej niż zwykle w tego rodzaju przypadkach, wszyscy żyli odtąd w miłości i pokoju.

Historia ta zawiera morał, ale w tej chwili wypadł on chyba kronikarzowi z głowy...